

1981

1807

APOKRYFY

63

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

~~Nr 1924~~

1981

APOKRYFY

OZDOBIŁ

STANISŁAW DĘBICKI

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA WE LWOWIE
WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA

1901

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFIS PAN i PTF

T.1981



29001981000000



nr. inw. 1730

~~WARSZAWSKIE
TOWARZYSTWO FILOZOFICZNE~~

Nr. inw. 1730

Kraków — Druk W. L. Anczyca i Spółki

H-123127

1807.





WYŚLANIEC.



źródłach egipskich, opisujących życie Terapeutów nad jeziorem Meros, znaleziona jest spowiedź Uriela z jego wycieczki na Liban.

Młodzieniec, wysłany przez Przełożonego po zioła uzdrawiające, szedł rażno a śród podróży wiosna rozkwitła w jego sercu. Puszczął wzrok po błękitnym stropie świata, który się najlżejszą chmurką nie przyćmiewał.

Szedł tak tygodnie całe, nie spiesząc. A im dłużej szedł, tem większa radość wypełniała jego duszę. I zbliżył się myślą do wszelkiego kwiecia polnego, do potężnych drzew porastających góry, do ćwierkania ptactwa, do gwaru strumieni, do śpiewu wiatru.

Lata młodości spędził nad jeziorem w posępnej celi, wychodząc z niej tylko w dzień poświęcony Panu. Oczy jego nie widziały świata przyrodzonego na jego dzikiej wolności. Surowy żywot Terapeutów, zagłębianie się w tajemnice sił magicznych, troska około zdobycia wiedzy, wyrobienie potęgi oka, potęgi czucia i potęgi dotknięcia, wszystko to nie było uciechą młodości, wesołością życia, uśmiechem szczęścia. Uśmiech, wesołość, szczęście — one na dnie duszy Uriela drzemały jak potoki zasypane.

Przełożony, żegnając go, mówił mu o posłanictwie Terapeutów. Mówił mu o Panu pustelniczych lekarzy. Mówił mu o sile, którą On zsyła na nich; o pomocy, jaką mają nieść ludziom; o przykładzie, jaki winni dawać; o cnotach, jakie mają uprawiać, by siły owej nie utracić, ale ją w sobie rozmnożyć.

Uriel słuchał ze skupieniem a wśród drogi długo nad tem rozmyślał.

Ale niebawem zasłuchał się w szum wiatrów, cedrów i potoków. Zapatrzył się w modre niebo i w płomiennie słońce, które przed nim sunęło; zapatrzył się we wzgórze, doliny, jeziora i rzeki. Posępna cela coraz bardziej zacierała się w jego pamięci. Czuł się jak ptak, który wyfrunął z klatki i po raz pierwszy skrzydeł zażywa; czuł się na wolności, wśród przyrodzenia, wśród upajającej woni i buchającej zewsząd zieloności.

Niekiedy doznawał czarownych złudzeń. Zda-
wało mu się, że słyszy nad sobą w powietrzu ja-
kieś głosy, które wiodą rozmowy. To znowu sły-
szał przepiękne śpiewy i trącanie strun.

Sypiał na mchach i często śniło mu się, że
otwiera się błękit i że deszcz białych i różowych
kwiatów opada na niego i pokrywa go. Czuł naj-
wyraźniej woń tych kwiatów i przez sen ręce po
nie wyciągał.

I we śnie przypominał sobie, że jest wysłań-
cem. Więc zdawało mu się, że Pan odmyka niebo
i wysłańcowi swemu śle kwiecie wonne, aby mu
radość towarzyszyła w drodze.

Potem wszedł pomiędzy siedziby ludzkie.

I znowu serce jego drgnęło nieznanem uczu-
ciem. Pragnął zbliżyć się do pasterzy, do rybaków
i ogrodników; ogarnęła go jakaś tęsknota, poczucie
samotności, chęć wymiany słów, uścisków, spojrzeń,
łez i uśmiechów. Ale powstrzymywał go przepis
Przełożonego, który go surowo napomniiał, aby od
ludzi trzymał się zdaleka, albowiem była to jego
pierwsza podróż.

Nieraz widział radość i chciał ją z ludźmi dzie-
lić. To znowu widział cierpienie i dolegliwość, a znał
środki zaradzenia. I wiedział, że starsi z pomiędzy
Braci chadzali po kraju, gdy była potrzeba, by czy-
nić dobrze. Kiedyś i on miał się przyłączyć i cha-
dzać z nimi, miał zbliżać się do ludzi i ręce ku nim
wyciągać...

Dawniej nie tęsknił za tem, bo mu nieznaną była słodycz takiego zbliżania się i czynienia takich uczynków. Ale teraz, gdy poznał wolność, gdy ujrzał się wśród przyrodzenia i oko jego padło na ludzi, żalność ozwała się w jego sercu, obracał oczy ku owym głosom rozmawiającym w górze i pytał: żali ta surowość Przełożonego jest sprawiedliwa? żali nie będzie przyspieszony dzień jego radości i jego czynów? żali siła nie wezbrała w nim już na tyle, by spełniał posłannictwo — i ma tylko za ziołami się oglądać, stroniąc od pociągających duszę siedzib ludzkich?...

Razu pewnego ujrzał miasteczko na stoku wzgórze, a dalej w dolinie, wzdłuż rzeczki rozrzucone domki i jeden na uboczu samotnie stojący wśród gaju migdałów, osypanych różowem kwieciem.

Powietrze było parne. Siadł pod palmą i dumiał. Wtedy we wschodniej stronie nieba błysnęło i odezwał się odległy grzmot.

Uriel uniósł oczy w górę. Na widnokręgu ukazała się brunatna chmura, biegła szybko i rozpścierała się po niebie, zakrywając jasny błękit. Ale dołem nie wiał jeszcze najłżejszy powiew i drzewa pogrążone były w nieruchomości.

Nadciągała burza. Uriel wstał i począł oglądać się za schronieniem. Ruszył w kierunku owego samotnie stojącego domu.

Drzwi były otwarte. Zajrzał w głąb. Dom widocznie był pusty, a mieszkańcy w polu. Nie

śmiał wejść do opróżnionej siedziby ludzkiej i ruszył dalej.

Zaledwie jednak uszedł kilkanaście kroków, kiedy po raz wtóry zajaśniało w chmurach i rozległ się grzmot, huczząc przeciągle. Zawahał się tedy, czy iść dalej, czy wracać. Stał przez chwilę i rozważał; następnie jednak zawrócił i stanął znowu przed owym domem. Właśnie błysnęło na niebie po raz trzeci i grzmienie wstrząsnęło powietrzem.

I w tejże chwili ujrzał w drzwiach młodą dziewczynę, która podniosła na niego pytające i zdumione oczy, poznając w nim przybysza ze stron dalekich.

Uroda jej zmieszała go. Twarz oblała mu się żywym rumieńcem. Patrzył na nią czas jakiś a potem zbliżył się do niej i pozdrowił ją.

Ona z zawstydzenia oddychała szybko i oblała się również rumieńcem. I tak stali naprzeciw siebie, nie wiedząc, co czynić i jakim słowem przemówić do siebie.

Na niebie zagrzmiało po raz czwarty. Wtedy Uriel przystąpił o krok bliżej, oparł rękę o odrzwia i nawiązał z nią rozmowę.

Ona ośmieliła się nieco i poczęła mu odpowiadać. A potem pytała go, jakie jest jego imię, czem się trudni i jak się nazywa kraj, z którego przybywa.

Odpowiedział, iż na imię mu Uriel, przybywa z bardzo daleka i jest wysłańcem tego, który ustala wody, rozpościera błękit nad światem i każe nieść ulgę bliźnim w niedoli.

Słowa te zdziwiły ją. Popatrzyła na niego z bojaźnią, czią i zaciekawieniem. Wieść o wysłańcach krążyła z ust do ust jako legenda.

Teraz on z kolei pytał, jak jej na imię, kto dom ów zamieszkuje i czem się trudni.

Dziewczyna odpowiedziała, iż nazywa się Sunamis, a dom należy do jej rodziców, którzy są w winnicy przy zbiorze. Ona zaś pozostała, aby pilnować opustoszałego domu, gdyż rodzice powrócą dopiero późną nocą.

Na to znów on począł mówić, iż szuka schronienia przed zbliżającą się burzą. Że jest to pierwsze poruszenie żywiołów w czasie jego pielgrzymki. Że dotąd towarzyszył mu tylko skwar a przed nim szła cisza. Że nie zbliżał się do ludzi, gdyż było mu zakazane do czasu; a kiedy ten czas nadejdzie, Pan da znak.

I w chwili, kiedy słowa te wymawiał, zagrzmiało na niebie, a grom, rozłamawszy chmury, ukazał wielką światłość, która sinym blaskiem odbiła się na twarzach obojga.

Dziwne zmieszanie ogarnęło dziewczynę. Gdy przybysz mówił, wpatrywała się w jego piękne a niezmiernie łagodne oblicze, owiane urokiem dumań. Wpatrywała się w jego piękne oczy, które miały barwę różowego kwiatu jabłoni. Poglądała na jego postać wiotką, jakby nieziemską, jakby powiewną i ulatującą.

I poczuła, że blizkim jest jej sercu.



Zapagnęła usłyszeć, za czem był wysłany; prosiła, aby nie odchodził, gdyż chmury dały znak światłością i grzmieniem.

Wtedy on obrócił się w ogród, kędy lilie rosły. I uszczknąwszy pręt, podał jej.

Ona opuściła oczy i pocałowała kwiat. Ale zaraz potem twarz jej posmutniała i łza zakręciła się w oku.

Lecz on ujął ją za dłoń i pytał, czemu milczy. Rozpoczęli znowu rozmawiać, a ona opowiadała mu o rodzicach, o biedzie, w jakiej żyją, o ubóstwie, które o jej losach stanowić będzie. Wreszcie zeznała, iż nieraz wieczorami nawiedza ich dom pewien stary cieśla, znany i ceniony dla swej dobroci i sumiennosci, równie ubogi, jak oni. Ale jest to człowiek bardzo stary.

Mówiąc to, przymilkła nagle. On zaś popatrzył na nią i ścisnął jej rękę.

A właśnie zagrzmiało na niebie po raz szósty. Olsniewająca światłość rozdarła brunatną chmurę od wschodu do zachodu i zahuczał grzmot, który rozległ się echem po górach.

Uriel pochylił się nad dziewczyną,



a twarz jego, rozświecona połyskiem gromu, była piękna, tajemnicza, porywająca. Serce dziewczyny drgnęło nieokreślonym bólem. Poczęła szeptać o jego niespodzianem zjawieniu się, o tej burzy, która nad jego głową lśni błyskawicami i gra grzmieniem. A potem szeptała o tęsknocie, która zakrada się do serca i nigdy może uciszoną nie będzie.

Wtedy on objął ją i zbliżywszy więcej jeszcze twarz swoją do jej twarzy, pytał, czyby uwierzyła weń. Następnie pytał, czyby pragnęła uciszenia. I pytał także, czy przez tę krótką chwilę stał się jej blizkim.

Lecz ona nie śmiała odpowiadać, jeno przysłoniła oczy rzęsami i pochyliła twarz zalaną rumieńcem. On zaś mniemając, że milczenie jej ma inny powód, począł jej znowu mówić o swem posłannictwie, podniósł rękę ku brunatnym chmurom, które miedzianą pomroką przyćmiły jasność dnia, szeptał jej to wszystko, co się płomieniem garnęło na jego usta i wichrem dobywało z duszy, przyłożył gorącą twarz do jej lic rozpalonych, otoczył silniej ramieniem jej kibić...



I właśnie zagrzmiało w chmurach po raz siódmy. Zabłysła przemijająca światłość, a po niej zapadł mrok; jeno grzmienie trwało długo i potężnie, wstrząsając miedzianem niebem i pograżoną w cieniu ziemią.

A po tem siódmym grzmieniu zerwał się wichur, rozkołysał drzewa, a z gałęzi migdałów i granatów począł otrząsać różowe kwiecie, którego płatki, rojąc się w powietrzu, opadały na głowę Uriela i na twarz Sunamis.

Dziewczyna przymknęła oczy; przyszła na nią senność, zemdlała.

W śnie omdlenia była jednak tak piękną, że Uriel wpatrywał się w nią i nie słyszał wicherów nad głową, nie widział rozkołysania się cyprysów, ani opadającego kwiecia, ani ognia na niebie.

Pustelnik z nad brzegów jeziora Meros, mól wiedzy, zakonnik-lekarz, mag badający siłę tajemną, poczuł w sobie żywioł, który szukał bratnich żywiołów. I znalazł je w tem uroczem przyrodzeniu, w błękicie nieba, w szumie drzew, woni kwiatów i onych głosach w powietrzu. Znalazł je w onej nagłej burzy, która świat objęła, w onej

światłości błyskawic i w onem grzmieniu chmur. Znalazł je w tej pięknej, uśpionej dziewczynie, przy której jeszcze leżała lilia, uszczknięta i podana jej tak niedawno.

Ale w tej chwili drgnęło w nim coś, popatrzył na opustoszały dom, którego drzwi stały otworem, przypomniał sobie słowa dziewczyny, iż rodzice jej powrócą na noc, stanął przed jego okiem obraz staro- cieśli, który chciał dzielić z nimi ubóstwo swoje. I przypomniał sobie jeszcze wyrazy, które był szep- tał dziewczynie, co jej mówił o swoim posłanni- ctwie, następnie zastanawiał się nad tem, jak ona mogła to rozumieć i jak należało to rozumieć...

I padł na niego lęk. Odsunął się od śpiącej dziewczyny i zdala popatrzył na nią. Potem ujął się za czoło, opuścił głowę na piersi i dumał. Co- raz większy mrok zapadał w miarę wzmaganania się burzy. Uriel drżał, zbierał myśli. Zwrócił oczy na rozsypane po dolinie domki, na miasteczko przyle- pione do wzgórza.

Dziewczyna się nie budziła.

Padał na niego coraz większy lęk. Dzień za- mienił się w noc; wicher, niby rozhukana rzeka po- wietrzna, przelewał się i rwał konarami. Uriel po- czął sunąć na palcach w głąb lasu cedrowego. Jeszcze obejrzał się kilka razy poza siebie. Dziewczyna wciąż spała.

Nagle wicher zmienił kierunek, przepołowił chmury na niebie i po krótkim czasie zmiotł je za

widnokręgi. Ukazał się w górze czysty błękit a w stronie zachodniej słońce, które właśnie połową swej tarczy szkarłatnej zapadało za wzgórze. W powietrzu poczęło krążyć ptactwo z wesołym świątaniem. Ożywiła się woń lilii i kwiatu migdałowego. Miłe zapachy jęły przepęlniać powietrze.

Dziewczyna westchnęła, otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła ze zdumieniem. I nie mogła zrozumieć, żali sen trwa jeszcze, czy też jawa nie minęła. Nie mogła powiązać myśli, obrazów, wspomnień i rzeczywistości.

Bo zdało się jej, że stała na progu domu i ujrzała przed sobą młodziana, który się nazwał wysłańcem. A zjawił się wśród błyskawic i grzmienia. Potem przemówił do niej, uszczknął przęt lilii i podał jej...

Potem szepotali ze sobą o niebie, o ziemi i o drzeniu serc. Potem ona osłabła a na niebie rozgorzały błyskawice i zahuczały gromy. Potem przymknęła oczy...

I otwiera je teraz...

A w górze przezysty błękit, w dali zachodzi słońce i niema nikogo koło niej...

— Żali to był sen?...

Ale serce jej drży jeszcze, uderza nierówno. Czuje jeszcze na twarzy oddech tego, który się mienił wysłańcem...

— Żali była to jawa?...

I siedziała tak dumając, opuściła głowę na piersi a z oczu poczęły łzy spływać. Toczyły się po białych policzkach, spadały na łono, na rękę, na murawę.

Potem łyzy te poczęły płynąć coraz obficie i jak czyste krople deszczu drżały na żdźbłach trawy.

Wtem posłysziała szelest kroków, podniosła głowę i przez łyzy ujrzała pochylonego cieślę, który zbliżał się wolno pod próg ich domu. Zakryła twarz rękami, pochyliła głowę na murawę i utonęła w drżeniu, łzach i błaganiu Pana, który w górze ponad nią krył się za błękitami i losy świata w zadumie układał.

Cieśla ujrzał ją klęczącą z pochyloną ku ziemi twarzą. Zaniepokoił się, przystąpił do niej i szepnął łagodnie:

— Co tobie, Sunamis?

Ale usłyszał tylko łkanie. Więc przeląkł się bardzo, dotknął dłonią jej głowy, schylił się i szepnął jeszcze łagodniej:

— Co tobie, moja droga Sunamis?

Wtedy dziewczyna uniosła się nieco, przysłoniła twarz włosami i przyłożywszy drżące, zimne usta do jego pomarszczonej ręki, poczęła ją zlewać łzami i całować...







KUSICIELE.



Jeruzalaim panowała duszna atmosfera. Ręka Wielkorządcy zawisała nad wszystkimi partjami i nie pozwalała żadnej głowie wyrosnąć ponad wysokość włóczni rzymskiej. Ludzie oddani rzemiosłom, przekupnie, lichwiarze, zamożni leniwczy, myślący jedynie o wygodach życia, wreszcie wyrobnicy i różnego rodzaju prostactwo nie odczuwało ciężaru tej ręki. Ale warstwy wyższe, przechowujące w swem łonie tradycje polityczne, żadne wpływow, znaczenia i władzy, poglądały gniewliwym okiem w stronę pałacu Namiestnika i nieraz nocami, tocząc potajemne narady, układały plany, które następnego ranka niby mgłą rozwiewał. Warstwy te czuły swą siłę i swoją niemoc. Czuły swą siłę, gdyż połączywszy

P.T.F.



się z Synhedrionem, miały za sobą wiedzę czerpaną z Pisma, żywe słowo kapłanów i wybitne majątkowe stanowisko; przeto otoczone były niejako potrójnym murem ochronnym i nikt ich napaść nie mógł. Zarazem jednak czuły swą niemoc, bo taki stan rzeczy nie wystarczał im, a mając nad sobą czujnego Wielkorządcę, nie mogły kroku uczynić poza ów potrójny mur zajętej szczęśliwie pozycyi. Lud ich považał, słu-chał i kłaniał się bogaczom; oni pragnęli, aby lud ten na dane hasło ruszył za nimi, dokądkolwiek go poprowadzą. A tego nie mogli się spodziewać. Lud był martwym prochem; oni zaś w duszach swych nie mieli ani jednej iskry, aby ją dobyć i w ten proch rzucić. Czerpiąc całą swą siłę z przeszłości, nie mieli daru spojrzenia w przyszłość. A gdyby nawet warunki ułożyły się dla nich najpomyślniej, nie było wśród nich ani jednego człowieka, powołanego na wodza. Nie stworzyli sobie nawet ideału w tym kierunku. Posiedli jedynie sztukę wzbraniania, powstrzymywania, hamowania zapędów; nie umieli natomiast wskazać drogi, oświecić jej ideą i pobudzić do czynu. Był to kierunek bez kierunku, nakrycie wszelkiego światła korcem, wyczekiwanie i chęć rozplątania węzła bez przy-

łożenia ręki. Jeżeli zaś ktokolwiek rękę zamierzał wyciągnąć, chwytały go, odwozili, a nawet bali się go, upatrując w nim przyszłego despotę. Lud natomiast, aczkolwiek pozornie był martwy, wytworzył sobie ideał oczekiwanego wodza. Ideałem tym był zapowiadany przez proroków Meszjach. I był to zaprawdę ideał ludu, a nie warstw wyższych; te bowiem onych proroków prześladowały i uśmiercały. Wprawdzie i one wierzyły w przyjscie Zapowiedzianego; ale pomiędzy ich wiarą i wiarą ludu leżała przepaść. One rozumiały Pismo, lud je odczuwał. Lud oglądał się za mężem, głoszącym to, co w głębi duszy przez każdego było odczute; lud nie pytał nigdy, z jakiego domu prorok wychodził; czekał tylko czynów i w nie zawsze uwierzył. Oni natomiast żądali, aby im była ukazana osoba, aby ten, który przyjdzie, otworzywszy księgi, wskazał palcem swój rodowód, zgodność imienia swego z imieniem przepowiedni, aby przede wszystkim nie był niespodzianką i zastał ich przygotowanych na swe przyjscie. Tymczasem mijały lata za latami, lud przywykał do nowego porządku, który od dawna stał się starym, przygnębiecie ogarniało ich coraz silniej, aż wreszcie poczuli dla umocnienia się radzić, ukła-





dać plany, łowić chciwie każdą wieść, która zapowiadałaby odmianę, nadawać jej przesadne znaczenie i nakoniec podniecać się tem wszystkim, wytwarzając stosunki, które zamieniły ich w potężnych upiórów, szerzących postrach w nocy, kiedy wszyscy spoczywają, ale bezsilnych w dzień, kiedy trzeba działać.

Co tydzień zbierali się późnym wieczorem u Kajafasa, gdzie podawali sobie najdrobniejsze i najszczególowsze wieści o tem, co się działo w różnych miastach kraju, a nawet i to, na co się zanosilo w Rzymie, gdyż nie brak im było stosunków w stolicy świata. Potem wieści te wspólnie roztrząsali i wyciągali wnioski. Na takich zebraniach nie odróżniano rzeczy ważnych od nieważnych. Każda rzecz mogła być ważna; zależało to od zestawienia jej z innymi wiadomościami. Opowiadano sobie zatem z zafrasowaniem obliczami, w kim się cesarz rzymski kochał, jaki charakter tej kobiety, jaki posiada wpływ na władcę świata i kto znowu na nią wpływ wywiera. Zastanawiano się nad tem, czy konsul, wysłany do Iberyi, sprzyja im, czy nie, i czy nie byłoby lepiej postarać się, aby konsula tego odwołano i wysłano na jego miejsce innego. Roztrząsano również każdy szczegół z do-

mowego życia Wielkorządcy, który to szczególnie w danym razie mógł być w Rzymie wyzyskany przeciw niemu, lub za nim. Kajafas słuchał zazwyczaj tych rozmów dłubiąc palcem w zębach i patrząc pilnie po mówcach, a dopiero pod koniec zabierał głos i niesłuchanie bystrym sądem rozwiązywał każde zagadnienie, wysnuwając uderzająco prosty wniosek. Tylko Suten, jeden z największych bogaczy, umiał go niekiedy przekonać, gdyż posiadał umysł może jeszcze bystrzejszy, wielki dar wysłownienia a przytem rzadki chłód. Ale był to człowiek bardzo młody, zaledwie trzydzieści lat liczący. Nie mógł zatem tyle wiedzieć, ile wiedział Kajafas, który też obalał jego dowodzenia prostem przytoczeniem jakiegoś zdarzenia, wykazującego niezgodność z głoszoną przez Sutenę teorią.

Na jednym z takich posiedzeń Suten doniósł, iż krąży po miasteczkach w towarzystwie kilku uczniów młody rabboni, który leczy przez wkładanie rąk i budzi w tłumach podziw. Kajafas wtrącił żartobliwie, że możnaby go do świątyni sprowadzić, aby wkładał ręce na głowy celników, ściągających właśnie z ludu nowy podatek. Wnet jednak rozmowa zwróciła się w innym kierunku, gdyż ktoś przy-





wiół wiadomość, że w składzie pretoryanów, otaczających cezara, zaszły ważne zmiany i weszli ludzie nieznani. Suten nie brał udziału w dalszej rozmowie a nawet wcześniej niż zwykle opuścił zgromadzenie. Na przyszłym zaś nie zjawił się wcale.

Po upływie dwóch tygodni przybył jednak znowu i przyniósł dalsze wieści o owym rabbonim. Ponieważ brak było wiadomości ważniejszych, przeto wysłuchano jego opowiadania do końca. Twierdził, że rabboni nietylko uzdrawianiem się zajmuje, ale zarazem wygłasza naukę, która nie pod każdym względem jest zgodna z tradycją wykładu Pisma. Wieść ta zasępiła Annasza, świekra Kajafasza, najwyższego kapłana onego roku, bo był bardzo wymagający w sprawach wykładu Pisma. Począł więc szczegółowo wypytywać o ową naukę. Ale Kajafas chrząknął i kazał Sutenowi opowiadać prosto to, co się zdarzyło, a nie to, co było mówione. Suten tedy zaczął się rozwodzić nad tem, iż ów rabboni zyskał wielki rozgłos u ludu, który tu i tam poczyna przebąkiwać, iż to jest zapowiedziany Meszjach.

Słowa te wywołały wielki śmiech w całym zgromadzeniu. Nawet Annasz trzepał ręką przez powietrze i chichotał a inni po-

częli w różny sposób żartować. Suten umilkł, siadł w kącie, ale był bardzo rozgniewany.

To jego zachowanie zwróciło uwagę Kajafasa, który dał znak, aby się uciszono i mówił, że podobna rzecz zdarzyła się przed ośmnastu laty dwa razy, przed dwudziestu laty raz a przed czterdziestu laty trzy razy. Na to powstał Suten, cisnął o posadzkę misę, którą miał pod ręką i zawołał gromko:

— Taka rzecz nie zdarzyła się jeszcze nigdy!

I znowu przedwcześnie opuścił zgromadzenie.

Nazajutrz rano posłał po niego Kajafas, udał się z nim do ogrodu i długo ze sobą na samotności rozmawiali. Po tej bytności u Kajafasa Suten opuścił miasto i przez miesiąc nie pojawiał się na zgromadzeniach. Po miesiącu wrócił. Wszyscy go otoczyli i wypytywali, kędy podróżował. Ale on dawał albo odpowiedzi wymijające, albo też całkiem milczał. Tymczasem Kajafas zasiadł na swem miejscu i wbrew zwyczajowi pierwszy głos zabrał.

Zaczął wprost od tego, iż będzie mówił o owym młodym rabbonim. Wszyscy mocno się zaciekawili a niektórzy obejrzeli się na Sutena, który siadł dalej, zwiesił





głowę, jakby zbierając myśli i na coś się gotując.

Kajafas mówił, że sprawa przedstawia się nieco odmiennie, niż to się zrazu wydawało. Młody rabboni nie jest pierwszym lepszym szalbierzem, ani wróżkiem biorącym pieniądze, ani nie podaje się za proroka, ani nie głosi rzeczy nadzwyczajnych, z którymi wypadałoby walczyć, ani nie dąży do władzy, ani nie jest człowiekiem podburzającym lud. Zdaje się wszelako, że lud łąnie do niego, gdyż dąży za nim, słucha jego wykładu, otacza go niezmiernym szacunkiem, niemal czcią. Są tacy, którzy opuścili żony i rodziny a za nim poszli; inni porzucili rzemiosło swoje, aby być ciągle przy jego boku. Czy cuda czyni, trudno sprawdzić. Powiadają ludzie wiarogodni, że tak. Ale wiarogodni ludzie mogą mieć płytkie spojrzenie i słaby słuch; mogą widzieć tylko skutek a przyczyny nie, i dziwować się dymowi, nie dojrawszy płomienia. Tu nie o to chodzi. Rabboni jest mężem ludu a takiego dziś potrzeba!

Wielkie zdumienie ogarnęło obecnych. Nie mogli zrozumieć wyводу Kajafasa. Ze wszystkich stron nalegano na niego, aby wyłożył jaśniej, co myśli.

Kajafas jednak zmęczył się i nie chciał

dłużej mówić. Ale następne posiedzenie na-
znaczył nie za tydzień, lecz na pojutrze.
Wszyscy rozeszli się tedy w niezwykłym
naprężeniu myśli. Zrozumieli bowiem, że
jeśli Kajafas tak na rzeczy patrzy, to sprawa
musi być istotnie ważną.

Na owem następnem zgromadzeniu
zjawili się wszyscy bardzo wcześnie a Ka-
jafas rozstawiwszy niektórych w przed-
sionku, aby dawali baczenie na służbę,
wygłosił wielką mowę.

W mowie tej przedstawił obecne po-
łożenie, nie szczędząc barw ciemnych, ani
przygan. Wykazał, że w tym stanie rze-
czy niepodobna nawet marzyć o zrzuceniu
zwierzchnictwa rzymskiego. Lud ich słucha,
ale w świątyni; gdyby mu jednak kazali
rzucić się na straż Wielkorządcy, wypo-
wiedziałyby im prawdopodobnie posłuszeń-
stwo i związanych odprowadził na ratusz.
Bystrości im nie brak, ale nie posiadają
zupełnie wpływu na pospólstwo. Brak im
człowieka. Tym człowiekiem mógłby być
ów młody rabboni.

Następnie przytoczył im wiele zdarzeń,
które dowodziły, że w warunkach zwyczaj-
nych rabboni po upływie kilku lat stanie
się najpopularniejszym mężem w kraju.
Imię jego będzie brzmiało na wszystkich





ustach. Od nich zależy, aby to stało się prędkiej...

Gdyby pospólstwo za jego pośrednictwem przeszło pod ich wpływ, niezawisłość byłaby już przez pół osiągnięta. Rzym nie ciągnie zbyt wielkich korzyści z kraju uboższego, wielokrotnie już splądrowanego i tak oddalonego. Wielkorządcy pochłaniają znaczne sumy a często chwytani bywają na kłamstwach. Rzymowi chyba cięży łup i prawdopodobnie nie przelewałby krwi celem utrzymania go w swych rękach. Zresztą możnaby wejść w układy. Na to jednak, aby w tym kierunku poruszyć pospólstwo, trzeba wodza. Tym wodzem może być tylko taki człowiek jak rabboni...

Ale wódz taki musiałby być im bezwzględnie posłuszny. Rabboni jest wprawdzie człowiekiem z gminu; jest jednak podobno umysłem, nie poddającym się łatwo pod kierunek osób innych. Ale jest młody! Młodość usuwa wiele trudności. Rabboni jest człowiekiem prostym, któremu winno się uśmiechać ustosunkowanie z najwyższymi warstwami, gdyby one go powołały do swoich celów!

Lud oczekuje Meszjacha i patrzy na rabboniego. Uczynki tegoż mówią wiele. Wprawdzie Kajafas temu nie wierzy i młody

rabboni pewnie także temu nie wierzy a w każdym razie nie powinien temu wierzyć; z ludem jednak rzecz przedstawia się inaczej. Lud powinien wierzyć w to, co jest potrzebne, nie zaś w to, co jest prawdziwe. Lud może wierzyć, że rabboni jest Mészachem...

Na tego człowieka zwrócił uwagę Suten. Przeto wykazał, iż posiada oko wyjątkowo bystre i że jest przeznaczony do spełnienia ważnych rzeczy. Niech więc resztę sam dopowie.

Nastała wielka cisza, gdyż wszyscy poczuli, że sprawa ma charakter nadzwyczajny i wymaga znacznego wysiłku w osądzeniu.

Suten począł opowiadać, iż od dłuższego czasu śledził kroki rabboniego i że go już jako tako poznał. Przytaczał liczne przykłady wpływu, jaki wywiera i oświadczył, że jest to stanowczo pierwsza głowa po za murami.

Wymowa jego jest wstrząsająca, choć krótka. W którąkolwiek stronę obróci oczy, wyrastają tłumy jak z pod ziemi i dążą za nim. Posiadł od egipskich lekarzy sztukę wkładania rąk i ma silne oko. Suten widział na własne oczy, jak razu pewnego pod jego spojrzeniem uschło drzewo figowe.





Ale to jest prostak. Gdy otaczają go tłumy, posiada pewność siebie. Niewiadomo, jakby się zachowywał, gdyby stanął przed ich zgromadzeniem.

On musi pożądać władzy, bo czynami swemi osiąga ją po części. Władza jego jest już wielka — (i tu począł mówić urągliwie) — może nie przeszłaby przez bramy miasta i dlatego bram tych unika; ale zaproszona zgarbi się, przy nas urośnie i już z powrotem przez owe bramy się nie przecisnie.

Dlatego też zachodzi pilna potrzeba, aby go teraz pozyskać. Suten zapytuje obecnych wyraźnie, czy zgadzają się na to.

Zgromadzeni poczęli szeptać między sobą i obrócili oczy na Kajafasa. Ten jasno i wyraźnie oświadczył, że pozyskanie rabboniego dla ich celów jest rzeczą pierwszorzędną wagi. Zgromadzenie przytwierdziło.

Wtedy Suten zabrał ponownie głos i zapytał, czy obecni upoważniają go do porozumienia się z rabbonim, czy nie. Jeśliby zaś więcej ufali komu innemu, to niechaj wymienią jego nazwisko.

Kajafas dał znak ręką, iż pragnie odpowiedzieć. Uciszone się a on prawil w te słowa:

Rzecz, nad którą się zastanawiają, jest równie ważna, jak niebezpieczna. Ważna, bo otwiera widoki; niebezpieczna, gdyż grozi proskrypcją. Kto jest ostatecznie ów rabboni, tego nikt na pewno nie wie. Dla tego też jest niezbędna wyjątkowa ostrożność. Suten idzie z nim mówić. Ale niech tymczasem mówi z nim od siebie jako mąż znakomity, ale nie jako ich przedstawiciel. Jeżeli sprawa weźmie zły obrót, tajemnica utonie pomiędzy dwiema parami oczu; w najgorszym razie wystawi się na niebezpieczeństwo sam Suten. Jeżeli zaś rzecz pójdzie po myśli, wtedy czas będzie zebrać się na nowo i rozpatrzeć dalsze kroki.

Zgromadzenie zgodziło się na to jednogłośnie.

Suten miał wyruszyć w drogę już nazajutrz. O wschodzie słońca Kajafas przyzwał go jeszcze raz do siebie i opatrzył różnemi przestrogami.

Lękał się, czy Suten sprosta zadaniu. Znał go od dziecka; znał jego zalety i wady. Zalety były wielkie, ale i wady duże. Suten nie posiadał daru odgadywania charakterów. Od lat najmłodszych patrzył na obłudę i przestał wierzyć w cnotę. Przyznawał się do tego otwarcie i tylko osobiste stosunki uchroniły go od publicznej nagany, która





każdego innego nie ominęłaby na pewno. Suten mniemał natomiast, że każdego człowieka można kupić; sam przecież kupował wszystko: stosunki, przyjaźń, wierność, nawet miłość tkliwą. Kajafas nie przeczył temu w zasadzie, ale zdawało mu się, że bywają wyjątki, że niekiedy w młodych ludziach objawia się niedbanie o dostatki a nawet o władzę i wpływy, Rabboni zaś był jeszcze młody. Ale co do lat byli niemal rówieśnikami z Sutenem a rówieśnikom łatwiej się porozumieć. Z drugiej zaś strony dzieliło ich znowu pochodzenie i świat, w którym się urabiali. Wiele, bardzo wiele poważnych wątpliwości nasuwało się Kajafasowi.

Suten, słuchając jego przestroóg, krzywił twarz szyderczo. Gdy Kajafas począł mówić o szlachetności, popatrzył mu tak bystro w oczy, iż ten włożył palec w usta i począł z zębów wydłubywać resztki strawy, patrząc po ścianach, Suten wiedział, co zamierzał. Na dnie duszy miał już wygotowany cały plan a daleko rozleglejszy i głębiej sięgający, niż plan Kajafasa. W planie tym rabboni miał być tylko jako drzwi, przez które się wchodzi do gmachu. I nie Kajafas miał wejść przez one drzwi!

W obecnych warunkach duszniej było

Sutenowi, niż nawet Kajafasowi, niż wszystkim razem. Suten czuł w sobie siłę do wypowiedzenia wojny ogromnej części świata; tylko brak mu było narzędzia wojennego. Owym narzędziem miał zostać rabboni; Kajafas zaś — mógł najwyżej to narzędzie pobłogosławić, gdyby miał ochotę... To był już człowiek przeżyty!...

Oni wszyscy byli według Suteny przeżyli. Cały Synhedrion, całe duchowieństwo, cała arystokracja, nawet uczeni!

Suten wiedział, iż część tego przekleństwa ciąży także i na nim. On jeden miał to jasnowidzenie. Zresztą wszyscy inni byli ślepi.

Ale myśli tych nie wypuścił z głębi duszy na oblicze, które po przelotnym szyderczym uśmiechu było znowu chłodne i bez wyrazu, jak pergamin niezapisany. Kajafas powtarzał z naciskiem każdą przestrożę a następnie jął Sutenę głaskać po policzkach i mówił:

— Pamiętaj, abys każdy krok rozważył, nim go postawisz. Pamiętaj, abys raczej zwlekał, niż działał. Pamiętaj, abys raczej milczał, niż mówił; abys raczej nic nie zrobił, niż zrobił źle...

Suten począł się już niecierpliwić. Ale Kajafas jeszcze go nie puszczał.





— Poznaj go. Zbadaj, czego pragnie. Przeniknij go, co mu schlebia. Przejrzyj go wpierw, nim odezwiesz się do niego...

Nagle urwał, popatrzył na niego i uści-
snął go czule.

— Ty będziesz kiedyś najwyższym kapłanem!

Suten w ramionach jego odwrócił twarz, gdyż nie mógł się powstrzymać od szyderczego uśmiechu. Czapka o dwóch rogach wydała mu się istotnie godną głowy Kajafasa. On poczynał już marzyć o czapce ze złotymi strzałami.

I wydał mu się Kajafas małym człowiekiem, gdy mówił o dwurożnej czapce. Wydał mu się człowiekiem ślepym i całkiem przeżyтым.

Ale rozstał się z nim jak z najwyższym mędrce m i głową narodu swojego. Udał się do domu a po upływie godziny był już za bramami miasta.

Wieczorem dnia tego Annasz zaszedł do Kajafasa. Poczęli rozmawiać o wyprawie Suteny.

Annasz rozwodził się szeroko nad rozumem tego młodego człowieka i kiwał głową na wszystkie strony. Kajafas począł dłubać palcem w zębach i rzekł krótko:

— Suten ma twarz na twarzy.

Annasz podniósł ze zdumienia ręce i odemknął usta. Kajafas cmoknął kilka razy językiem o podniebienie i zęby, następnie rzekł:

— Powiedziałem, że ma twarz na twarzy. Wierzchnia twarz jest nam znana; ale spodniej nie widzieliśmy. Mnie się zdaje, że ta spodnia twarz jest inna.

Nastało milczenie, w czasie którego Annasz opuścił głowę i drapał się za uchem. Kajafas zaś mruknął jakby do siebie:

— Kto wie, czy to nie jest wielkie szczęście dla nas, że Suten nie posiada talentów owego rabboniego!

Annasz znowu podniósł głowę a Kajafas dodał:

— Gdyby bowiem posiadał talenty rabboniego, to nie on do nas chodziłby na zgromadzenia, ale my do niego...

Annasz jeszcze nie mógł zrozumieć i patrzył pytającym wzrokiem na Kajafasa, który zakończył:

— On nie dla nas poszedł porozumiewać się z owym rabbonim. On poszedł mówić dla siebie. Ale przeliczył się. Póki ja żyję, nie będziemy chodzili do niego na zgromadzenia! Na lewej dłoni mam napisane, że przeżyję tych, z którymi winienem postępować ostrożnie!





Annasz odparł niespokojnie:

— To może niech on lepiej nie idzie mówić z rabbonim?

Kajafas uśmiechnął się.

— Niech mówi i niech go tu przywiedzie. Bo odtąd już nie on sam z nim mówić będzie!

Pożegnali się.



Jordan świecił krwawo w zachodzie słonecznym. Wody jego toczyły się przez żyzną dolinę, porośłą palmami, figami, oliwkami. Był to jakby rozkoszny ogród, kraina obiecana, gdzie chyba nigdy łza nie ćmiła oka a ból ziemski przystępu do serca mieć nie mógł.

Na prawym brzegu stała gromadka ludzi i patrzyła za oddalającym się człowiekiem, który dążył z głową pochyloną, jakby w wielkim zamyśleniu. Był to ów młody rabboni.

Szata jego bieląła długo wśród zieleni. Odchodził coraz dalej od rzeki. Sunął zrazu ścieżką, wiodącą do Jerychonu, ale niebawem skręcił na prawo. Drzewa stawały się rzadsze a zieleń skąpszą. Niebawem zaś

drzewa i zieleni całkiem znikły i poczęła się puszcza.

Ziemia, naprzemian skalista i piaszczysta, miała żółtość przyćmioną. Opodał rysowały się popielate wzgórza. Gdy rabboni wchodził między skały, echo jego kroków odezwało się głucho, jakby ktoś dłonią raz po raz uderzał w ścianę góry. Potem skały się nieco rozstąpiły, ukazały się urwiska, rozpadliny, za nimi zaś strzelisty szczyt.

Tymczasem słońce zaszło i mrok padł między skały. Rozpadliny stały się podobne do czarnych plam. Tylko szczyt świecił jeszcze purpurą. Rabboni skierował kroki swoje w tamtą stronę.

Idąc nie podniósł ani razu głowy, jeno patrzył po ziemi. Niekiedy z pod stóp jego wybiegła jaszczurka, to znowu zachybotał się na skrzydłach zielony bazyliszek, to wąż syknął, to orzeł wysoko w powietrzu zakrakał.

Wejście na szczyt było uciążliwe. Pot spływał mu z czoła przez policzki na brodę. Oddychał szybko, nie przystawał. Czerwień spęzła ze skały a szczyt utonął w mroku. Rabboni począł iść wolniej, gdyż ostre głązy w ciemności mogły mu stopy okaleczyć.

Nareszcie stanął na szczycie góry





i siadł. Wtedy rozejrzał się po ziemi i po niebie.

Ziemia utonęła już całkowicie w nocnych ciemnościach; niebo iskrzyło się od gwiazd i ich migotania. Rabboni patrzył ku owym gwiazdom, pierś mu wezbrała i poczuł dziwne podniesienie ducha.

Zdało mu się, że rozległa ziemia jest nawą a góra najwyższem miejscem na tej nawie, z którego to miejsca dowódca wydaje rozkazy wiosłarzom i sternikowi, dokąd płynąć mają. Czuł, że on jeden w tej chwili, czuwając na onej nawie, obmyśla drogę, po której nawa ta ma popłynąć przez wody świata i że głos jego, gdy się rozlegnie, posłuchany będzie przez wiosłarzy i sterników. Głos jego czerpał siłę z owego wyiskrzonego nieba, z owych gwiazd migotających i z onego wszystkiego, co było w górze i w dole. A chociaż mroczyła się noc, choć jasność słoneczna zgasła, sięgał przed siebie wzrokiem daleko, widział odległe wypadki i rozumiał ich znaczenie.

Spojrzał znowu ku ziemi a w spojrzeniu jego była wielka miłość i głębokie uczucie litości. Przez gęsty mrok nocny widział wszystko, co się w bezsłonecznej porze działo. Widział więc uspione w domo-

stwach tłumy, i uśpione na pastwiskach pasterze i uśpione na wybrzeżach rybaki. Widział dalej bezdomne i żyjące w osamotnieniu z powodu czarnych plam na ciele i wrzodów zaraźliwych.

I spojrział głębiej: zapuścił wzrok do serc i do umysłów uśpionych tłumów. Patrząc zaś nie uląkł się tego, co widział. A chociaż łzy zakręciły mu się w oczach przecież był pocieszony.

Serca tych tłumów były proste a umysły niepożądliwe; ale ręce drżały z trudu a głód wykręcał ich wnętrzności.

Przeto nie chciał ich sądzić, ale pragnął im nieść ulgę, pocieszenie, otarcie łez, umocnienie na duchu...

.

Nagle zdało mu się, że ktoś za nim stanął. Obejrzał się.

W pomroku nocnym na szczycie góry tuż obok niego mgławił się mężczyzna o ciemnej twarzy i świecących oczach. Wpatrywał się w rabboniego i milczał.

Mężczyznę tego widział już kilka razy. Od jakiegoś czasu podążał za tłumami, które przeprowadzały rabboniego z miast do miast. Każdy pragnął dotknąć szat nauczyciela; on nigdy się nie zbliżył. Każdy





prosił o wskazówkę, lub odkrywał rany swoje; on milczał i trzymał się zdaleka.

Rabboni nie przyzywał go. On szedł jednak za nim. Szedł przez miasta, przez wybrzeża jezior, przez dolinę Jordanową, przez kraj pustynny i wstąpił za nim na górę.

Przybliżył się do niego dopiero w samotności.

Długo patrzył na rabboniego a wreszcie siadł przy nim i przemówił. Rabboni słuchał słów jego, nie przerywając mu. On zaś prawił o rozpościerającej się w dole ziemi, o tłumach uspionych i o ich niedoli. Następnie wyznał, iż jest człowiekiem moźnym, ale bogactwo nie rozweseliło go. Zostawił swe majątności daleko i ruszył za rabbonim, aby mu się przypatrzeć, co myśli i co czyni.

I ujrzał, że czyni rzeczy nadzwyczajne, którym dziwowali się prostaczkowie. Ale on się nie dziwował. Bo rabboni czynił wiele, lecz nie tknął się rzeczy najważniejszej.

Odejmuje ból. Ale ten ból powróci. Ociera łyzy; ale inne zakręcą się w łaźnicy i spłyną na twarz. Podnosi upadających; ale oni legną znowu pod brzemieniem ucisku.

Widział, jak onego czasu rabboni spoj-
rzał na drzewo figowe, które pod żarem
tego spojrzenia uschło. Wierzy w to, że
gdyby spojrział tak na bezpłodną skałę, to
wyrósłby z niej cedr. Ale rabboni nie chce
używać swej siły na doczesny pożytek ludu...

Lud zaś cierpi i czeka. Rabboni jest
pasterzem: czemu trzody swej nie nakarmi?
Rabboni jest stróżem: czemu wpuszcza
przez wrota Głód, Nędzę i ~ Rzymian?!

Nasyć usta a ręce nie będą pożądały
cudzego dobra. Uspokój wnętrzości a wargi
nie będą obrażały przykazań proroków
i mędrców. Silny jesteś, skieruj żrenicę na
bezpłodną ziemię, niech każdy głąz zamieni
się w chleb a każda bryłka ziemi w kru-
szec szlachetny; i niech po ten chleb i po
ten kruszec sięga tylko ręka twego ludu...

Rzekłszy to wyciągnął ramiona w kie-
runku dolin.

Rabboni ukrył w dłoniach oblicze i słu-
chał. On zaś wywodził dalej, z coraz wię-
kszym ogniem, choć błyszczące oko jego
było chłodne. Rabboniego ogarnęło przykre
uczucie i odparł:

~ Dręczysz mnie. Odejdź!

Na widnokręgu ukazał się czerwony
róg księżycy. Okolica sposepniała jeszcze
bardziej.





Blask padł na twarz rabboniego i na twarz owego mężczyzny, który zamilkł, ale nie odchodził.

Rabboni wciąż oblicze w rękach ukrywał a myślami odbiegł daleko od szczytu, na którym siedział i od mężczyzny, który oka z niego nie spuszczał.

Dumał a w owej zadumie poczęła go ogarniać wielka żalność nad nędzą świata. Wtedy ów mężczyzna szepnął znowu:

— Litujesz się sercem, nie rozumem. Do czasu karmić będziesz podniosłemi słowy!

Wtedy rabboni się rozgniewał, obrócił płonące oczy na owego mężczyznę a ten ukrył głowę w barkach, wstał, zszedł z góry i zniknął w ciemnościach.

.....

Rabboni odetchnął. Zdawało mu się, że z owym mężczyzną jakaś chmura odpłynęła, która przysłańiała mu ziemię. Księżyc sunął w górę i nieco rozjaśnił pustynię. Nocne ptactwo poczęło zataczać koła nad wzgórzami. Gdzie niegdzie rozlegały się krakania. Rabboniego ogarnął niepokój.

Siny róg księżycy zawisnął na niebie a potem jął znowu opuszczać się ku ziemi. Czerwieniał, aż rozgorzał jak płomień pochodni. Puszcza posepniała coraz bardziej.

Rabboni wstał, zstąpił ze szczytu i począł krążyć między skałami.

Niepokój rósł w nim ustawicznie. Widział przed sobą jakby drogę unoszącą się w powietrze. Stroma była, ciernista, zasypana rumowiskiem ostrych głazów. Zdało mu się, że widzi po za sobą w kształtach cienistych niezliczone tłumy ludzkie, że wskazuje im ową okropną drogę, sam rusza naprzód, że tłumy z lękiem usuwają się, że nikt za nim nie kroczy...

To znowu zdawało mu się, że jakieś morze zalewa pustynię a on z cienistymi tłumami stoi na brzegu. Stawia stopy na falach, kroczy po odmętach; cienie z wyciągniętymi rękami rzucają się za nim. Ale pod ich stopami rozstępują się ruchliwe wody, tłumy zapadają się, toną...

Blady brzask dnia spłoszył widziadła. Rabboni rozejrzał się dokoła siebie a następnie, myląc drogi uczniom, począł przebiegać się przez kraj, gdzie jeszcze nie był znany, przez miasta, w których jeszcze nie kazał i nie uzdrawiał. Patrzył pilnie na ludzi i na ich życie. Już zapadał mrok nocny, kiedy stanął przed Jerozolimą.

Minął strażników w bramie i wszedł w uliczki. Tłumy snuły się wszędzie; on patrzył po nich i wszystko, co widział,





starał się zapamiętać dokładnie. Potem miał pałace bogaczy a pałaców tych naliczył wielką ilość. Następnie minął gmach, w którym stała część załogi, przeznaczonej do czuwania nad miastem. Wreszcie ujrzał sześćdziesiąt wieżyc warowni i snujące się po murach straże. Ujrzał potęgę i bogactwo, one siły rządzące światem i piszące prawa, według których plemię ludzkie żyć miało. Potem minął pałac Wielkorządcy, przedstawiciela rzymskiej potęgi. Wtedy ów gwar miejski, owe wspaniałe domy bogaczy, owe wojska, owe wieżycy warowni, wszystko to razem wydało mu się jakąś górą, która leżała w poprzek jego drogi, górą, której przedtem nie widział, o której nie myślał nigdy, on, nad brzegami jezior do prostaczego ludu przemawiający, on uzdrawiający chorych i pokrzepiający upadłych. Ogarnął go wielki smutek, skierował swe kroki ku świątyni, wszedł na jej zrub i tam zapłakał. A już noc zapadła nad miastem.

Niebo nie iskrzyło się gwiazdami. Ciemne chmury zasnuły błękit. Dokoła było ponuro, straszno. Głucha świątynia wywierała wrażenie przygniatające. Rabboni pochylił twarz na mur a łzy jego ściekały po ścianie.

Wtedy rozległ się za nim szept:

— Nie usłuchałeś mnie..! Nie uwierzyłeś słowom moim... Przeszedłeś przez kraj od puszczy aż po zrab świątyni i lży pociekły ci z oczu... Ale inaczej jeszcze zapłaczesz!

Znowu stanął za nim ów mężczyzna. Rabboni poznał go po głosie. Ale nie odwrócił ku niemu głowy. Ten zaś szeptał dalej:

— Słaby jesteś... Słabszy, niż mnie-
małeś... Zwątpienie kąsa ci duszę... Wi-
działeś załogę i pałac namiestnika?... Wi-
działeś mieszkania nasze?... Cóż ty zna-
czysz i co uczynić możesz?!...

Rabboni począł drżeć. Szept w cie-
mnościach rósł.

— Jeszcze dziesięć tysięcy nędzarzy
pójdzie za tobą... Jeszcze drugie dziesięć
tysięcy kalek wyciągnie ku tobie schorzałe
ramiona... I co potem? Co dalej?!...

Rabboni znowu przysłonił twarz rę-
kami.

— W kołczanie dobrych chęci twoich
braknie strzał... Może mimo to one żebra-
cze tłumy nie odwrócą się od ciebie..! Ale
ty sam — co poczniesz ze sobą?... To dla
chorych i ślepych, to dla nędzarzy... Ale
co dla zdrowych, rozumiejących życie i nie





mogących umrzeć?... A jeżeli głosisz królestwo nie z tego świata, czemu przybyłeś?... Żali zrozumieją cię żywi i pójdą za tobą?... Marzycielem jesteś!... Spójrzysz w dół z wysokości tej świątyni! Rzuć się w zwątpieniu czaszką na głązy a jeżeli Adojnoj powołał cię i twój rozum za narzędzie sobie obrał, to tam w głębi czekać cię będą ramiona aniołów, które ujmą cię i lekko na ziemi postawią, marzycielu!...

Rabboni odwrócił się w stronę, skąd płynął szept, i spojrział. W mroku mgławiła się postać o świecących oczach. Usiłowała wzrokiem zmierzyć się z rabbonim ale po chwili opuściła w dół owe świecące oczy, zwróciła się ku schodom i znikła w pomroku.

.

Rabboni uciekał z miasta.

Noc spotkała go znowu na puszczy, po której krążył w rozterce myśli. Mijały poranki i wieczory a on, jadła do ust nie biorąc, błąkał się między skalistymi urwiskami, opierał niekiedy czoło o ścianę góry i tonął w zadumie.

Aż pewnej nocy wstąpił znowu na ów strzelisty szczyt. W tej też chwili ów mężczyzna stanął przy jego boku.

Księżyc odsłonił całą tarczę swoją.

Światłość zalewała puszcze aż po brzeg widnokręgu, na którym ciemniał las palmowy.

Wtedy ów mężczyzna obrócił świecące oczy na rabboniego a wyciągając obie ręce w dal, rzekł głosem silnym:

— Przemawiałem do ciebie dwa razy i nie usłuchałeś mnie... Patrzyłeś własnymi oczami na kraj rozciągający się od puszczy aż po mury Świętego Grodu... Chyba teraz zrozumiałeś, czym jest świat i czym muszą być ci, którzy chcą nim władać... Patrz jeszcze i rozważaj!

Rabboni spoglądał po dalach. On zaś mówił:

— Patrz na te doliny, miasta, warownie, załogi... Patrz na te tłumy nagie i odziane, nędzne i możne... Patrz na te szałas, pałace i warownie... To wszystko legnie u twych stóp, to wszystko posłuszne ci będzie, jeżeli za mną pójdziesz!

Rabboni zmarszczył czoło.

— Oddam ci rząd nad tem wszystkim, słyszysz? Oddam ci panowanie nad ziemiami temi i nad temi ludami!... Nałóż się jeno ku mnie! Czyń, co ci wskażę! Bądź mi posłusznym!

Ale rabboni już go dotknął wzrokiem swoim. Uniósł dumnie głowę i zagrzmiał:





— Precz, kusicielu! Władcą jesteś głodu i pragnienia, smagać możesz niedolą, ale duszy ludzkiej nie ujarzmisz! Precz! I ostał się sam na szczycie góry.



Po upływie miesiąca Kajafas siedział o pięknym popołudniu w ogrodzie i najstarszemu synowi dyktował list do pewnego kupca w Rzymie, kiedy mu oznajmiono, że przybył Suten i pragnie się z nim widzieć.

Kajafas przerwał natychmiast pracę, syna odprawił a Suteną kazał wieść do mieszkania, dokąd wnet sam przybył.

Suten był zły i milczący. Na twarzy jego widne były dni podróży. Kajafas uściśnął go; Suten odpowiedział chłodnem ujęciem jego ramion.

Kajafas się stropił.

— Posmutniałeś mi, synu — rzekł do niego, sadzając go obok siebie i zbliżając twarz do jego twarzy, aby mu się baczniej przypatrzeć.

Suten milczał.

— Cóż on wróżek, coż on uzdrowiacz, kochanek pospółstwa, gwiazda zaranna

kalek? — wypytywał z nieco drwiącym uśmiechem.

Suten nie odpowiadał. Kajafas pilnie nań patrzył i mówił coraz uszczypliwiej:

— Żali go nie ujrzy oko moje? Kiedyż zjawi się ten wódz przyszłych wojsk naszych? kiedyż utworzy legiony, zrzuci zwierzchnictwo Rzymian, kraj wybawi i władzę królewską złoży w nasze ręce?

Wyraz „królewską“ i „w nasze ręce“ wymówił ze szczególnym naciskiem. Suten ściągnął brwi, czas jakiś milczał; wreszcie rzekł sucho:

— Omyliłem się. To jest człowiek mały.

— Może i lepiej — zaśmiał się Kajafas, przymrużając oczy. — Ale ty, Suten, jakoś nie bardzo szczęśliwie uprawiasz politykę... Latasz po pustyniach za jakimś znachorem, kiedy my tu mamy na głowie rzeczy epokowe.

Suten ruszył ramionami. Kajafas począł dłubać palcem około dziąseł a następnie rzekł:

— Nie wybrałbys się do Rzymu?

— W jakim celu? — mruknął Suten.

— Jedzie stary Chaleusz, wybiera się Szemil i Jochaja. Namawiam także Anna-





sza. Same siwe i najbardziej poważane głowy!

Suten nie mógł zrozumieć, czemu Kajafas bynajmniej się nie dziwił, gdyż w czasie jego nieobecności zaszły w położeniu rzeczy ważne zmiany. Zaczął tedy Suten objaśniać.

— Otrzymaliśmy niezbite dowody na to, że obecna kochanka cezara rzymskiego jest żydówką. Ma to być niezmiernie szlachetna niewiasta. Cezar poznał ją w czasie uczyty u swego ulubieńca Sejana, gdzie występowała w chórze. Inny ulubieniec nazwiskiem Macro, ułatwił zbliżenie i dziś jest to pierwsza kobieta w stolicy świata.

Suten zachnął się.

— Cóż to nas obchodzić może? — zawołał niecierpliwie.

— Cóż to nas obchodzić może, Suten?! Zdziczałeś w tym barbarzyńskim kraju wśród wróżków i nędzarzy! Cóż to nas obchodzić może?... Jedzie delegacya, aby się z nią porozumieć. Wywiera wpływ na cezara i może przez to wiele usług nam wyświadczyć, może bardzo wiele dla nas zrobić... Co tobie, Suten? Ja ciebie nie poznaję!

I wyjąwszy palec z ust począł głową kiwać. Suten skrzywił twarz szyderczo i mówił, kładąc nacisk na każde słowo:

— No, no, siwe głowy narodu, poważne starce, kapłani i arcykapłani udają się po protekcję do nałożnicy... Jeszcze nie mieliśmy czegoś podobnego!

Kajafas chwycił go za rękę.

— Tfy! — splunął Suten, odtrącił pogardliwie ramię starca i wyszedł.

Kajafas obrócił się za nim na krześle, patrzył ku drzwiom, kiwał głową.

— To waryat! — szepnęła, nie mogąc zapanować nad zdumieniem. — I taki człowiek chce uprawiać politykę!

Uśmiechał się i potrząsał głową.

— Czego on od nas chce? — szeptał i raz jeszcze począł rozważać sprawę delegacji.

— Czego on chce od siwych włosów Szemila, Jochai, Chaleusza i Annasza?... Czego on chce od tej poczciwej żydówki, która oddała się cesarowi?...

— To jest niebezpieczny waryat! — zakończył wreszcie.

W tej chwili stanął na progu sługa i oznajmił, że przybył przełożony świątyni, który zwał się Szymon.

Kajafas kazał go wprowadzić. Szymon był niezmiernie blady, drżały mu ręce i wargi. Skłonił się głęboko a Kajafas spytał go o powód przybycia.





Szymon doniósł wzburzoną głosem, że lud pochwylił przed świątynią jawno-grzesznicę, otoczył ją i chciał ukamienować. Ale wdała się w to straż Wielko-rządcy, ujmując się za kobietą. Wynikł tedy spór, w czasie którego powstało wielkie zbiegowisko. Tymczasem pojawił się setnik i dla uspokojenia tłumu oświadczył, iż każe straży odstąpić od tej kobiety, jeżeli kapłani ją potępią. Co zatem czynić? Lud czeka z kamieniami i krzyczy, straż odwołuje się do kapłanów. Należy powziąć postanowienie szybko, gdyż może dojść do starcia pomiędzy ludem a strażą.

Skończył i czekał odpowiedzi. Kajafas począł najspokojniej dłużyć palcem w zębach, następnie cmocnął językiem i spytał:

— Jak brzmi szóste przykazanie?

Szymon wyrecytował tekst.

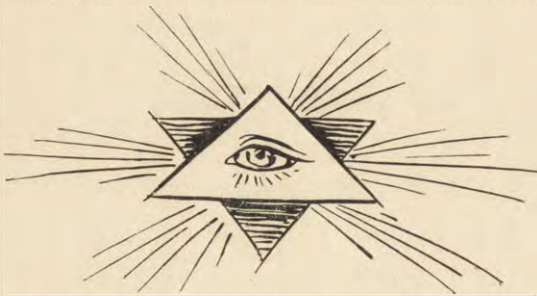
— A co mówi Mojżesz w Piśmie? — pytał znowu Kajafas.

Szymon przytoczył trzy miejsca. Wtedy Kajafas wstał, podniósł prawą rękę do wysokości czoła i rzekł uroczyście:

— Niech lud da wyraz swemu oburzeniu!

I skinął. Szymon skłonił się głęboko i wyszedł pospiesznie, Kajafas zaś klasnął na sługi, aby go odprowadzili do Annasza,

którego raz jeszcze chciał namawiać do wzięcia udziału w delegacyi głów narodu, udających się do najgłośniejszej jawnogrzesznicy, aby przez nią wpływać na rzymskiego władcę.







MAJLACH.



ad brzegiem morza Tyberyadzkiego wiódł żywot pustelniczny nędzarcz imieniem Majlach, niegdyś mąż bystrego rozumu, wielkiego znaczenia i posiadacz licznych trzód. Ale gdy wrzody pootwierały jego ciało, gdy obmierzła choroba uczyniła go wstrętnym i zaraźliwym, przyjaciele i pochlebcy usunęli się od niego, pozbawiając go znaczenia, pasterze i rządco- wie rozkradli mu trzody a rozum jego w chorobie i ubóstwie utracił wszelką bystrość. Z rozumu tego pozostało zaledwie tyle, aby pojął całą marność i znikomość zabiegów ludzkich, bezdenną przewrotność świata i niedocieczone szyderstwo losu.

Schorzały Majlach przesiadywał dniami całymi nad brzegiem wód Tyberyadzkich, patrząc po marszczących się dalach. Fala za falą nadbiegała, wzdy-

mała się, pryskała i nikła. I patrząc na to rozpryskiwanie się fal Majlach śmiał się gorzko a owrzone usta jego szeptały:

— Oto człowiek!

I znowu:

— Oto jego losy!

I jeszcze:

— Oto dążenia ludzkie i cel osiągnięty!

Te słowa powtarzał przy rozpryskiwaniu się każdej fali i śmiał się gorzko, potrząsając głową. Dopiero kiedy głód poczynał mu dokuczać, czołgał się wzdłuż wybrzeża, zbierając i połykając to, co morze z łona swego wyrzuciło na piaski.

Noc spędzał w szałasie, pokrytym zeschniętymi liśćmi. Leżał na mchu leśnym i jęczał a sen zazwyczaj na krótko przymykał mu powieki, odejmując pamięć o boleściach.

Często zaś sen trapił go więcej, niż jawa. Bo niejednokrotnie zdawało mu się w uśpieniu, że zbiera muszle na wybrzeżu, rozdrapuje nimi rany swoje, aby ich było więcej.

To znowu zdawało mu się, że drżącymi rękami czerpie słoną wodę morską i leje na swe rany, aby go więcej bolały.

I jeszcze zdawało mu się, że chodzi po rozległym łądzie, jadem ran swoich namaszcza każde drzwi, aby cała ludzkość cierpiała i marność swą spostrzegła.

Tak mijały skwarne lata, piękne jesienie, dżdży-

ste zimy i kwieciste wiosny. Zapomniał Majlach, że był niegdyś bogaty, że posiadał znaczenie i inny sposób myślenia. Zdawało mu się, że przyszedł na świat z wrzodami, że urodził się w nędzy i osamotnieniu i że obecne jego myśli odbyły za nim pochód od kołyski przez długą drogę życia aż po nad brzeg morza Tyberyadzkiego.

Od czasu do czasu, kiedy siedział na wybrzeżu patrząc po rozpryskających się falach, wzrok jego padał na krążące w oddaleniu łódzie rybackie. Ludzie w nich siedzący zapuszczali koło południa sieci a wyciągali je z morza nad wieczorem.

Przypatrywał się Majlach ich rzemiosłu a kiedy z nastającym zmierzchem znikali, zdawało mu się, że jakaś fala rozprysła się bez śladu. I gorzko śmiał się z trudów i zabiegów tej fali ludzkiej; pragnął bryznąć na nią swym jadem z wrzodów ciekącym, aby cierpiała i znikomość swą spostrzegła.

Wszelako razu pewnego jedna łódź zawinęła do brzegu a w niej siedział rybak imieniem Piotr. Zajęty naprawą sieci nie zauważył zrazu owrzodzonego człowieka. Dopiero kiedy ten począł się gorzko śmiać, obrócił na niego prostacze oczy a wyszedłszy na brzeg począł się nad nim litować.

Majlach odpowiedział na jego litościwe słowa szyderstwem. Ale rybak nie zraził się i siadł na piasku około niego.

Wtedy Majlach począł mówić i otworzył mu oczy na ono rozpryskiwanie się fal a następnie

śmiał się gorzko, potrząsając głową. Potem otworzył mu oczy na całą znikomość dążeń i zabiegów ludzkich i śmiał się urągliwie. Potem otworzył mu oczy na ślepotę ludzką, umaczał palec w owrzodzeniu swoim i pomazał jadem twarz rybaka.

Potem zamilkł i przypatrywał mu się pilnie.

Ale rybak odparł, że nie wszystko na świecie jest marnością, jako tego przykładem dobroć. Następnie powiedział, iż nie lęka się jądów, ni owego owrzodzenia, bo zna męża, który za dotknięciem rąk swoich zasklepia rany ciekące i usuwa wszelkie owrzodzenie.

Majlach potrząsał głową i śmiał się powiadając:

— Po upływie tygodnia przyplyniesz na onej łodzi do mnie, abym ci pół szafasu odstąpił!

A rybak odparł:

— Przyjdzie czas, kiedy z ust twoich zniknie nietylko owrzodzenie, ale i ów gorzki śmiech.

Rzekłszy to powstał, aby odpłynąć. Ale Majlach przyczołgał się do niego i pomazał mu jadem nogi. Na to rybak podał mu do pomazania jeszcze obie ręce. Majlach pomazał je również, następnie pomazał mu powieki, usta i uszy.

Potem zachołgał się do swego szafasu a rybak odpłynął.

Nocą zerwała się wielka nawałnica i rzuciła się na wody morza Tyberyadzkiego. Fale dźwigały się i z wielkim szumem rozlewały po wybrzeżu. Piany z ich szczytów odrywały się, bryzgając bia-

łemi płatami na wzgórza i znajdujące się tam drzewa. Morze poruszyło się aż do dna swojego. Chmury kłębiły się tak nisko, iż fale wzdętymi czubami sięgały ich niemal. Wicher ciskał krążące ptactwo na morze i topił. Wody wyrzuciły na wybrzeże wielką ilość martwych ryb i przejrzystego płazu. Przytem grzmoty i błyskawice szerzyły takie przerażenie w przyrodzeniu, że zwierz leśny począł ryczeć lękliwie a sępy nie miały odwagi dziobać martwych ryb, zalegających zwilżone piaski.

Majlach mniemał, że wzburzone wody zalały łódź rybaka a jego pochłonęły. Kiedy nastał poranny brzask a nawałność się uśmierzyła, wyczołgał się nad morze i patrzył po falach, czy nie wyrzucą na brzeg szczątków łodzi i zwłok człowieka.

Okolo południa ukazały się w oddaleniu łodzie a siedzący w nich rybacy zapuszczali sieci do morza. Pod wieczór jedna łódź zawinęła do wybrzeża. Majlach ujrzał w niej znajomego rybaka.

Tedy zapytał go, gdzie noc spędził.

Rybak odrzekł, iż na morzu, albowiem za dnia naprawiał sieć a nocą połów był dziwnie obfity.

Majlach odparł mu na to, iż kłamie, gdyż nocą burzyły się wody i była wielka nawałność.

Rybak odrzekł, że istotnie fale poczęły się wzdymać; ale ów mąż, o którym już mu wspominał, zstąpił z łodzi na wody i uśmierzył je.

Wtedy Majlach począł się śmiać urągliwie i przy-

czołgawszy się do rybaka namazał mu znowu jadem swego owrzodzenia czoło, powieki, twarz, usta, piersi, ręce i nogi.

Potem siedział długo na wybrzeżu, póki łódź z rybakiem nie znikła w oddaleniu i ciemność nocna nie pokryła mrokiem morza i lądu.

Codziennie siadał Majlach na brzegu morza Tyberyadzkiego patrząc po falach. Ale łodzie nie pokazywały się i rybak Piotr nie zawijał do zatoki. Wtedy Majlach począł śmiać się jeszcze urągliwiej i radować się gorzko, że bodaj jeden sen jego się ziścił, że bodaj jednego człowieka zaraził jadem swego owrzodzenia i otworzył mu oczy na prawdę istnienia ludzkiego.

Minęło pięć dni, potem sześć i siedm dni. Aż dnia ósmego pod wieczór pojawiła się łódź na widnokręgu wodnym, zbliżała się szybko a kierował nią jeden człowiek.

Majlach począł się śmiać.

Zdawało mu się, że widzi twarz opuchłą i poczerwieniałą, oczy napętnione przerażeniem i że przez oddalenie bije już na niego oddech gorący. Patrzył chciwie i śmiał się.

I już widział obok siebie na piaskach wybrzeża skulonego nędzarza o ciekących ranach, patrzącego zgryźliwie na rozpryskające się fale i powtarzającego jego słowa. Widział to już i śmiał się.

Łódź ślizgała się po wodach jak ptak, gdy skrzydła na powietrzu rozłoży i płynie ku ziemi. Stał

w niej rybak Piotr i szukał okiem dwóch gładów, pomiędzy które wprowadziłby swój statek.

A osadziwszy go, jak zamierzał, wystąpił na brzeg, zbliżył się do Majlacha, powitał go i zapowiedział, że nazajutrz zbierze się na wybrzeżu wielu z pomiędzy rybaków i ich rodzin, tudzież ludu innego rzemiosła. Niechaj przyłączy się do nich i słucha słów, które przed owem zgromadzeniem zostaną wyrzeczone.

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy Majlach, przyczołgawszy się, począł dotykać jego nóg, rąk, twarzy, policzków, powiek i uszu. Pilnie śledził i patrzył i dotykał i oczom swoim nie wierzył.

Tedy rybak rzekł:

— Jad twych wrzodów nie zarazi mnie a niebawem nie zarazi już nikogo, choć tu wiele ludu nadciągnie a o szalasio twoim słyszało. Uwierz jeno w tego, który jest prosty jako ja a który uczy innej nauki, niż twoja.

Powiedziawszy to odpłynął a Majlach zaczął się do swego szalasu. Noc nadeszła ciemnymi krokami a on usnąć nie mógł. Ból srogi doskwierał mu a on nie jęknął. Słyszał gwarliwe rozpryskiwanie się fal na wybrzeżu, ale nie śmiał się już.

Wątpliwość jakaś błąkała mu się po głowie i wodziła za sobą wszystkie jego myśli. Zdziwił się, że rybak nie dostał owrzodzenia. Zdziwił się, że naprowadza tłumy do morskiego wybrzeża, którego każdy unikał.

Potem przymknął powieki i zdało mu się, że ów dziwny rybak nawiedził go i siadł u wejścia do jego szafasu.

Jął go tedy pytać:

— Skąd wzięłeś, rybaku, tę spokojność duszy?

A rybak uśmiechał się tylko. I pytał go Majlach dalej:

— Skąd wzięłeś, rybaku, tę obojętność na rany i owrzodzenie?

A rybak uśmiechał się ciągle. I pytał go Majlach jeszcze:

— Skąd wzięłeś, rybaku, tę mądrość, która zapowiada rzeczy nadzwyczajne i doczekuje się ich spełnienia?

A rybak uśmiechnął się raz ostatni i zniknął.

Majlach zbudził się i rozważał to, co mu się we śnie wydawało a następnie usnął powtórnie.

I w tem powtórnem uspieniu zdało mu się, że siedzi nad brzegiem morza i patrzy po rozpryskających się falach. Każda kropelka wody jest ludzką głową. Fale onych głów nadbiegają, rozlewają się po wybrzeżu a z piasków wstają tłumy rybaków i dążą w głąb kraju. A poziom wód nie zmniejsza się, nie zniża, jeno wzdyma nowe fale bez końca i bez przerwy.

Majlach zbudził się i myślał długo nad tym wtórym snem swoim, jakieby mu dać wytłómaczenie. Wtedy usnął po raz trzeci.

I w onym trzecim śnie zdało mu się, że stoi

opodał wybrzeża i patrzy po wychodzących z morza rybakach. Nagle przypomniał sobie, że kiedy nie miał owego owrzodzenia, to był bardzo podobny do niektórych z onych ludzi. To zastanowiło go i począł z większą pilnością przypatrywać się wychodzącym z wód morskich rybakom. Naraz ogarnęło go wielkie zdziwienie, albowiem im więcej ludzi występowało, tem podobieństwo stawało się większem. W końcu zdało mu się poprostu, że to on w nieskończonej ilości postaci wychodzi z toni morskiej i podąża w głąb kraju. Tedy zbudził się i nie mógł zrozumieć, co by owe trzy sny znaczyć miały i jaki byłby ich wykład.

Następnego dnia zaczął się o świcie nad wybrzeże i patrzył aż do południa po widnokregu wodnym. Rany paliły go; we wnętrzu czuł ogień. Zapłakał.

Słone łzy, spływając po owrzodzonych policzkach, zwiększały jego boleści. Ale już nie rozumował urągliwie, już szyderstwo opuściło jego duszę. Jeno ostała się tam żalność żadna utulenia. Płakał wciąż.

Morze ułożyło się niby gładka modrość nieba. Słońce rozniecilo złoty swój pożar nad światem. Liście powisły nieruchomie na drzewach. Ptactwo leśne posnęło na gałęziach, chcąc przedrzemać skwar południa.

A on płakał i płakał.

Pod wieczór zaroily się łodzie w oddaleniu a równocześnie na wybrzeżu poczęły zjawiać się

gromadki niewiast, starców i dzieci. Siadali na piaskach, na kamieniach, na leżących kłodach obalnego drzewa. Dziwiło Majlacha to, że nikt nie stroił od niego a uśmiechem coś zapowiadał.

Łodzie przybiły do brzegu; rybacy zmieszali się z niewiastami, starcami i dziećmi. Potem starcy i niewiasty z dziećmi posiadały w łodzie a mężczyźni zalegli wybrzeże. I widniała głowa przy głowie u ziemnego krańca wód morskich, jakoby garbaty łąd z samych głów się składał. W on czas jedna łódź odbiła nieco od brzegu a w niej siedziało dwóch ludzi. Pierwszy z nich był to Piotr rybak a drugi mąż nieznany.

Oblicze onego męża było dziwnie spokojne a oczy obracały się tak, jakby niemi każdego dotykał. A przytem była w nich wielka jasność i wyraz i zrozumienie rzeczy. Około wyniosłego czoła gromadziły się płowe włosy, opadające na barki, które były pokryte białą szatą. Majlach nie mógł wzroku oderwać od tej twarzy. A on mąż siedział w łodzi oparłszy brodę na rękę i patrzył po zgromadzonym na wybrzeżu ludzie. Wtedy Piotr rybak wyjął wiosło z wody, siadł również w łodzi i opuścił głowę na piersi.

Zaległa cichość, przerywana lekkim trącaniem wód o brzeg czółna.

Po chwili zabrzmiał stamtąd głos a Majlach wstrzymał oddech. Słowa płynęły przez powietrze i rozchodziły się między zgromadzonymi na wybrzeżu.

Dziwny ten mąż wygłaszał przypowieść o człowieku rozumnym i o człowieku dobrym. Człowiek dobry był panem a człowiek rozumny sługą tamtego. Ale niebawem człowiek rozumny zauważył, że jeżeli się zaniedbuje w swej obsłudze, to człowiek dobry czyni za niego to, czego nie wypełnił. Spostrzegłszy to, począł się coraz bardziej opuszczać i na koniec zaprzestał całkiem czynić, co był obowiązany. I zauważył nareszcie, że dzięki temu stosunek pana i sługi uległ zupełnej przemianie. A co zauważył, było prawdą. Człowiek rozumny stał się panem a człowiek dobry sługą. Tymczasem nastąpiła wojna. Wypowiedział ją człowiek rozumny, gdyż dokładnie obliczył, że posiada siedmiokrotnie więcej wojska, lepsze uzbrojenie, że może zatem bezpiecznie napaść na nieprzyjaciela i ograbić go z jego dobytku. Napróżno odradzał mu człowiek dobry. Tyś jest dobry, mówił tamten, więc żał ci rozlewu krwi; ale ja jestem rozumny i widzę, że wzmożenie się na siłach jest potrzebne. Wojna wybuchła. Ale w pierwszej bitwie człowiek rozumny otrzymał ciężką ranę w głowę, spadł z rumaka swego a wojsko, tratując po nim, poszło na nieprzyjaciela. Leżał tedy on rozumny człowiek na polu w cierpieniu i osamotnieniu a tymczasem wódz jego, rad z onej okoliczności, że pan na polu znikąd pomocy nie mając wyzionie ducha, pobił wroga, odebrał mu skarby i ogłosił się królem dwóch narodów. Wojska przysięgły mu na wierność i otrąbiono pokój. Wszyscy

powrócili do swych zajęć. Po jakimś czasie zjawił się na progu człowieka dobrego nędzarz błagający, aby go wsparł i przyjął na służbę bodaj do posług najłichszych, byle mu dał dach nad głową i kawałek chleba na pożywienie. Ulitował się człowiek dobry, wprowadził go do swego domu, obmył i owiązał mu rany, a następnie przełamał się z nim chlebem. Wtedy człowiek rozumny, który był zeszedł na nędzarza, bardzo się dziwił i rzekł do człowieka dobrego: byłem twym sługą i nie słucałem cię; za władałem panowaniem nad tobą i odjąłem ci to, co było twoje; czemu mnie nie wypchniesz za próg domu swego, ale łamiesz się ze mną chlebem i rany moje owiązujesz? A człowiek dobry odparł na to: boś jest biedny i cierpisz, bo przyszedłeś do mnie, jakoś był powinien nie odchodzić, bo służyć mi masz, abyś nie cierpiał i słucać mnie masz, abyś ze mną razem wypełniał przykazania.

Wygłosiwszy tę przypowieść, patrzył czas jakiś po tłumach, a w oczach jego grała światłość, która biła na zebranych po górzystem wybrzeżu. Potem odjął rękę od brody, uniół głowę i jął mówić:

— Bądźcie jako ten człowiek dobry a rozumni przyjdą na próg wasz z ranami swojemi. Odejmijcie wszelkie cierpienie innym a gdy ono samo na was przyjdzie, powitacie je jako przyjaciela, który nie dolega. I dziwić się wam będą ludzie a powiadać, żeście porządek świata odmienili. I zaprawdę od-

mienicie go. Człowiek rozumny złoży miecz swój w ręce wasze, a wy on miecz przełamięcie i rzucicie w ogień. Człowiek rozumny przyniesie wam to, co zabrał innym, a wy on dorobek zwrócicie między wszystkie i nie będzie swaru. Człowiek rozumny przyniesie wam swój rozum, a wy on rozum zamienicie w zwierzę pociągowe, aby był pożyteczny a nie szkodliwy. I nastanie jeden pasterz i jedna trzoda. Zaprawdę powiadam wam, to stanie się, jak się stała światłość i niebo i morza i ląd. Człowiek dobry zagoi rany, otrze łzy, uśmierzy cierpienia, nakarmi głodne, napoi spragnione i podniesie upadłe. Człowiek dobry uczyni was ślepcami na to, co jest przemijające, a otworzy wasze oczy na to, co jest wieczne. Zaprawdę powiadam wam, że to się stanie, choć pierwszej onego człowieka dobrego rozumni prześladować będą, zagłuszą szyderstwem jego słowa i przybiją mu gwoździami ręce do drzewa, aby nie mógł czynić wedle dobroci swojej.

W tłumach ozwał się cichy płacz, a potem padały urywane słowa:

— Tyś on człowiek dobry!

I znowu:

— Tyś on, którego zapowiadasz!

I jeszcze:

— Tyś jest, który goisz rany, ocierasz łzy i podnosisz upadłe!

Piotr rybak włożył wiosło do wody i łódź do

brzegu skierował. A gdy oparła się o piasek, tłoczyły się do niej matki i podprowadzały dzieci do onego męża, aby je błogosławił. Potem zbliżali się różni cierpiący, a on kładł rękę na każdej głowie, patrzył w niebo i szeptał jakieś ciche, niesłyszalne słowa.

Cichość nadzwyczajna była w przyrodzeniu. Zdawało się wszystkim, że niebo skłania swój błękit bliżej ziemi, a powietrze przepelnia się wonią różnych aromatów. Trącanie wód o brzeg czołna umilkło i morze stało się nieme, jakby zasłuchane w mowy i uczynki tego, który poruszał, uzdrowiał i utwierdzał.

Majlach leżał na wybrzeżu, widząc wszystek tłum i onego męża z rybakiem Piotrem na łodzi. Patrzył długo z rosnącym zdumieniem i słuchał. Słowa onego męża padały na niego jak promienie słoneczne, przeświecały go i rozjaśniały mu duszę. Potem zawładnęły nim całkowicie. A gdy on mąż umilkł na końcu przypowieści, Majlacha ogarnął smutek i tęsknota. Brak mu było owych słów. Przyczołgał się bliżej. Ludzie rozstępowali się i czynili mu widok na morze. Kiedy z czołna zabrzmiał głos powtórnie, Majlach począł drżeć na całym ciele, trząść głową, a łzy rzuciły mu się z oczu. Łódź tymczasem dobiła do brzegu. Matki poczęły podprowadzać dzieci, tłoczyli się inni i wyciągali ręce. Wtedy Majlach, drżąc na całym ciele i ślepy od łez

w oczach, począł się czołgać w stronę największego tłoku. Już nie widział, co się około onej łodzi działo. Nad nim wyciągały się ramiona, rozlegały się najczulsze wołania; fala tłumy zbliżała się do wybrzeża, a on na jej dnie czołgał się po piasku, dysząc i płacząc. W ten sposób doczołgał się do brzegu i znalazł się u zrębu łodzi. Podniósł oczy. Ludzie ustąpili już z czołna, a spojrzenie onego dziwnego męża padło na niego.

Majlach przeczołgał się przez zrąb łodzi, pełzał po deskach i podniósł twarz zalaną jadem i łzami; owrzodzone jego usta poruszały się błagalnie.

A on dziwny mąż wyciągnął rękę ku niemu i położył dłoń na jego głowie, której nikt dotknąć nie śmiał.

Majlach jęknął:

— Wejrzyj na mnie, Panie!

Wtedy posłyszał nad sobą:

— Niech ci odjęta będzie boleść...

I Majlach przestał cierpieć.

— Niech ci odjęta będzie szpetność...

I zamknęły się rany Majlacha.

— Niech ci odjęta będzie twoja niewiara...

I Majlach uzdrowiony a silny padł na twarz ze szlochaniem.

Piotr rybak włożył wiosło do wody, łódź oddaliła się od wybrzeża i od tłumów, zaszumiał odmęt morski, a Majlach ciągle płakał

Wtedy poczuł znowu dłoń na swojej
głowie i szlochając zapytał:

— Czego żądasz, Panie, odemnie?

I zabrzmiało nad jego głową:

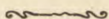
— Wierz w dobroć i czyn innym,
jakom ja ci uczyniłem.







GAMALJEL.



całem Nazarecie imię jego było imieniem nadziei. Syn miejscowego bogacza, kształcony starannie w Piśmie, był bardzo pobożny i jeszcze więcej ambitny. Pobożność jego przechodziła wszelkie granice upamiętania. Gdy odmawiał modlitwy, twarz jego przybierała wyraz zachwytu, usta drżały, a oczy stawały słupem. Kiwał się przytem na wszystkie strony, poruszał rękami, a głos jego górował nad tłumami. Od wielu lat czytywał przed ludem ustępy z Pisma. A wtedy żadna siła nie byłaby go oderwała od miejsca, na którym stał.

Razu pewnego, gdy począł w bóżnicy wywozić, stanął za nim brat i szepnął:

— Ojciec został rażony i kona. Spiesz do domu.

Gamaljel ani drgnął, wywodził jeszcze godzinę, a następnie drugą godzinę kiwał się, szepcząc modlitwy. Gdy powrócił do domu, ojciec już dawno nie żył. Wziął się do spełnienia wszystkich przepisów rytuału, a po pogrzebie i dokonaniu pokuty udał się do brata i zgromił go za przerwanie modlitwy. Brat tłumaczył się tem, iż ojciec umierał. Gamaljel odpowiedział mu na to, że jeśli raz jeszcze zdarzy się coś podobnego, to go pociągnie do publicznej odpowiedzialności.

Brat uląkł się, gdyż był przeświadczony, że oskarżenie, wniesione przez Gamaljela, będzie już wyrokiem. Ale postanowił się na nim zemścić.

Razu pewnego stanął znów za nim w świątyni i szepnął mu do ucha:

— Kochany bracie, odmawiam modlitwę, aby Bóg ciebie pocieszył! Bo oto zwierz leśny napadł na twoją trzodę i znaczną ci szkodę wyrządza. Pasterz opędza się mu, ale nie może dać sobie rady. Módl się, aby Pan wejrzał na twoją stratę!

Gamaljel udał, że nie słyszy. Ale po chwili zakręcił się i zniknął. Biegł przez miasto w dolinę nad rzeczkę, odszukał trzodę i pasterza, który spał najspokojniej i o zwierzu leśnym nic a nic nie słyszał. Gamaljel zrozumiał i postanowił odpłacić za to bratu.

Wybierano niebawem członków do rady. Obywatele, chcąc się przypodobać Gamaljelowi, postawili kandydaturę jego brata. Ale jakież było ich zdziwienie, gdy Gamaljel zaprotestował.

— Jestem bratem jego — mówił. — Ale przede wszystkim jestem synem gminy. Któż jest tedy bliższy, gmina-matka, czy brat-brat? O matce mówi czwarte przykazanie; o bracie żadne nie wspomina. A że chcę być dobrym synem gminy, przeto wolę zasłużyć na zarzut złego brata. Tak, jestem złym bratem, który rodzzonego nie obdarza zaufaniem... Ojciec przed śmiercią żalił się na niego. Obiecałem umierającemu starcowi, że roztoczę nad nim dozór i strzedz go będę od pokus. A miejsce, jakie mu ofiarujecie, jest miejscem pokus. Teraz wybierajcie go!

Dziwili się wszyscy jego sprawiedliwości i od-
tąd w dwójnasób go szanowali.

Gamaljel rozumiał od lat najwcześniejszych, że ani sekta esejczyków, ani saduceuszów nie wyniesie go wysoko nad poziom obywateli. Jedyne stronnictwem, w które wierzył, byli Faryzeusze. Garnął się tedy do nich, a ci, potrzebując zawsze ludzi obrotnych, zwrócili uwagę na niego. I krążyły pomiędzy Jerozolimą a Nazaretem listy, które Gamaljel z wielką uwagą odczytywał i wyczerpująco na nie odpowiadał.

Było to miasteczko nieokrzeszańców, głośnie na całą Palestynę. Gamaljel odzywał się, że przemyśliwa nad naprawą tej opinii.

A jako powietrze, które umie wtargnąć wszędzie, jako woda, która przez najmniejszą szparę do okrętu wcieknie, tak i wpływ Gamaljela na wzór powietrza i wody sięgał we wszystkie sprawy,

tyczące zarówno ogółu, jak i jednostek. Minął za-
ledwie trzydziesty rok życia, a już jego władza mo-
ralna w Nazarecie była tak wielka, że żadne po-
stanowienie zapaść nie mogło bez jego udziału.

Gdy cieśla Joasaf zwrócił się do gminy o wy-
dzierżawienie mu kawałka placu, przylegającego do
jego domu, aby mógł na nim warstat swój rozsze-
rzyć, radni już przychyłili się do jego prośby i grunt
odmierzali. Ale wmieszał się Gamaljel i oświadczył,
że żadną miarą nie można przychodzić z pomocą
człowiekowi, który tak źle syna swego pokierował.
Młodzieniec ten, zamiast żyć wedle Pisma i przy-
kładu starszych, włóczy się po kraju z miasteczka
do miasteczka, głosi jakieś nowe zasady i jest w Je-
rozolimie bardzo źle widziany.

Oburzyło to starego cieślę. Udał się do Gamal-
jela i wyrzucał mu, iż zajmuje się oczernianiem.
Syn jego jest rabbim i ma prawo nauczać. Wpra-
wdzie wolałby jako ojciec widzieć go w Nazarecie,
mieć go przy sobie i patrzeć jak poucza w rodzin-
nej bóżnicy; ale syn wyszedł już z pod jego opieki,
a rozumem prześciga starego ojca. Niech więc czyni,
co mu nakazuje sumienie. A Gamaljel niech go dłu-
żej nie obmawia, bo wyrządza mu tem krzywdę
i narusza przykazania.

Gamaljel wyciągnął na to listy pisane z Jero-
zolimy przez pewnego członka Synhedrionu i po-
kazał je cieśli. Ten jednak nie umiał czytać. Wobec
tego Gamaljel sam mu odczytał niektóre ustępy,

poczem stary cieśla zamilkł i odszedł do domu bardzo zmartwiony.

Stanowisko Gamaljela było zatem ustalone i niezachwiane. Majątek jego rósł z przerażającą szybkością, a stosunki z Jerozolimą stawały się coraz ściślejsze.

Nagle rozeszła się wieść, że syn cieśli krąży w okolicy i ma zawitać do miasteczka wraz ze swymi uczniami i gromadą ludzi, która wszędzie za nim chodziła. Musiał ten człowiek wywierać niepospolity wpływ na umysły, bo zawrzało jak w ulu. Z okolic poczęły napływać tłumy; zapełniły się wszystkie gospody; radni miasta, a zwłaszcza możniejsi, którzy nic nie robili i nudzili się, byli zadowoleni, że bodaj kilka dni będzie w niezwykły sposób urozmaiconych.

Gamaljel obaczywszy na co się zanosi, był zły i posępny. Znał tego człowieka. Wszakże niegdyś bawili się razem w piasku, później czytawali wspólnie Pismo. Był to chłopiec, który budził zastanowienie. Ile razy Gamaljel wdał się z nim w spór, tyle razy chłopiec go upokorzył.

Wszczęła się była pewnego razu dysputa pomiędzy towarzyszami o to, który z proroków jest największy? Jeden twierdził, że Izajasz; drugi, że Jeremjasz; trzeci, że Ezechjel; czwarty, że Daniel. Wśród tego sporu Gamaljel tak się zapalił, że począł krzyczeć na towarzyszków. Wtedy ów młodzienczyk ozwał się:

— Ja wam powiem, który z proroków jest największy!

Gamaljel przyskoczył do niego i krzyczał:

— No mów, ty mądry, ty uczony, ty wszystko wiedzący!

Ten zaś odparł z uśmiechem w oczach:

— Ty jesteś największym prorokiem, bo właściwie żadnego z nich w głębi duszy nie uznajesz.

Gamaljel poczerwieniał, przyskoczył i uderzył go w twarz. Towarzysze zdrętwieli.

Ale on uderzony nie stracił spokoju i odparł łagodnie:

— Czemu nie uderzysz mnie w drugi policzek, Gamaljelu, gdy unosi cię gniew i wiesz, że ci nic za to nie będzie?

I spojrział na niego swemi dziwnemi oczami.

Gamaljel odwrócił twarz i wśród wielkiego milczenia opuścił salę. A potem zachorował. Leczono go w przeróżny sposób, ale żadne środki nie pomagały. Nareszcie zaczęto badać przyczyny owej uporczywej choroby. Wtedy dowiedziano się o sporze towarzyszków i o policzku. Przyprawiono tedy młodzieńczyka do łóża chorego. Gamaljel ujął jego rękę i położył dłoń na swoim policzku.

Młodzieńczyk uśmiechnął się:

— Lżej ci teraz, Gamaljelu?

A sumienie Gamaljela było zaspokojone. Podniósł się nieco i szepnął przez zęby:

— Dziękuję ci...

Młodzieńczyk wpatrzył się w niego, westchnął i wyszedł.

Gdy potem dorósłszy opuścił miasto, Gamaljel cieszył się z tego; bo ile razy na niego spozrzał, tyle razy robiło mu się niedobrze.

Teraz powrót jego zaniepokoił go z zupełnie nowych powodów. Głos wewnętrzny mówił mu, że człowiek ten posiada ducha silnego i umie oddziaływać na umysły. Tego zaś bał się przedewszystkiem. Lękał się, aby nie stanął pomiędzy nim a miastem i nie uszczuplił jego wpływów. Znał charakter współobywateli i wiedział, że bardzo łatwo mogą pójść za człowiekiem, o którym obiegało wprawdzie bardzo wiele przesadnych wieści, ale który mógł w każdym razie odciągnąć uwagę miasta od niego na siebie. Nie na to tyle lat tu strawił, zyskując mozolnie popularność! Niech wreszcie ów rabbi agituje, gdzie chce, ale niech mu pozostawi Nazaret! Niech mu się tu nie miesza do spraw, niech idzie dalej — świat jest szeroki, odstępuje mu go!

Mając tedy głowę przepełnioną podobnemi myślami, odwiedzał radnych i starał się przygotować rabbiemu przyjęcie, jakiego ten nie oczekiwał. Listy jerozolimskie były naturalnie wciąż w zanadrzu i co chwila po nie sięgał. Habakukowi, który w rzeczach wiary był wielkim formalistą, powiedział pod koniec rozmowy:

— Człowiek ten pozwalał uczniom rwać kłosa w sabbat!

Awrumowi, który był znowu głośnym skąpcem, podszepnął:

— Człowiek ten zapowiada rozdawanie majątności w równych częściach pomiędzy wszystkich!

Nahumowi, który był bardzo pracowity i praktyczny, a Nazareńczykom zawsze brak tych cnót zarzucał, rzekł:

— Człowiek ten każe brać przykład z leśnego i polnego ptactwa, mawiając, że ono ni sieje, ni orze, a przecież je żywi ojciec niebieski!

Poczęło się tedy w umysłach ludzi wybitniejszych wrzenie, które wzmagalo się jeszcze skutkiem napływu tłumów do miasteczka.

— Patrzajcie — mówił Gamaljel — ażali nadchodzą przaśniki? Ażali święto namiotów się zbliża? Czy może miasto nasze zwie się Jerozolimą? Czy kiedykolwiek na Syon takie tłumy płynęły, jakie na jego spotkanie zdążają? Nie jest-że to więc człowiek, który wyżej sięga niż Pan?

I znowu mówił:

— Do czegoż to dojdzie, jeżeli lud prosty przestanie trzymać się Pisma, a podaży za człowiekiem żywym? Tymczasem dzieje się to już po części, gdyż ów wędrujący rabbi nastaje na Pismo, a lud mu wierzy. W Kafarnaum głosił, że kto za nim pójdzie, ten będzie zbawion. Patrzajcie zatem, aby od jego słów i postępków nie spadło na miasto nasze wielkie nieszczęście!

Radni, podburzeni słowami Gamaljela, odwie-

dzali znowu swych znajomych, bogatszych i uboższych, powtarzając to, co słyszeli „od najpoważniejszego męża w mieście“ i dodając od siebie sporo szczegółów, których Gamaljel nie podawał.

Powstały stąd liczne plotki, przechodzące wszelką miarę prawdopodobieństwa.

Więc głosząco, iż rabbi wstydział się ojca swego i matki swojej — jako ludzi ubogich i bez znaczenia.

Głoszono dalej, że podburza lud, aby uderzyć na Jerozolimę i rozpędzić Synhedrion za to, że sprawuje władzę sądowniczą, karząc różnych łotrów i zbójców.

Twierdzono także, iż zelżył w Jerozolimie najwyższego kapłana, gdy ten strofował go za nowatorski wykład Pisma w świątyni.

Inni opowiadali, że był czarnoksiężnikiem. Razu pewnego przechodził około szałasów pasterskich; gdy nie dano mu na noc przytułku, spojrzał źle na stado, a stado wyzdychało.

Z tych plotek i gadanin powstała zawierucha, która spowodowała zwołanie nadzwyczajnego posiedzenia rady. Stawiono wniosek, aby rabbiemu wzbronić wstępu do miasta. Ale w czasie rozpraw nad tym wnioskiem gwar był tak wielki, że nie można się było porozumieć. Wreszcie jednak uchwała zapadła znaczną większością głosów.

Stary cieśla ucierpiał na tem wszystkim najwięcej. Przestano mu bowiem dawać robotę i zwró-

cono się do Tomasza, syna Amosa, który miał warstat na drugim końcu miasta.

Tymczasem ów wędrujący rabbi nie nadchodził i tem opóźnieniem wywołał jeszcze większe rozjątrzenie. Każdy był ciekaw, jak wygląda człowiek, którym się tak skwapliwie zajmowano. Rozpuszczono więc języki na inną nutę:

— Patrzajcie, ażali on nie daje na siebie czekać jak jaki król? Toż tetrarcha przyjazdem swym nie spowodowałby takiego zamieszania!

I mówili inni:

— Czyni to umyślnie, aby nas upokorzyć!

Na czem jednak to upokorzenie miało polegać, nikt nie wiedział i nie badał.

Nagle pewnego ranka rozeszła się wieść:

— Idzie, idzie!

Tłumy wyległy przed miasto i czekały na drodze, co uniemożliwiło zamknięcie bram. Zresztą ciekawość do tego stopnia ogarnęła wszystkich, że nawet radni stanęli ze swemi rodzinami na dachach domów. Kto żył, wyległ na miasto a w mieszkaniach pozostali tylko ludzie, złożeni ciężkimi chorobami. W wąskich uliczkach panował taki ścisk, iż wszelki ruch został zatamowany.

Tego rodzaju natłok wywołał z natury rzeczy niespodziewany nastrój umysłów. Aczkolwiek pracowano nad tem długo i sumiennie, by lud podburzyć, mógł on za lada podmuchem wpaść w stan uniesienia i właśnie przyjąć przybysza owacyjnie.

Radni z powodu zaciekawienia zapomnieli całkiem o swem rozgoryczeniu. Tylko jeden Gamaljel nie stracił głowy; krzątał się, wchodził na dachy, zaczepiał oczekujących i szeptał:

— Marnotrawny syn wraca...

Przytem uśmiechał się szyderczo. Do innych zaś mówił:

— Prorok przychodzi do ojczyzny swojej!

Chodząc zaś między tłumami spóółstwa, natłoczonego w uliczkach, ostrzegał w lewo i w prawo:

— Strzeżcie się jego spojrzenia, bo dziwne jest!

A potem, jakby na wytłómaczenie onych słów, podnosił oczy w górę i wzdychał:

— O biedny mój ojczel...

Więc między tłumami poczęto szemrać:

— Ojca mu urzekł!

— Ojca mu zabił!

— Odwracajcie się, gdy będzie około was przechodził!

Powstały tu i ówdzie wołania:

— Rozejdźcie się, niech kroczy przez puste ulice!

Tłum się poruszył; dzieci poczęły krzyżeć i płakać. Wtem od bram dano znak machaniem rąk. Poszło po tłumie:

— Zbliża się już!

Tłum rzucił się natychmiast ku bramom, zapominając o wszelkich przestrozach.

Za murami rozległy się okrzyki, rosły i potęgowały, zbliżały się, potem zawrzały w uliczkach,

aż wreszcie ogarnęły wszystkich, kędy orszak przechodził. Lud rozstępował się, czyniąc przejście.

Orszak minął bramę, wkroczył w uliczkę i posuwał się dość szybko do środka miasta.

Ale jakże dziwny widok przedstawił się oczom tych, którzy go jeszcze nie widzieli a z takim napięciem przybycia jego oczekiwali!

Dreptała gromadka ludzi biednych, niepozornych, prostaczych, niezmiernie ubogo odzianych. Szli skromnie, ze zwieszonemi głowami, nie oglądając się na tłumy. Żaden z nich nie miał ani kija, ani laski, jeno kroczył z opuszczoną w dół ręką. Byli różnego wzrostu i wieku.

Naliczono w onej gromadce dziesięciu. Za nimi był przedział nieznaczny i tam dopiero sunął ów oczekiwany rabbi. Za nim zaś szło jeszcze dwóch uczniów, jeden młodzieniaszek, dziecko niemal, drugi siwy starzec o dużej głowie i wypukłym czole.

Wszystkie oczy zwróciły się na rabbiego, a usta zamilkły i stała się wielka cisza, że wśród niej słychać było stąpania przechodzących.

Rabbi wyróżniał się obliczem i postawą. Patrzył gdzieś przed siebie, a w twarzy jego był spokój i zamyślenie. Płowa, skręcona broda przedłużała jego rysy. Włosy zapyłone kurzem, spływały mu aż na ramiona. Biła od niego powaga i wyższość. Miał na sobie jasną szatę, podpasaną w biodrach. Wielkie niebieskie oczy tchnęły prostotą, lecz zarazem czemś niezwykle, czego niepodobna było określić.

Nagle tuż przed orszakiem tłum się poruszył i wystąpiła jakaś kobieta, a rzuciwszy się rabiemu do nóg, zatrzymała go w pochodzie.

— Szukaliśmy cię, Panie, wszędzie i oto przybywamy z jedynakiem, aby ci podziękować, żeś go uzdrowił!

Zajście to wywarło wrażenie na tłumie. Za kobietą klęczał na piasku jej syn ośmnastolatek. Rabbi pobłogosławił ich, ruszył dalej, a oni przyłączyli się do orszaku. Wnet niektórzy z tłumu poczęli się przybliżać do kobiety i wypytywać ją o ten wypadek. Ona zaś opowiadała, że jest wdową, że syn jest jedynakiem i podporą jej, że ciężko zaniemógł, a rabbi włożywszy mu ręce na głowę, uzdrowił go.

Na zakręcie uliczki zaszło nowe zdarzenie. Wypadł z tłumu jakiś nędzarz, kląkł przed rabbim, wznosił ręce i krzyczał:

— Oto byłem ślepy, a on przywrócił mi jasność dnia! Cześć mu i chwała!

Rabbi nachylił się nad nim, przyłożył usta do jego czoła i postępował dalej. Wnet do tego nędzara przybliżyło się wielu z pomiędzy tłumu, a on rzecz całą wielkim głosem rozpowiadał.

Teraz orszakowi zastąpiło drogę kilku żebraków. Wywijali swemi kulami i wołali:

— Idzie ten, który nas uzdrowił! Idzie ten, który odjął nam niemoc i postawił prosto!

Następnie rzucili na ziemię przed rabbim kule, uklękli i wołali:

— Oto w obliczności ludu składamy te kule przed tobą, aby się stało świadectwo prawdzie! Hosanna, hosanna!

W tłumach zrobiło się wielkie poruszenie. Tu i owdzie zrywały się okrzyki „hosanna“, które wybiegały z coraz liczniejszych ust. Już nie poglądano na orszak podejrzliwie, nie wytykano go palcami. Coraz większe gromady przyłączały się do pochodu. Cisnęły się niewiasty, aby dotknąć białej szaty rabbiego; klękali w ulicy ludzie, odkrywając swe rany; wynoszono chorych z łózkami. Tłumy poczęły potrząsać rękami i radosnem wołaniem dawać upust swemu uniesieniu. I tak sunął rabbi wśród okrzyków i wyciągniętych ramion, kroczył wśród swego orszaku jak zwycięzca, jak kochanek ludu, jak zapowiedziany prorok, jak Meszjach!

Przed nim w dali wznosiła się bóżnica. Aż do podwojów jej widać było zbite tłumy ludzkie, a w całej ulicy rozbrzmiewał jeden nieustający okrzyk zachwytu. Nawet ludzie stojący na dachach wyciągali w dół ręce i wołali w uniesieniu.

Orszak dochodził już do bóżnicy. Tłok zwiększał się z każdą chwilą, iż niepodobna się było przecisnąć. Nagle wszyscy stanęli.

— Co to? co to? — pytano ze wszystkich stron.

Drzwi bóżnicy były zamknięte.

Powstało zamieszanie. Ludzie poczęli cisnąć się z powrotem i napierać orszak. Zakłopotani uczniowie zwrócili się do rabbiego.

Ten jednak nie przystanął, ale mijając ich, począł wstępować na schody. Tłumy zatrzymały się. On zaś, stanąwszy przed podwojami, zapukał trzykrotnie i zawołał głosem podniesionym:

— Gamaljelu, w imię Pana, otwórz!

Zdziwienie ogarnęło tłumy. Imię Gamaljela było zbyt popularne.

Poczęły tedy obiegać szeptami:

— Gamaljel kazał drzwi zamknąć!

— Gamaljel nie puszcza go do bóżnicy!

— Czuwajcie, czuwajcie!

Wtem wielkie podwoje rozwarły się na oścież. Ale znowu zaszedł wypadek nieoczekiwany. Ku schodom przeciskała się jakaś kobieta, a za nią szło czterech chłopców różnego wieku i trzy dziewczynki. Właśnie rabbi wstępował w przedsionek bóżnicy, kiedy zatrzymał go ów siwy uczeń i szepnął:

— Panie, oto matka twoja przeciska się przez tłum, dążąc z bracią i siostry, aby cię powitać.

Rabbi popatrzył na niego.

— Zbliżają się, zaczekaj na nich — dodał.

Ale rabbi uśmiechnął się żałośnie i wskazując na orszak swój, rzekł:

— Oto są bracia moi, oto siostry moje!

Siwy uczeń wytrzeszczył oczy. Wtem tłumy poczęły cisnąć się za rabbim do świątyni i niebawem wypełniły ją po brzegi. Nie wszyscy mogli się jednak pomieścić, przeto ogromna ciżba zalegała schody i tłoczyła się w ulicy.

Rabbi wstąpił na wzniesienie. Nastąpiła cisza. On podniósł oczy i spojrział przed siebie.

Siedzieli tam na krzesłach Gamaljel, Habakuk, Awrum, Nahum i wielu innych. Twarze ich były posępne. Tłum począł szeptać i pokazywać ich sobie palcami.

Rabbi utkwiał wzrok w oczach Gamaljela. Ten założywszy ręce na łonie, odwrócił twarz i począł wpatrywać się w powalę.

Awrum przyłożył usta do ucha Nahuma, który skrzywił twarz uśmiechem. Habakuk poruszał się w krześle niecierpliwie.

Rabbi otworzył księgę Izajasza proroka i zaczął czytać donośnym głosem:

„Duch Pański nademną... Przeto mnie pomazał, abym opowiadał Ewangielję ubogim... Abym uzdrawiał skruszone na sercu... Abym zwiastował pojmanym wyzwolenie i ślepym przejrzenie, i abym wypuścił uciśnione na wolność... Abym opowiadał rok Pański przyjemny“.

Podniósł oczy od księgi, zwinął ją, oddał słudze. A potem rzekł głośno, iż słyhać było w całej bóżnicy:

— Dziś wypełniło się to pismo w uszach waszych!

Nastąpiło w tłumach poruszenie. On zaś pomilczawszy chwilę, jął znowu mówić i przypominał posłannictwa różnych proroków, którzy z rozkazu Pana stawali przed ludem, a lud ich nie słuchoł.

Mówił o wodzach tego ludu, którzy starali się proroków zniesławić, a ludowi zatykali uszy, by ich głosu nie słyszał. Przeto lud jest tylko przez pół winien, a przed obliczem Pana odpowiadać będą wodzowie. Odpowiadać będą ci, którzy ludowi podają kwas Faryzeuszów i życie obmierzłem czynią; którzy szerzą naukę o pokłonach i ofiarach, ale od dobrych uczynków usuwają rękę. Biada temu, kto nie przejrzy i nie upamięta się. Czas jest blizki!

Mówił dalej o sobie, że przyszedł na ziemię i zastał na niej panowanie ciemności i słowo boże w pogardzie. Przyszedł śladem, którym szli prorocy. Ale chociaż ślad ich się skończy, on iść będzie dalej. Bo potrzeba iść dalej.

Awrum, Habakuk i Nahum naradzali się szybko między sobą, a następnie wszyscy razem zwrócili się do Gamaljela i coś mu tłumaczyli.

Gamaljel powstał z krzesła i rzekł do rabbięgo:

— Słowa Pana i słowa proroków są słowami tychże. Czemu nadajesz im odmienne znaczenie? Słowa te wyjaśniali nam kapłani i uczeni, którzy od mędrców otrzymali wykład, a nam go podali. Powiadasz, żeś przybył na ziemię śladem proroków. Nie sądzę, aby prorocy chadzali drogami, jakimi ty chadzasz. Bo powiedziane jest: czcij ojca swego i matkę swoją! A jakżeś je powitał, kiedy się do ciebie cisnęli na schodach bóżnicy?

Powstał w tłumie gwar i wielki niepokój. Poczęły się szepty, rozpytywania, wytrząsania rękami.

Ale Habakuk pogroził palcem. Nastąpiła znowu cisza. Gamaljel mówił dalej:

— Powiedziałeś, iżeś przybył na ziemię śladem proroków; ale choć ślad ich się skończy, będziesz szedł dalej. Ktoś jest, który się tak wywyższasz i drogi proroków wyciągasz?...

Zamilkł i patrzył wyzywającym wzrokiem.

Zerwał się Habakuk, a wysunawszy naprzód dolną szczękę, trząś brodą i mówił namiętnie:

— Ktoś jest, synu cieśli? Abośmy to cię nie znali od młodości aż do dnia, kiedyś miasto rodzinne opuścił? Nad proroki się wywyższasz, ty, którego matka tam w sieniach stoi?...

Skoczył z krzesła Awrum, a wyciągając chudą rękę nad tłum, w kierunku podwoi, wołał urągliwie:

— Abo nie znamy braci twej, której na imię Jakób, Jozes, Judas i Szymon?

Gamaljel zaś dodał:

— Których się wstydzisz, proroku nawiedzający ojczyznę? I uchylasz się od nich, aby się o szatę twoją nie otarli?

Powstała wielka wrzawa, którą nadaremnie starano się uciszyć wołaniem z różnych stron.

Zerwał się z kolei Nahum, a wytrząsając ręką w kierunku rabbiego, wołał na cały głos:

— Lekarzu, ulecz pierwszej samego siebie!

Słowa te wywołały w tłumie rozruch. Zawarte w nich szyderstwo podziałało na lud, który względem rabbiego począł się zachowywać coraz

nieprzychylniej. — Nieopisana wrzawa napelniła bóżnicę.

Ale nagle rabbi wyprostował się, rzucił wzrokiem po tłumie aż ku drzwiom i naraz z niewytłómaczonych powodów nastąpiła znowu taka cisza, jak gdyby wszyscy zaparli oddech w piersiach. Widać też było wielu, którzy przyłożyli ręce do uszu i pochylali się naprzód. Rozległ się spokojny a poważny głos rabbiego:

— Jam jest Prawda... A idę do was nie po to, aby wnosić spór, ale by wam zwiastować słowo boże... Wy jednak zamknęliście przedemną drzwi bóżnicy, a jeszcze szczelniej zamknęliście podwoje serc waszych, aby wołanie moje was nie doszło... A oto stoi lud, który patrzy na mnie i na was, nie wiedząc, kogo ma słuchać... Zaprawdę powiadam wam, odemknijcie serca wasze, a mowy ust waszych będą inne... Nie zabijałem, ale uzdrowiał i ożywiał; nie siałem zgorszenia, ale krzepiłem upadłe na duchu; nie wnosiłem zamętu, ale zdejmowałem z oczu bielma, aby światłość stała się każdemu aż do najłichszego prostaczka...

Umilkł i patrzył przed siebie. Tłum ogarnęło wzruszenie. Zaległa głucha cisza, a on mówił dalej:

— Kto mnie obwinia o grzech, niech wystąpi a przed wszystkimi oskarży! Kto nie widzi we mnie Prawdy, niech stanie tu i przed onem zgromadzeniem wypowie słowa swoje! Wystąp Gamal-jelu i ty Habakuku! Niech mówi Awrum i Nahum!...

O synowie patryarchy, który nad wami w górze oblicze w rękach kryje, nie poznając was!... O wy, którzy się opowiadacie synami bożymi, gdzież są postęпки boże i postęпки Abrahamowe? Znam was, którzy pochłaniacie domy wdów i sierót, opiece waszej oddane, a pod namiotem pobożności gromadzicie dostatek wyłudzony bliźnim!... Biada wam, obłudnicy, rzucający bielma na oczy ludu, aby waszych uczynków nie przejrzał!... Biada ci, Awrum, któryś lichwą żył i staterami nędzarzy zapełniał swoje sumienie! Biada ci, Gamaljelu, któryś z bóżnicy nie biegł do umierającego ojca, ale gdy ci doniesiono, że zwierz leśny napadł twoją trzodę, toś spieszył, a potem uczył, jak czcić Pana! Biada wam, głowy Nazaretu, ślepe i głupie, któreście się syciły przy publicznym stole!... Wielu jest grzeszników i winnych, ale odpuści im Pan. Wy jednak nadaremnie będziecie z otchłani piekielnej ręce wyciągali, wy, których umysły były bystrzejsze, a rozum cięższy i wiadomość złego i dobrego niezakryta!... Powiadacie, że spełniacie wolę Ojca na niebiesiach. Jam jest Światłość i rozświecę mowę waszą! Jam jest Prawda i wyjmę ze skorupy mowy waszej myśl przewrotną, a ukażę zebranemu ludowi!... Pomrzecie śmiercią wiekuistą, a lud za mną podąży. A kto za mną iść będzie, nie umrze; a kto słowa moje zachowa, żyć będzie na wieki!

Zaledwie to wypowiedział, kiedy wysunęli się do niego Gamaljel, Habakuk i Awrum. Śmiali się

i kiwali ku sobie głowami na znak porozumienia. Tłum patrzył na nich ze zdumieniem, gdyż nie wiedział, co by mu na to odpowiedzieć mogli. Śród ogromnego milczenia zwrócił się Gamaljel do rabiego i rzekł z zaciekleścią tryumfującą:

— Teraz zdradziłeś się i wplątałeś w własne sieci, ty, który podajesz się za Prawdę i za Światłość! Spotka cię tedy zasłużona kara wobec całego ludu za kłamliwą mowę twoją. Ażaliś nie powiedział, że kto słowa twoje zachowa, żyć będzie na wieki? Teraz poznaliśmy cię, że nieczyste usta otwierasz do ludu! Abraham żył w imię Pana i prorocy żyli w imię Pana — a pomarli. Ty zaś powiadasz, że kto żyć będzie w imię twoje, nie pomrze? O przewrotny, o fałszywy proroku! Za kogo się podajesz? Ażali się wynosisz nad ojca naszego Abrahama?

Słowa te wywarły wrażenie piorunujące. Tłum zawrzał. Ale nad hałasem i krzykami zapanował potężny głos rabiego, który się ozwał w te słowa:

— Abraham, ojciec mój, z radością czekał na przyście moje. Żądał tego odemnie i zamknął oczy. Powieki wasze jeszcze otwarte a już odwracacie odemnie twarze!

Krzyknął urągliwie Habakuk:

— Patrzcie, on widział Abrahama!

Wołał z chichotem Awrum:

— Lat pięćdziesięciu niema a głosi, że rozmawiał z patryarchą!

Nahum zaś odwrócił się do ludu i wołał:

— Żali nie szatan przemawia przez usta jego?!

A następnie krzyknął do rabbiego:

— Zamilknij i nie obrażaj ludu, aby cię kara sroga nie spotkała! Nie widziałeś Abrahama i nie ujrzysz go, bo tam gdzie on jest, ty nie będziesz!

Rabbi zawołał:

— Pierwej nim był Abraham, było Słowo, które jest we mnie!

Nahum postąpił kilka kroków w stronę tłumu, a wskazując ręką na rabbiego, krzyczał:

— Słyszeliście?!... Pierwej od ojca naszego Abrahama był on!...

Habakuk wrzeszczał z całych sił:

— Proroku nawiedzający ojczyznę swoją, ulituj się nad nią i nie nęka jej, gdyż już dosyć cierpi!

Zachłysnął się, począł kaszleć. Obok zaś stojący Awrum zastąpił go, krzyząc:

— Oszczędzaj ojczyznę proroku wróżący zagładę! Bo gdy cię posłuchamy, pomrzemy ze strachu i zgrozy wobec popełnionych nieprawości!

Rabbi powiódł oczami po tłumie, uśmiech zaigrał na jego obliczu, pokiwał głową i zawołał:

— Zaprawdę, nikt nie jest prorokiem w mieście swoim i w ojczyźnie swojej!

— Urąga nam! — krzyknął Habakuk, kaszłąc i spluwając.

— O, cierpliwości, ludu! — wołał Gamaljel, załamując ręce.

Nahum zaś rozdarł szaty i krzyknął:

— Wywiedźcie go na górę miejską i strąćcie w dół, aby zaprzestał!

A Awrum wrzeszczał piskliwie:

— Błóżnierca!... Miastu zapowiadał upadek!...

Wynosił się nad Pana i proroki!... Ukamienujcie go!

Gromadka uczniów otoczyła rabbiego. Nastąpiła chwila stanowcza. Zewsząd wznosiły się ramiona, zaciskały pięści, łyskały groźnie oczy, rozlegała się ogłuszająca wrzawa, wołanie o pomstę. Habakuk, Awrum i Nahum biegali w tłumie, podburzając do wymierzenia doraźnej kary, a Gamaljel stał nieruchomy, wskazując tylko ręką na rabbiego. Tłum zakołysał się i ruszył naprzód. Położenie było coraz trudniejsze. Zjeżyły się ręce dokoła wzniesienia niby las włóczni, dyszały piersi rozjątrzeniem, błyskały zęby. Uczniowie zasłonili rabbiego pierściami, ale wnet ich odtrącono.

Teraz zdawało się, że rabbi jest zgubiony. W całej bóżnicy zawrzał jeden okrzyk:

— Strącić go ze skały!

Ale rabbi stał na wzniesieniu spokojnie, jak gdyby wrzawa i pogróżki nie były do niego skierowane, jak gdyby nie widział rozjątrzenia tłumów, ani wyciągniętych rąk i ściśniętych pięści. Fala ludu wzdymała się dokoła niego jak burzący się odmęt morski, który otacza szczyt, aby go zalać i zetrzeć. W pierwszym rzędzie pomiędzy nacierającymi byli Habakuk, Awrum i Nahum. Jeden Gamaljel stał

z boku jak wódz i wciąż trzymał wyciągniętą rękę, wskazując na rabbiego. Już palce tłumu sięgały szat i ramion otoczonego, aby go ściągnąć ze wzniesienia i powlec po posadzce bóżnicy.

Wtedy stała się rzecz, której nikt nie przewidział.

Rabbi podniósł głowę, pochylił ją przed siebie, skierował jaśniejącą gniewem twarz na tłum nacierający i rzucił spojrzenie, jak gdyby go niem chciał odepchnąć.

Tłum zakołysał się i stanął.

Czoło rabbiego było przecięte zmarszczką, brwi zbiegły się, długi włos rozwiął. Spojrzał raz wtóry po stojących napastnikach, a oni, jakby wichrem zmieceni, poczuli cofać się ku ścianom z krzykiem i przerażeniem.

Wtedy rabbi zszedł ze schodków i ruszył środkiem bóżnicy. Tłum pierzchnął, rozstępując się i dążąc ku drzwiom. Za rabbim ruszyła gromadka jego. Już minęli połowę bóżnicy.

Gamaljel nie mógł zrozumieć tego, co się działo. Opuścił rękę i wodził przerażeniami oczami po tłumie. Habakuk i Awrum przyskoczyli do niego, mówiąc skołowaciami ze strachu językami:

— Patrz, patrz, uchodzi!

— Wypuszczamy go!

Nahum ujął się oburącz za głowę i kiwając nią w lewo i w prawo, wołał rozpaczliwie:

— Wymyka się nam!

Kiedy rozejrzeli się ponownie, już prawie cała bóżnica była pusta, tylko tłoczono się jeszcze u wyjścia. Habakuk pobiegł ku drzwiom i począł przemawiać do uchodzących. Ale każdy unikał jego wzroku i starał się zmieszać z tłumem. Po chwili Habakuk nie miał już do kogo mówić. Przez otwarte drzwi widać było pusty plac i ulicę, nad którą wznosił się tuman kurzu, a w nim roił się nie-liczny orszak, oddalał ku bramom miasta, wreszcie zniknął w popielatej chmurze pyłu.

Gamaljel opadł na krzesło, podpierając czoło obu rękami. Drżący z doznanych wrażeń Awrum zbliżył się do niego. Rozejrzał się na wszystkie strony, żali kto nie słucha, wreszcie rzekł tajemniczo:

— Gamaljelu... Ja się bardzo obawiam... Powiedz, czy on mnie nie przeklnie?... Powiadają, że jak na drzewo spojrzal, to uszło... A ja jestem stary, słaby, wrażliwy i on na mnie spojrzal... Tyś nas podmówił do wszystkiego, co ja?!... Gamaljelu, czy on mnie nie urzekł?...

Gamaljel zaśmiał się gorzko, wstał, odrzucił krzesło i ruszył ku podwojom. Awrum sunął za nim, chwycił go za łokieć, chylił ku niemu przerażoną twarz i mówił zsiniałemi usty:

— Ty się śmiejesz, Gamaljelu, a ja umrę!... On mnie urzekł, na pewno urzekł... Gamaljelu, radź, bo ja nie chcę umierać... nie chcę, nie chcę, nie chcę!

Gamaljel nie patrząc na niego, mruzczał przez zęby, a w oczach błyskał mu dziki śmiech:

— Czy cię urzekł? Nie wiem i niewiele mnie to obchodzi. Wiem natomiast jedno, że już do nas — nie wrócił!

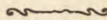








NAPOMNIENIE.



yła to wspaniała postać. Olbrzymi wzrost, tęgi kark i potężne ramiona przypominały to, co podania głosiły o kształtach Simsona. Ogromna twarz o wielkich, piwnych oczach, orlim nosie, zawieszonych wąsach i szpakowatej, długiej, niemal po pas sięgającej brodzie, wywierała wrażenie majestatyczne. Szaty jego były kosztowne a barwne, głowę pokrywał zawój z najcenniejszej tkaniny. Kroczył zawsze niezmiernie wolno, a sunąc przez miasto, nikomu nie odpowiadał na pozdrowienia. Duma i poczucie wyższości szły przed nim, rozsuwając pospólstwo.

Nazywał się Joel. W Synhedrionie używano go przeważnie do celów reprezentacyjnych. Ogła-



szał wyroki, odczytywał postanowienia i udzielał napomnień.

Gdy stanął w świątyni na wzniesieniu, wyglądał wspaniale. Głęboki głos jego rozchodził się jak dźwięk trąby mosiężnej, w którą uderzał oddech najzdolniejszego sztukmistrza. Treść jego przemówień była przedtem ściśle sformułowana. Joel nie potrzebował nic dodawać, ani ujmować. Przemówienia te układali ludzie biegli w prawie i władający precyzyjnie językiem. Joel wygłaszał ich słowa przepięknym głosem swoim, przydając im uroczystości postawą. Więc gdy się ozwał, rzesze milkły i słuchały, a każda sylaba padała głęboko do ich duszy. Wszelkie tedy wyroki, obwieszczenia, napomnienia i odezwy wychodzące od Synhedrionu, lud bezpośrednio łączył z postacią Joela, przypisując mu największe znaczenie wśród siedmdziesięciu członków Wysokiej Rady. Joel począł z biegiem czasu podzielać to przekonanie, co poszło mu tem łatwiej, że w chwilach onych, gdy stawał przed ludem, inni członkowie asystowali z najgłębszym uszanowaniem, podawali pergamin i usługiwali mu, aby tym sposobem nadać temu, co wygłaszał, więcej powagi.

Uwierzył tedy Joel w wielką swą mądrość



i w wyjątkowe znaczenie swoje. Uwierzył i czuł się niezmiernie szczęśliwym. Nic nie mąciło zdroju jego myśli. Rozgłośnie jego bogactwo mnożyło się z dniem każdym. Dzieci jego były zdrowe, zamożne, poważane i również szczęśliwe. I zdało się Joelowi, że kogo Pan wybrał, temu przysporzył dostatków ziemskich, aby mógł wolę Jego spełniać.

I zdało mu się także, że biedni są ofiarami własnych grzechów, albo win przodków. Bez winy i grzechu nikt nie mógł być, wedle jego mniemania, ubogim. On nie czuł w sobie żadnej winy i był bogaty, a z tego biednego pospółstwa co chwila kogoś przed sąd prowadzono i karano. Sędzia Joel widział, ile to było kradzieży, ile obmów, ile cudzołóstwa, ile wzywania imienia Pańskiego nadaremno. Widział, ile było oszustwa i niepobożności, ile targnąć się na cudzą żonę i urodzeń nieprawych, ile lichwy i fałszywego świadczenia. Dlaczego winowajcy pochodzili tylko z pospółstwa? Dlaczego ani jeden nie pochodził z pomiędzy Peruszim? Więc pojęcie pospółstwa zlało się w jego głowie z pojęciem niesprawiedliwości. Gardził tedy onem pospółstwem tak, jak gardził grzechem.

Szczególniejszą zaś pogardę czuł dla celników,



którzy byli głośni z nieuczciwości. Ale gardził nimi także i z tego powodu, że nigdy nie mógł się im wymówić od podatku, którego niezmiernie nie lubił płacić.

W świątyni zjawiał się cztery razy tygodniowo i modlił się w te słowa:

„Dziękuję ci, Panie, żeś mnie stworzył Joelem, synem Azdrasza, bogatego człowieka, syna Haskiela, bogatego człowieka, syna Jakóba, bogatego człowieka...

„A także dziękuję ci, Panie, żeś mi dał wzrost duży, postawę wspaniałą, która budzi szacunek u ludu. Żeś mi dał bystry rozum, serce szlachetne i piękny głos...

„Żeś mi dał być sprawiedliwym, nie kłamcą, nie oszustem, nie obmowcą, nie cudzołożnikiem, nie bluźniercą, nie odstępcą lub małowiernym...

„A także dziękuję ci, Panie, żeś wybrał mnie do Synhedrionu, żeś mnie uczynił sędzią, który sądzi innych, a sam nie jest sądzony...

„I jeszcze dziękuję ci, Panie, żeś mnie nie uczynił człowiekiem z pospólstwa, ubogim, złym, głupim, przewrotnym...

„Żeś mnie nie uczynił ani pasterzem, ani cieślą, ani bednarzem, ani poganiaczem osłów, ani



rzeźnikiem, ani sprzedawcą bydła ofiarnych, ani posługaczem, ani celnikiem, jako jest ten, który tam za mną bije się w piersi i musi mówić: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu...

„I kiedy wglądam w siebie, raduje się dusza moja i podziwia cię, o Panie, za twoją mądrość, za twoją doskonałość, za twoje rozrządzenie i rozdzielenie ludzi jednych od drugich...

„Przeto, żeś tak ze mną postąpił, widzę twą przychylność i pilnować będę twego Zakonu, a karać wszystkich, którzy przed sędziowskie oblicze moje będą przywiedzeni...

„Chwała ci, Panie, na wysokościach! Tyś jest, któryś mnie stworzył i ludziom za wzór dał! Zatem imię twoje nie zaginie u ludu, gdyż synowie synów moich będą ci dziękowali za mnie i na ołtarzach palili ofiary, które lud znosi“...

Następnie opuszczał świątynię i wracał przez miasto do domu. Wszyscy usuwali mu się z drogi a on stąpał w swej chwale i doskonałości, dumny, spokojny, zadowolony, niezachwiany.

Zdarzyło się, że zmarł sędziwy jego ojciec, Azdrasz, prawie sto lat mający, zamieszkały w Jerichonie, gdzie posiadał liczne majątki. Joel mu-



siał wybrać się tam celem pogrzebania go, odprawienia przepisanej pokuty i objęcia spadku.

Spodobało mu się to miasto, leżące nad jednym z dopływów Jordanu. Okolice była rozkoszna. Joel pozostał tam znacznie dłużej, niż pierwotnie zamysłał i nieraz wieczorami zapuszczał się samotnie na przechadzki w głąb lasów i dolin. Sława jego i tu się rozeszła. A że mieszkańcy znali obszar jego majątności i niezliczone bogactwo w trzodach, przeto gość taki był przedmiotem ustawicznej czci.

Joela znużyły nieco owacye i to tem bardziej, że śmierć ojca wywarła na nim głębokie wrażenie. Rzadko kiedy myślał o chwili pożegnania się ze światem. Teraz ujrzał nagle, iż w drabinie pokoleń tuż przed szczyblem Joel zgnił i załamał się szczybel Azdrasz. Powiał tedy na niego jakby śmiertelny chłód. Chciał zapomnieć o tem i szukał innych myśli wśród palm, fig, gajów. Począł nawet zapuszczać się aż po Jordan, a wtedy siadał na osła i brał ze sobą poganiacza.

Na jednej z takich wycieczek zostawił poganiacza i zwierzę w lesie, a sam zszedł nad Jordan, aby zażyć kąpieli. Ale że był silnie spocony, więc siadł na brzegu i studził się.



Wtedy ujrzał opodal pasterza, który się wylegiwał, a trzoda jego zbliżała się do miejsca, gdzie siedział Joel.

Więc krzyknął na pasterza, aby trzodę odegnał, a sam się oddalił. Pasterz jednak ani się ruszył na jego wołanie.

Joel wstał i począł wzywać sługę. Ale ten widocznie nie słyszał, bo się nie zjawił.

Wtedy Joel podszedł do pasterza i raz jeszcze kazał mu odpędzić trzodę, a wraz z nią się oddalić, gdyż zamierza kąpać się w tem miejscu.

Pasterz leżąc, odpowiedział, iż tego nie uczyni, gdyż właśnie w tem miejscu wpędzi niebawem trzodę do rzeki, aby ją napoić i splawić.

Joel zapytał pasterza, czy go zna? Ten odpowiedział, iż nie wie bynajmniej kim-by był. Więc Joel wymienił mu swe imię. Pasterz ani drgnął.

Joel począł mu tedy wymyślać, co jednak nie wywarło najmniejszego wpływu na pasterza. Więc spytał się, w czyjej byłby służbie? Pasterz odparł, że w Azdraszowej. Na to Joel krzyknął, iż w takim razie służy u niego, gdyż Azdrasz umarł, a on objął po nim spadek. Rozkazał tedy pasterzowi wypełnić natychmiast wolę swoją pod grozą wypędzenia



ze służby. Ale pasterz odpowiedział, że go nie zna, a trzodę zna, i póki trzoda owa oddana jego pieczy, póty czynić będzie to, co jest dobre dla niej, a nie to, co jest przyjemne Joelowi.

Joel zdumiał. Z podobną krnąbrnością nie spotkał się nigdy. Najmoźniejsi w stolicy chylili przed nim głowy, lud słuchał z czcią słów jego, kapłani podawali mu pergaminy — a tu nagle jakiś pastuch z nad Jordanu staje mu oporem, w dodatku sługa jego, nędzarz, prostak, którego może każdej chwili, gdy zechce, wypędzić!

Gniew ogarnął go jak płomień. Zdjął wierzchnią szatę, a że był silny, postanowił bezzwłocznie ukarać śmiałka.

Podszedł tedy do niego i już wyciągnął rękę do leżącego, kiedy nagle wyskoczył kudłaty pies pasterza, rzucił mu się pod nogi i począł tak ujadąć i kłapać zębami, że Joel musiał się cofać i opędząć mu.

Wzywał pasterza, aby na psa zawołał; krzyczał, iż go oskarży za trzymanie tego zwierzęcia, które było w ogólnej pogardzie. Ale pasterz nie zwracając najmniejszej uwagi na niego, począł smętnym głosem wywódzić:



„Idzie do ludu swego, idzie biały, jaśniejący i czysty...

„Idzie w ubóstwie i bez berła i bez korony i bez szkarlatu...

„Ale w oku jego moc, a w głosie potęga, a na czole prawda, a w sercu ukochanie ludu...

„Idzie już, idzie zbawca, idzie zapowiadziany, idzie Meszjach!“

Joel tymczasem odbiegł na tyle, iż go pies już nie prześladował, ale wrócił do swego pana i ułożył mu się przy głowie. Głos pasterza rozchodził się po dolinie między palmami, między trzcinami rzeczniemi i biegł po wodzie. Joel począł nasłuchiwać i zastanowiły go słowa pieśni pasterskiej.

W tej chwili posłyszał gwar głosów. Odwrócił głowę i ujrzał na pobliskim pagórku tłum ludzi, który się gromadził i siadał. Na szczycie pagórka stał dąb wyniosły. Pod tym dębem siedział jakiś mąż lat średnich. Był on do Joela zwrócony prawą stroną i widniał na tle słońca, które już skłaniało się ku zachodowi.

Pasterz zostawił psa na straży, a sam ruszył na pagórek i zmieszał się z tłumem.

Wszystko to dziwiło niezmiernie mieszkańca



stolicy. Więc wdziawszy napowrót wierzchnią szatę, ruszył ku pagórkowi. Ale gdy zbliżył się do rzeszy, wyszło naprzeciw niego dwóch mężów i popatrzywszy na jego bogate szaty i na wspaniałą zawój, zapytało go, czego-by tu chciał?

Odparł im tedy, że raczej on winien ich zapytać, co robią pośród jego majątności i pastwisk?

Na to odrzekł jeden z onych mężów, iż nie wiedzą, do kogo te pastwiska należą, że nic ich to zresztą nie obchodzi, albowiem szkody żadnej nie czynią, a zbierają się, by słuchać słowa Bożego.

Joel wymienił im swe imię. Ale oni odparli, że imię to niema dla nich żadnego znaczenia. Więc wymienił im swe stanowisko w stolicy i w Synhedrionie. Odrzekli, aby tam wracał, to mu z pewnością każdy odda cześć przynależną. Tu zaś są wszyscy równi wobec Pana i niema takiego, któryby był wyższy, niż inni. Wyższym jest tylko ten, który do nich przemawia, ich nauczyciel.

Joel kazał się bezzwłocznie prowadzić do tego nauczyciela. Ale odparli mu na to, iż nie mogą tego uczynić, bo nauczyciel przemawia do ludu i nie trzeba mu przeszkadzać.

Więc począł im Joel także wymyślać i byłby



nawet rękę na nich podniósł, ale się bał ciżby, która byłaby ich prawdopodobnie obroniła, a jemu wyrządziła krzywdę. Poprzestał więc tylko na owem wymyślaniu, nie szczędząc pogardliwych wyrazów, na co oni nie odpowiadali, jeno składali ręce na pierśsiach i pochylali się przed nim z uszanowaniem.

Widząc, iż w ten sposób nic nie wskóra, sięgnął pod wierzchnią odzież i dobył z mieszka dwie monety, aby dać każdemu z nich po jednej. Ale oni cofnęli się, podnosząc ręce w górę i oznajmiając, iż datku nie przyjmą.

Wtedy Joel powiedział, iż weźmie ich do służby i da im znakomitą płacę. Odrzekli, że do służby zgodzić się nie mogą, gdyż służą swemu nauczycielowi.

Więc Joel pytał, czy ów nauczyciel jest bogaty, jakie ma majątności i ile trzód? Odpowiedzieli, iż nie posiada nic i że jest równie ubogi, jak oni.

Joel patrzył to na jednego, to na drugiego, nie rozumiejąc.

— Więc ten nauczyciel wasz niema żadnych majątności, a wy mu służycie? — zapytał.

— Służymy mu — odparli.



— Czemu? Naco on was może potrzebować?
Jakże płaci was, nic nie posiadając?

— On nam też nic nie płaci i my niczego nie
żądamy; bo zwiemy się wprawdzie sługami, ale nie
my jemu, lecz on nam świadczy usługę.

— Nic a nic nie rozumiem waszej mowy!

— Nie dziwimy się, gdyż jeszcze oczy twoje
nie są otworzone i uszy nie odemknięte.

— Może wy mi je będziecie otwierali? — za-
wołał pogardliwie Joel.

— Nie my, ale on, gdy przyjdzie godzina i bę-
dzie wola jego.

— Gdy będzie wola jego, nie moja?

— Tak jest, panie.

— Któż mu tedy dał taką władzę, iż może
w ten sposób poczynać sobie?

— Ten, który mieszka na niebie i jest panem
nas wszystkich, naszym i twoim! — odparli, chy-
ląc z uszanowaniem głowy.

Joel pomyślał chwilę, a następnie obrócił się
do nich i począł im grozić ręką:

— Wasz nauczyciel jest kłamcą, buntowni-
kiem, nieposłusznym Synhedrionowi!

— On jest posłuszny Bogu — wtrącili dwaj
mężowie, kłaniając się.



Joel zapalał się.

— Ja was oskarżę, stawię przed Radą, będziecie karani na ciele!

— Nic nam, panie, nie uczynisz bez woli tego — rzekł jeden z mężów i wskazał na pagórek w stronę nauczyciela.

— Ja tego waszego nauczyciela każę związać, zaprowadzić do miasta, odstawić do Jeruzalaim, każę go osądzić, obczować, każę go...

— Nic mu, panie, nie uczynisz, jeżeli on się na to nie zgodzi.

Joel zamilkł. Był istotnie bezsilny. Popatrzył tedy raz jeszcze na jednego i na drugiego, a następnie splunął i wrócił ku rzece.

Postanowił jednak za powrotem do miasta poruszyć tę sprawę. Tymczasem szukał poganiacza i wołał za nim po lesie. Popatrzył na słońce; już skryło się za wzgórze. Widział jak tłumy rozpraszaly się i znikły. Z pagórka zszedł pasterz, wpędził trzodę do rzeki, splawił, a następnie wraz z nią się oddalił. Ciemność zapadała na dolinę Jordanową. Joel począł się bać. Przeklinał nieposłusznego poganiacza. Chciał wreszcie na piechotę wracać do Jerychonu, ale nie znał drogi i mógł łatwo zbłądzić. Na dobitkę przypomniał sobie, że w lasach



kryją się wilki. Ogarniał go strach coraz większy; siadł nad rzeką i drżał.

Wtedy dało się nagle słyszeć wołanie poganiacza, którem to wołaniem popędzał osła. Joel ruszył na jego spotkanie.

Sługa ujął osła za cugle i chciał pomóc panu przy wsiadaniu. Ale ten wyrwał mu z ręki pytkę i począł go okładać po plecach. Poganiacz kląkł, wystawił plecy i za każdym uderzeniem stękał cicho, znosząc plagi cierpliwie.

Gdy Joel się zmęczył, kazał mu wstać i po-trzymać zwierzę.

Ruszyli w głąb lasu.

Ciemność nocna, samotność leśna i strach ukoiliły niebawem gniew Joela. Zwrócił się tedy do poganiacza, a głos jego był bardzo łagodny:

- Czy w tym lesie są zbójcy?
- Mogą być, panie.
- A czy mogą nas napaść?
- Mogą, panie.
- Cóż mogą nam uczynić?
- Nic nam, panie, nie uczynią.
- Dlaczego mogą napaść, a nie mogą nic uczynić?
- Bo Bóg strzeże swe sługi, panie.



— To mnie. Ale żali ustrzeże ciebie?

— Nie, panie, mnie ustrzeże. Gorzej będzie z tobą.

— Pyszałek jesteś. Jutro każę cię obczować.

— Uczynisz, panie, co zechcesz.

Joel zamilkł. Nie był jednak zadowolony z rezultatu rozmowy. Milczał jeszcze przez chwilę, następnie zaś rzekł głosem bardzo łagodnym:

— Daruję ci winę, bo mi służyysz i przez noc prowadzisz.

— Dziękuję ci, panie.

— Czy w tym borze są dzikie zwierzęta?

— Są, panie.

— Czy mogą nas opaść?

— Mogą, panie.

— I mogą nam krzywdę wyrządzić?

— Nic nam, panie, nie uczynią.

— Znowu mówisz tak, żeś jest niezrozumiały.

— Bóg strzeże swe sługi, panie.

— Jakże ty Bogu służyysz, głupcze?

— Całem życiem, panie.

— Życie twoje obraża Boga.

— Życie ubogich nie obraża Boga, panie.

— Więc czyje życie obraża Boga?

— Życie bogaczy, panie.



— Bogaczów? Każę cię jutro obczować dwa razy, rano i wieczorem!

— Wola twoja, panie...

Joel znów zamilkł, ale coraz bardziej był niezadowolony z obrotu rozmowy. Znowu tedy ogromnie złagodniał i rzekł:

— Namysliłem się i daruję ci słowa twoje, bo mnie będziesz bronił przed zbójami i dzikimi zwierzętami. Ale powiedz, kto cię nauczył takiej mowy?

— Ten nauczyciel, panie.

— Jaki nauczyciel?

Sługa zamilkł, gdyż zląkł się. Joel począł go wypytywać natarczywie:

— Może ten na wzgórzu? Ten otoczony tłumami? Tak? Opuściłeś mnie i jego poszedłeś słuchać? Każę cię jutro trzy razy obczować, rano, w południe i wieczorem!

— Wola twoja, panie...

— Jakto, obłudniku, wola moja! Ja ci kazałem służyć mi, a ty uciekasz z osłem, by słuchać mów jakiegoś włóczęgi!

— Nauczyciela, panie...

— Włóczęgi, mówię, który was buntuje i stawiony będzie przed sądem. Dlaczego słuchasz mów tego człowieka?



— Bo chcę być zbawionym i wejść do Królestwa Niebieskiego.

— A ja nie wejdę do Królestwa Niebieskiego?

— Nie, panie, jeżeli nie pójdziesz jego śladem...

— Milcz, głupcze i popędzaj osła, bo staną na drodze i szczypie trawę!

Poganiacz krzyknął na osła; ten podreptał raźniej. Droga stawała się coraz bardziej spadzią, a mrok tak gęstniał, że nic a nic nie można było widzieć. Tylko w górze ukazywał się malutki skrawek nieba, nasypanego gwiazdami. W lesie panowała cisza. Joel wstrząsnął się; poczynało mu być chłodno. Założył ręce na piersiach i pochylił głowę naprzód, śledząc ciemności. I dziwił się, jakim sposobem poganiacz nie zbłądzi, ale z taką pewnością zwierzę przed sobą pędzi. W głębi lasu ozwało się wołanie jakiegoś ptaka czy zwierza, bo trudno było Joelowi odróżnić, gdyż prawie nigdy nie obcował z przyrodą. Znowu począł go nękać strach. Pragnął więc możliwie przychylnie usposobić dla siebie poganiacza, aby go chętniej strzegł i w razie potrzeby bronił. Przemówił zatem do niego:

— Abyś poznał moją nadzwyczajną dobroć, to i tym razem daruję ci karę. Ale powiedz, jakim



sposobem trafiasz, jakim sposobem nie zbłąkasz się, jakim sposobem nie obawiasz się w tak strasznej ciemnicy i w takim bezludziu iść, służyć mi i być jeszcze duszy swobodnej?

— Nauczyciel nie kazał mi się bać niczego i nikogo.

— Jakto, nie kazał się bać nikogo?

— Tak, panie, nikogo.

— Ani panów swych?

— Tak, panie, ani panów.

— Więc nie boisz się mnie?

— Nie, panie.

— Nienawidzisz mnie?

— Kocham cię, panie.

— Dlaczego mnie kochasz?

— Bo nauczyciel kazał miłować każdego, nawet i tych, którzy nam krzywdę wyrządzają. Kazał im odpłacać dobrem za złe...

Joel zastanowił się nad ostatnimi słowami poganicza i doszedł do wniosku, że tym razem usłyszał rzecz wygodną dla siebie. Więc nauczyciel nie kazał się mścić. A pora do tego była najwłaściwsza.

— Nie kazał nauczyciel podnosić ręki na panów swoich?



— Nie mówił, że na panów, tylko pouczał, że mścić się nie wolno.

— Więc mnie kochasz?

— Kocham cię, panie.

— To bardzo pięknie. Jeżeli kazał ci to ów nauczyciel, to chwałę go za to.

— Nauczyciel pytał o ciebie, panie.

— Tak? Pytał o mnie?

— I wymawiał onym dwóm uczniom, że cię przed jego oblicze nie przywiedli.

— Jakto? Mnie przywieść przed jego oblicze? To on do mnie winien był zejść! Jesteś w mowie nieokrzęsaniec!

— To też nauczyciel powiedział, że pójdzie do ciebie, panie.

— A widzisz, żem cię słusznie strofował!

— Chce ci udzielić napomnienia...

— Truteń jesteś! Nie mógł tego powiedzieć, bo chyba jest za rozumny na to.

— Powiedział, panie! Wszyscy Peruszim dostaną napomnienie, a także Synhedrion...

— Co? Jakie napomnienie?

— Dziwne bywają jego napomnienia...

Joel chwycił za cugle i powstrzymał osła. Zdumienie odjęło mu mowę.



Nie miał pojęcia o podobnem zuchwalstwie. Ale że wokoło rozpościerała się leśna puszcza, posępność i od czasu do czasu odzywało się wołanie dra-
pieżnego ptactwa, przeto nie rzekł nic, tylko skulił się na grzbiecie zwierzęcia i zaprzestał wszelkiej rozmowy.

Osiół potknął się raz i drugi. Poganiacz za-
trzymał go i rzekł:

— Znijdź, panie, z grzbietu.

Joel nie usłuchał. Posługacz rzekł powtórnie:

— Zsiądź panie i podążaj za mną pieszo, bo zwierzę może paść i szkodę sobie wyrządzisz, gdy legniesz w ciemnościach na ścieżce.

Joel zsunął się z grzbietu zwierzęcia.

— Kroc za mną, panie, trzymając się blisko mnie. Zwierzę zaś podąży za tobą i nie pozostanie w tyle z obawy przed zwierzem leśnym.

Rozpoczęli tedy pieszą wędrówkę, sunąc spadzistą ścieżką.

Joel utykał na kamieniach i na korzeniach cedrów, podrapał sobie ręce o krzaki, sapał, pocił się i czuł się niezmiernie nieszczęśliwym. Przeklinał w duchu chętkę wycieczkowania nad Jordan ze sługą niewypróbowanym. Przeklinał tego sługę, że



zamiast w porę stawić się przed nim, słuchał mowy jakiegoś szaleńca. Przeklinał także tego szaleńca, który go tylu zmartwień nabawił. Nie zażył kąpieli, wszelką radość odjęło mu zuchwalstwo pasterza i hardość owych dwóch mężów. To przebieganie się przez las piechotą było nieznośne i nad wszelkie pojęcie przykre dla człowieka, który chadzał tylko po stolicy wśród rozstępujących się tłumów. Nie mógł zrozumieć, że to on, członek Synhedrionu, który przemawiał w świątyni do ludu i był powagą nad powagą, że to on teraz kroczy przez ciemny las, pieszo, podrapany, uznojony, zdany na opiekę niepewnego sługi, który w mowie wynosił się nad niego. Więc cmokał językiem, potykał się, klął cicho — ale szedł.

Poganiacz nagle przystanął.

— Nie widzę, panie, belki nad potokiem. Poczekaj tu na mnie, a ja udam się w górę rzeczki i odnalazłszy przejście, wrócę po ciebie.

Joel przeląkł się. Błysnęła mu myśl, że poganiacz chce go zdradzić; że chce usunąć się, aby go tymczasem zbójcy napadli, z którymi jest w zmoiwie. Ale bał się wyjawic tego rodzaju podejrzenia. Stańał tedy pod drzewem.



Osiół zaś ruszył za poganiaczem, oskubując zębami liście z krzewów.

Poganiacz utonął w ciemności. Słysząc było tylko przedzieranie się jego przez zarośla. Ale niebawem i to ucichło.

Pot spływał dużemi kroplami z czoła Joela. Oddychał ciężko, a skronie biły mu gwałtownie. Ogarniał go coraz większy strach. Wreszcie począł dzwonić zębami.

Zawołał kilkakrotnie na poganiacza. Ale ten nie dawał odpowiedzi.

Głos Joela brzmiał w lesie tak dziwnie, że zaprzestał wołania. Z każdą chwilą było mu coraz straszniej w samotności. W onym tedy lęku począł się modlić i szeptał w te słowa:

„Boże, który wywiodłeś lud twój z puszczy, wejrzyj na swego najlepszego sługę i wspomóż go...

„Na najlepszego sługę, który nie pożyczka na lichwę, a jeżeli klnie, to bardzo rzadko...

„Który nie jest ani celnikiem, ani zbrodniarzem, ani chciwcem, ani bluźniercą, ani poganiaczem, ani pasterzem, ani nie należy do pospólstwa...

„Który jest członkiem Synhedrionu, przema-



wia do ludu, sądzi go i karze według Zakonu twójego...

„Który ci miłym być musi a doświadczasz go...

„Który ci złoży ofiarę, a mianowicie gołębia jednego...

„Panie... dwa gołębie... trzy, cztery...

„Panie... kozłą każę ci zarznąć i spalić...

„Dwa kozłatka... i jagnię... Czy nie dosyć, Panie?...

„Owcę i barana, tylko wysłuchaj i rozjaśnij ciemności...

„Panie: wołu ci ofiaruję, własnego wołu, własnego, nie wyłudzonego od ludu, z własnej trzody... Panie — więcej nie mogę!”

Kiwał się, modlił i błagał, a strach coraz większy przejmował go dreszczem i dygotaniem.

Nagle powiał wiatr i poruszył lasem. Rozległ się złowrogi, tajemniczy szum. Joelowi zdało się, że w tym szumie odzywają się jakieś krzyki, jakieś szepty, brzęk mieczów i szcęk różnego oręża zbrojeckiego.

Padł na kolana, ukrył czoło w rękach.

Wiatr obiegał leśną puszcę i począł już dołem poruszać krzewy. Równocześnie niebo zaćmiło się



w górze, a Joel nie widział nawet pnia, przed którym klęczał.

Uczyńło mu się straszno i mniemał, że przyszła na niego ostatnia godzina. Wtedy począł się znowu modlić, ale już w te słowa:

„Panie, robak jestem wobec twojej potęgi...

„Robak, którego nietylko stopa twoja zdeptać może, ale połknąć każdy zwierz, przywalić każda kłoda i ogarnąć każdy strumień, a każdy zbój pchnąć nożem i życia pozbawić...

„Jestem grzesznik, pyszałek, łgarz i podaję się za to, czem nie jestem...

„Palę ofiary, które lud przynosi...

„Chwałę się przed tobą w modlitwie a nie korzę...

„Celnik uczciwiej się modli...

„Ale jeśliś Bóg, jeśliś Ten, który jest, wejrzyj na mnie, a ratuj...

„Naprawię się, Panie... W świątyni czynić będę pokutę... Jawnie, Panie... Posypię głowę popiołem i czynić będę na głos wyznanie grzechów...

„Panie, żali mogę uczynić coś więcej?“...

Wicher rósł, wzmagął się, miotał lasem. Po-



tężne konary kołysały się, sprawiając niezmierny szum.

Strach Joela rósł ustawicznie i wreszcie doszedł do granic ostatecznych. Po nim wszczęła się rozpacz. W tej chwili ptak jakiś zachichotał w górze, a w oddali ozwał się przeciągły ryk zwierza.

Joel począł z rozpaczyny bluźnić:

„Nie wejrzałeś, Panie, na mnie i nie wysłuchałeś modlitwy mojej...

„Tyś Bóg?... Tyś Pan?

„Sługi swe opuszczasz w posępnym lesie i wśród dzikiego zwierza...

„Ale prawda! Czterdzieści lat wodziłeś po puszczy Mojżesza z całym ludem! Czterdzieści lat!

„Jakiś ty Bóg?... Nie, tyś nie jest ten, który jest!“...

I pluł na ziemię, na której klęczał, pluł na pień drzewa, który przed nim był, pluł na powietrze, którym oddychał, pluł na niebo, za którym krył się Adojnoj... Nie Adojnoj, ale chyba Suten!...

W tej chwili poczuł dłoń na swem ramieniu. Skoczył z ziemi, aby się bronić. Ale w mroku za-



rysował się łeb osła. Poganiacz ujmował cugle zwierzęcia. Joel wsiadł i ruszył.

Nagle wicher ucichł i z za chmur wypłynął księżyc. Jasność modrawa rozlała się po lesie. Uczyniło się niezmiernie widno.

Joel też zaraz się uspokoił, ale milczał. Zwierzę postępowało dziwnie rażno. Przedarli się przez pasmo krzaków. Joel posłyszał szum potoku. Niebawem krzewy się rozstały, ukazała się rozpadlina, na której dnie huczała woda. Przez parów wiodła belka, oświetlona blaskiem księżyca. Zwierzę wstąpiło na nią krokiem pewnym i po chwili przeszło na drugą stronę. Las rzedniał; wydostali się na szeroką drogę. Wnet też ukazały się mury Jerychonu.

Joel przez całą drogę nie rzekł ani słowa. W mieście wszyscy spali jeszcze. Przed domem bogacza było pusto. Żaden ze sług nie wyszedł na jego spotkanie.

Więc zsunął się czempredziej z grzbietu zwierzęcia, wstąpił na schody; drzwi nie były zamknięte. Minął przedsionek i wszedł do sypialni. Szybko zrzucił szaty i legł na posłaniu.

Odetchnął. Skończyły się wszystkie utrapienia.



Wnet też, z powodu ogromnego znużenia, przy-
mknął powieki i usnął. Spał zaś tak twardo, że
żadne marzenie senne nie poruszyło jego myśli.

Zbudził się dość późno, siadł na łożu i począł
rozważać.

Przypomniął sobie gdzie jest i gdzie był. Wę-
drował nad Jordanem, błąkał się przez las i do-
znawał wielkiego strachu. A to wszystko przez
tego niecnego sługę. Trzykrotnie zapowiedział mu,
iż go każe obczować i trzykrotnie mu to darował.
Ale nie odpuścił mu jeszcze owego długiego szu-
kania przeprawy przez potok. A to było bardzo
karygodne, gdyż Joel ze strachu bluźnił. Kto był
winien tego bluźnierstwa, jeżeli nie ów niecny po-
ganiacz? Żali go nie wywiódł na pokuszenie? Żali
Joel kiedykolwiek w życiu bluźnił?!

Nigdy ohydne bluźnierstwo nie splamiło jego
ust. A teraz?!

Począł go gniew ogarniać.

Przypominał sobie słowo po słowie, co niecny
poganiacz odważył się mówić mu o owym nauczy-
cielu i o opiece boskiej.

Toć on się wynosił nad niego, nad Joela, nad
członka Synhedrionu!



Nie, to krnąbrność, to zuchwalstwo, to zbrodnia! Jaką karę obmyśleć za to?

Klasnął na sługi i czekał. Ale nikt się nie pojawił. Klasnął tedy raz drugi i trzeci, a następnie wyszedł do przedsionka.

Natknął się na jednego ze sług; ale ten wytrzeszczył oczy.

— Jaktó, panie, jesteś?? A my się trwożymy...

— Jestem, głupcze, przespałem noc całą, tylko wy nic a nic o tem nie wiecie. Rozpędzę was, wygonię, każę osmagać...

— Wola twoja, panie — odparł wybladły sługa.

— Przywołaj mi natychmiast poganiacza — krzyknął Joel.

Sługa nie ruszył się z miejsca; wytrzeszczał tylko coraz bardziej oczy na pana.

— Ruszaj-że niecny! — wrzasnął Joel i podniósł rękę.

Sługa odwrócił się i wybiegł.

Mijała chwila za chwilą. Joel niecierpliwił się. Nareszcie ruszył z przedsionka na dziedziniec.

Tu ujrzał owego sługę radzącego z innymi.



— Gdzie poganiacz — zawołał Joel grzmiałym głosem.

Sługa wyjąkał, kłaniając się w pas:

— Panie... jego niema...

— Jakto, uciekł?

— Panie... i zwierzęcia niema... Tyś chyba piechotą wrócił...

Krew uderzyła do głowy Joela. Strasznie oczyma piorunował struchlałe sługi, kiedy nagle ukazało się we wrotach zwierzę, a za niem poganiacz.

Ten, ujrawszy pana, podbiegł, padł mu do nóg i zaczął wołać:

— Wybacz, panie, zbłądziłem w lesie, nie mogłem cię odnaleźć... Wołałem!... Obiegiem o świecie cały las i wreszcie sądziłem, żeś na piechotę wrócił...

Joel zwinął pięść nad jego głową i krzyknął:

— Łiesz! Tyś ze mną wrócił nocą!

Poganiacz zerwał się na równe nogi. Był niezmiernie błydy, oczy miał wystraszone. Położył palec na ustach i mówił z głębokim przekonaniem:

— Nie, panie, to nie ja... to nie ja... To pewnie uczynek naszego nauczyciela...



Joel rozwarł szeroko oczy, spojrzął po sługach. Wszyscy złożyli ręce i poczęli poruszać ustami. Poganiacz zaś mówił:

— Tyś, panie, pewnie wezwał w niedoli jego pomocy... Nie?... Możesz się modlić... A możesz bluźnić?... On ci dał napomnienie!

Joel począł dłonią raz po raz dotykać czoła. Popatrzył na osła, który był bardzo znużony, miał boki zapadłe i wciąż poziewał. Popatrzył na poganiacza, na którym noc i trudy wyryły niestarte ślady. Popatrzył na wylękłą służbę, na dom, na drzewa.

Nagle zawrócił i udał się do sypialni.

Siadł na łożu, raz po raz dotykając czoła. Rozglądał się po ścianach, po powale i po posadzce.

— Co to jest? — szeptał. — Co to jest? Co to jest?...

Rozmyślał w ten sposób przez cały dzień.

Napróżno słudzy wchodzili pytając, czy nie zażąda posiłku.

Joel przesiedział na łożu w ten sposób aż do zmierzchu.

Dopiero wieczorem kazał przywołać pogania-



cza, zamknął się z nim i coś ze sobą długo rozmawiali.

Słudzy czaili się pod drzwiami, ale nie mogli słów pochwycić.

A oni rozmawiali do północy, do brzasku, do wschodu słońca...









DWAJ UCZNIOWIE.



Betsaidy do Kafarnaum dążyło późnym wieczorem dwóch ludzi. Jeden z nich był to człowiek stary, ale krzepki; drugi młodzieniaszek, może piętnaście lat mający. Przyspieszali kroku, aby przed zapadnięciem nocy minąć strome spady wzgórzy i dotrzeć do Jordanu, gdzie w trzcinach była ukryta łódź, którą dalej przez rzekę i przez jezioro mieli się przeprawiać.

Powietrze było parne, przesycone zapachem różnego kwiecia, które niby śnieżnymi płatkami pokrywało drzewa. Niebo w stronie zachodniej nie pociemniało jeszcze, jeno było jakby błękitną zasłoną, za którą mieni się światłość. W górze natomiast występowała głęboka modrość a tu i owdzie

błyszczały już gwiazdy, których z każdą chwilą przybywało więcej.

W powietrzu krążyły nocne ptaki, cichym lotem ślizgając się nad głowami podróżnych.

Gąszcz rosła przed nimi, ale już posłyszeli gwar toczących się wód Jordanu. Znajdowali się zatem niedaleko rzeki. Ogarniała ich coraz większa ciemność. Gwiazdy na niebie paliły się wprawdzie jasno, niby rój lampek olejnych, lecz wśród zarośli oko niewiele rozejrzeć mogło. Droga skręcała na lewo; oni zaś ruszyli przez krzewy wprost ku rzece. Szli wąziutką ścieżyną. Starszy podróżny sunął przodem, torując przejście młodszemu, który widocznie nie znał drogi. Gwar rzeki stawał się coraz głośniejszym. Wreszcie wydostali się na brzeg. Ujrzeni ciemne wody, na których tworzyły się kręgi wirów i pian. Szum przelewających się wód napełniał pustkowie.

Starszy podróżny zostawił młodzieniaszka na brzegu, a sam ruszył nieco w górę rzeki, gdzie czerniały kępy trzciny. Po jakimś czasie dał się słyszeć plusk wiosła i z cieniów wynurzyło się czółno. Kiedy dziób statku uderzył o brzeg, młodzieniaszek wskoczył, a starzec odbił wiosłem i puścił łódź z biegiem wody. Sam też przysiadł, bacząc tylko, aby łódź środkiem rzeki płynęła.

Właśnie na wschodniej stronie nieba ukazał się wśród wzgórz czerwony księżyc. Rozjaśniło się nieco. Rzeka szumiała, niosąc łódź lekko na swym chwiej-

nym, ruchliwym grzbiecie. Księżyc szybko zmieniał barwę i wnet stał się sinym. Wody szumiały coraz gwarliwiej, bo oto dopływali do ujścia. Rzeka całą swoją szerokością wlewała się do jeziora, które w tem miejscu mieniło się w blasku miesięcznym, jakby na wodnej powierzchni migotało tysiące gwiazd. Jezioro, brzegi i wzgórza pokryły się światłością błękitną, tajemniczą, sposobną do rozmyślań.

Młodzieniaszek siedział na przedzie łodzi, podpierając głowę dłonią i patrzył po wodach. Starzec od czasu do czasu poruszył wiosłem i tak płynęli w ciszy i milczeniu na coraz szersze wody, po których niósł ich prąd Jordanowy.

Wtedy młodzieniaszek westchnął i rzekł do starca:

— Jak cicha i piękna noc! Gwiazdy patrzą na nas i mrugają... Chciałbym tak płynąć długo... Świat jest doprawdy piękny!

Starzec pomilczał chwilę i odparł:

— Świat jest piękny, ale nie należy nadto przywiązywać się do niego. Piękny jest dla oka młodego i dla duszy nie znużonej. Ale dla starca, gdy zamknie oczy, widnym się staje świat inny, o wiele piękniejszy. Ty jednak nie znasz jeszcze tego świata.

Młodzieniaszek rozważał długo i rzekł:

— Powiedz mi, gdzie jest ów świat, o którym mówisz?

Starzec dotknął ręką najpierw piersi i rzekł

„tu“, a następnie podniósł palec w niebo i szepnął „tam“. Potem zamilkł.

Po chwili przerwał ciszę młodzieniaszek, odzywając się:

— Ja jednak kocham ten świat, na który patrzę!
Starzec pokiwał głową i odparł:

— To jest marność. Kochaj niebo i tęsknij do niego.

— Tęsknię, bo tak mówił nauczyciel. Ale on nie twierdził, aby ten świat był marnością.

— Mówił: królestwo moje nie jest z tego świata.

— Prawda. Zapomniałem... Ale on jednak zszedł na ziemię!

— Zszedł, aby werbować sobie sługi do swego królestwa, które jest w górze.

— Pójdziemy tam za nim?

— Pójdziemy.

— I rozstaniemy się z tą ojczyzną naszą?

— Rozstaniemy się z nią.

— I nie będzie nam za nią markotno?

— Nie będzie markotno.

— A czy w onem niebieskiem królestwie kwitną tak migdały i granaty?

— Tam kwitną drzewa piękniejsze.

— A jak się zowią?

— Drzewa rajskie.

— Jaki mają owoc?

— Bardzo różny. I słodki i kwaskawy.

— A czy rośnie tam winna latorośl?

— Rośnie i dojrzewa siedm razy do roku.
— Na takich wzgórzach jak te?
— Na wzgórzach daleko piękniejszych.
— Czy są tam jeziora?
— Jest morze niebieskie.
— Czy można po niem pływać?
— Jak Pan da rozkaz.
— I wody się burzą niekiedy?
— Nie. Panuje na nich wieczna cichość i nie
mąci pracy rybaków.

— To i tam trzeba pracować?
— Wszędzie trzeba pracować.
— Nawet w niebie?
— Nawet w niebie.
— Tylko w sabat jest odpocznienie?
— W sabat i wszystkie święta.
— Ale to chyba tylko grzeszni pracują, a zba-
wieni odpoczywają?

— Grzeszni wcale nie idą do nieba, jeno do
piekła, gdzie płoną w ogniu wieczystym.

Młodzieniaszek westchnął, szepnął „prawda“
i płynęli dalej w cichości i milczeniu. Niekiedy plu-
snęła ryba i potrącone wody zabłyszczały w świetle
księżycy.

Ale myśl młoda nie mogła długo spoczywać
i po chwili znów zwróciła się do starca słowy na-
stępującemi:

— Czy czasem pozwala Bóg spojrzeć z nieba
na ziemię?

- Nie, nie pozwala.
- Czemu nie pozwala?
- Aby się zbawieni nie martwili.
- Ależ gdy patrzę oczyma na ten świat, nie przychodzi na mnie zmartwienie...
- W niebie przyszłoby.
- Dlaczego tam przyszłoby, a tu nie?
- Bo tam będziesz miał przejrzenie.
- Co to jest przejrzenie?
- To znaczy, że ujrzysz całą marność świata.
- Jakże ma być ten świat marnym, kiedy go przecie Pan stworzył i nauczyciel nasz to potwierdza?
- Pan stworzył świat, ale ludzie są na nim.
- Ludzie są także stworzeni przez Pana.
- Ale poszli za podszeptem złego ducha i życie na tym świecie popsuli.
- Dlaczego zły duch im to podszeptął?
- Bo chciał Panu dokuczyć.
- Czy w piekle jest takie jezioro?
- Niema. Tam jest morze ognia.
- I niema takich gór? Ani takich kwiatów? Ani takiej światłości miesięcznej?
- Niema nic z tego.
- To tam musi być bardzo smutno?
- Smutno i ponuro.
- Czy szatan nigdy nie widział nieba i ziemi?
- Widział, ale że był zły, przeto Pan go wygnał od siebie. A na ziemię schodzi, by ludzi kusić.

— Może on tęskni za niebem i za ziemią?

— Nie tęskni.

— To on jest rzeczywiście zły!

— I straszny.

Znowu nastąpiło milczenie. Starzec teraz powstał, aby czołno wydostać z prądu Jordanowego i pokierować na prawo, gdzie w znacznym oddaleniu bieleły się domki Kafarnaum.

Młodzieniaszek dumał, rozważając słowa starca. Ten wiosłował czas jakiś, a następnie począł się oglądać po wodach, dobył sieć i zapuścił w wodę. Młodzieniaszek pomagał mu, a gdy czynność tę ukończyli, siedli znowu na swych miejscach. Starzec lekko wiosłem poruszał, kierując czołno w stronę Kafarnaum. Jasność miesięczna kładła się na wody i stawało się coraz piękniej na ziemi i na niebie.

Wtedy poruszyła się znowu dusza młodzieniaszka i począł starca wypytywać:

— Czy nasz nauczyciel jest mocny?

— Jest mocny i nieprzezwyjężony.

— A czemu nie wszyscy go słuchają?

— Bo są to ludzie zatwardziali.

— Czy nasz nauczyciel czyni cuda?

— Tak jest, czyni je.

— To gdyby chciał, mógłby skały pokruszyć?

— Mógłby to uczynić jednym wejrzeniem.

— Czemu więc nie pokruszy tych zatwardzia-
łych ludzi?

— Bo lituje się nad nimi.

— A czemu nie odmieni ich serc?

— Bo zostawia im wolę.

— Czy nasz nauczyciel będzie królem?

— Przecież powiedział, że królestwo jego nie jest z tego świata.

— Lepiej byłoby, gdyby chciał zostać królem. Łatwiej byłoby mu głosić prawdę i opowiadać Ewangelię.

— On chce pokazać, że nie potrzeba być królem i można robić to samo.

— To on doprawdy jest potężny.

— Króle są przy nim słabi.

— A czy króle mogliby go kazać pojmać?

— Nie uczyniliby tego.

— A gdyby tego od nich żądali źli ludzie?

— Nie odważyliby się tknąć go.

— A zabijali proroków?

Starzec umilkł i zastanowił się. Wyjął wiośło z wody. Młodzieniaszek rzekł po chwili:

— Czemu mi nie odpowiadasz?

Starzec odparł przyciszonym głosem:

— Smutno mi...

— Czemu ci smutno?

— Bo widzę, że mogliby go pojmać. Ale wtedy bronilibyśmy go i odbili.

— Na co? Kiedy przecie mogliby uczynić cud i zabić ich wszystkich?

Starzec opuścił głowę i lekki uśmiech zabłąkał się na jego usta. Niebawem jednak uśmiech ten znikł

bezpowrotnie, a czoło pofałdowało się w tysiączne zmarszczki. Troska jakaś ćmiła się na niem i chmurzyła oblicze. Zwątpienie malowało się w oczach, które patrzyły po wodach. I zdało się starcowi, że w ubóstwie swem zapomniał o urządzeniach tego świata, o jego potężnych i prawa piszących. Stały mu w pamięci różne chwile z ostatniego roku i wydał mu się ten nauczyciel istotą słabą, która porwała się na bój nie do wygrania, która podniosła rękę na siły niezwalczone i prowadzi ich może na zgubę. Zginą z nim, bo go kochają i w niego wierzą. Ale co z tego? Czy to świat odmieni? On, starzec, żył przecie dłużej niż nauczyciel; a chociaż nie był tak biegły w naukach jak on, przecież znał życie, bo mu na czole wypisało naukę, która była gorzka a prawdziwa. Młody nauczyciel nie doznawał wskazówek tej nauki, błąkał się z miast do miast i przemawiał. Ale czy żył tyle, ile on, i czy doświadczył tyle, ile on doświadczył?!

I bojaźń wypełniła prostacze serce starego człowieka. Tak, bał się, bał się tego, co się działo i na co się zanosilo. Wprawdzie coraz liczniejsze tłumy szły za nauczycielem i wielbiły go. Ale mowa jego była nieogłędna, wyzywająca. Gromił możnych i władczych, a ci coraz się bardziej na niego burzyli. Czemu nie poskramia swej popędliwości? Czemu wyzywa owych potężnych? Świat jest światem. Ileż było niesprawiedliwości! Kto ma oręż, używa go. A ona rzeź niewinątek, dokonana przez tetrarchę?

A ono pomordowanie galilejczyków przez namiestnika? A ono kamieniowanie sprawiedliwych przez lud podburzony? Iluż proroków padło pod gniewem uczonych w Piśmie? Iluż, niby światła, pogasili bogacze stołeczni, gdy im ta światłość niedogodną się stała? A nauczyciel jest ubogi, prosty i wędrujący. A rzesze ludu za lada powodem rozbiegną się i opuszczą go. Któż on jest, że się na to dzieło porywa, a końca jego nie widzi?

Tak rozmyślał starzec, a młodzieniaszek rozmyślał inaczej. Śnił on w swej duszy niewinnej, że nauczyciel zrozumie potrzebę uczynienia się królem, że zbierze wojska, podbije kraj i rządy swoje zaprowadzi. Wjedzie do Jeruzalaim na białym koniu, każe zawlec złych do więzienia i tam będzie ich pouczał, aż przejrzą, a wtedy sam rozetnie pęta i przygarnie ich, i daruje im ich zatwardziałość. Potem rozpocznie wielką wojnę z królami całego świata, zmoże ich i w pętach sprowadzi, i dopóty będzie do nich przemawiał, aż weń uwierzą, a wtedy także rozetnie im więzy i przygarnie ich. To będzie piękny dzień! Lud będzie chodził po kraju z palmami i liliami, śpiewając pieśni na cześć jego...

Ale wyobraźnia dziecka, fruująca jak ptak po przestworach myśli, natknęła się na słowa starca, który mówił, iż nauczyciel nie chce zostać królem. Przywodził mu nawet, kiedy twierdził, że czyniąc to, co czyni nie będąc królem, jest daleko potężniej-

szy. Nie mogło się to jednak pogodzić w głowie młodzieńczej z poprzednimi obrazami. Wydało mu się, że nauczyciel nie widzi sił, wiodących do celu. Uczyniło mu się markotno, że taki rozumny nauczyciel, a nie pojmuje tak prostych rzeczy. Nie wyobrażał sobie owego ładu na świecie, który zapowiadano. Czemże bowiem jest on nauczyciel wobec potężnych bogaczy, wobec tetrarchy, wielkorządcy, królów, ba, wobec cesarza Rzymian?

Przestał rozumieć swego mistrza.

I wtedy myśl dziecka i myśl starca spotkały się przy murze jednego i tego samego zagadnienia, pojęcia siły. Obaj nie mogli zrozumieć mistrza, choć każdy z biegunowo różnych powodów. Wyszedszy z dwóch różnych krańców myśli, zeszli się w drodze: nie pojmowali, na czym może polegać potęga, o której się wciąż słyszało i mówiło, i w którą się wierzyło, ale która nie była wypróbowana. Leczył, uzdrawiał — to czynią także znachorzy i wróżkowie. Czynił to lepiej od nich, naglej, prawda! Ale jak od tego przejść do zmożenia królów, bogaczy i faryzeuszów!? Gdyby wyciągnął ku nim ręce, czy nie wystawiliby wojska z najeżonymi włóczniami?... I co dalej? Co dalej?... Gdzie siła jego? Gdzie zapowiedziana moc i tryumf?...

Tak dumali na wodach jeziora, które pokryte było jasnością miesięczną i mgliło się, niby dal czarowana.

Wtem młodzieniaszek począł pilnie patrzeć przed

siebie i strachać się. Obrócił się raz i drugi w stronę starca, aż ten zapytał:

— Co ci to jest, dzieciaczku?

Młodzieniaszek dygotał, wyciągnął rękę i szepnął zbielałemi usty:

— Widzi mi się, że jakieś zjawisko unosi się nad wodami.

Obaj poczęli patrzeć we wskazanym kierunku. Młodzieniaszek szepnął po chwili:

— Jakby jakaś jasna a wielka postać zbliżała się po wodach...

I struchlał, gdyż teraz począł widzieć wyraźniej.

W powłóczyściej, białej szacie, z pochyloną na piersi głową, sunął mąż do widziadła podobny, a blaski księżycyca rozświetlały jego włosy. Prawą rękę trzymał na piersi, a stopami dotykał wód, wyglądzonych i wysrebrzonych mieniającą się poświatłą.

Starzec przyłożył dłoń do czoła. Rozchylił zdumione usta i patrzył. Na twarzy jego widniała niepewność. Nagle ogarnął go lęk. Skoczył z miejsca, uderzył w ręce i wydał krótki okrzyk. Młodzieniaszek obrócił ku niemu wystraszoną twarz i szepnął:

— Żali ta dziwna postać nie jest podobna do naszego nauczyciela?

I w tej chwili błysnęła mu przez głowę myśl, że to może istotnie on nauczyciel kroczy po wodach. Jakżeż to czyni, że się fale pod nim nie rozpadają i nie chłoną go? Jakąż moc posiada, iż tak sunie spokojnie po ruchliwej powierzchni wód?

Młodzieniaszek obrócił się raz jeszcze w stronę starca i pytał go wylękłemi oczami. Ale w tej chwili starzec runął kolanami o deski czołna, a z ust jego dobył się szept wizyjnego uniesienia:

— Nauczycielu! Mistrzu!...

Młodzieniaszek zadygotał, chwycił się drżącemi rękami brzegu łodzi i przechylił się naprzód. Patrzył z bojażnią i zdumieniem na jezioro zalane światłem.

A owa postać sunęła jeszcze chwilę po wodach, aż rozplynęła się w oddaleniu śród jasności miesięcznej.



O CICHYM WIECZORZE.





O CICHYM WIECZORZE...



Nad Betanją rozwieszał się niepokalany błękit nieba. Słońce świeciło w stronie zachodniej na przełęczy Góry Oliwnej, przepelniając powietrze złotym pyłem i rażąc oczy tych, którzy w owym kierunku spojrzeli. Wzgórza, pogrążone w cieniu, powlekały się tumanem siności. I cisza była w powietrzu, jak gdyby szczęście przeznaczone dla ludzi, dotarło już do wszystkich zakątków ziemi, do wszystkich chat i szałasów.

Niekiedy wyfrunęły z dołu perłowe gołębie, zaroily się w powietrzu i opadły stadem na wzgórze.

Niekiedy ozwało się na pastwisku zawrođenje pasterza, rozbrzmiało w powietrzu i umilkło. Po chwili dawało się słyszeć echowe powtórzenie tego

zawodzenia. Zdawało się, że ono uderzyło o sklepienie niebieskie, a odbiwszy się, znowu rozbrzmiewało na ziemi.

Na końcu miasteczka stał niewielki dom, ukryty całkowicie w bluszczach. Dom ten był obwiedziony murem, dokoła którego wznosiły się cyprysy. Wewnątrz muru stały oliwki, figi, granaty i kaktusy. Za drewnianą furtką na drodze unosił się kurz, świecąc w blasku słońca. Dążyła gromadka bosych ludzi, a na czele szedł starzec o dużej, łysej głowie, okolonej przy skroniach puklami srebrnych włosów. Gromadka kroczyła właśnie od furtki w stronę miasteczka i niebawem znikła za drzewami. Kurz jął powoli opadać na drogę, a po chwili w czystym powietrzu drżały znów tylko blaski słoneczne.

Przed domem, pod rozłożystym cedrem, była studnia, a na niej siedział mąż w białej szacie. Płowe włosy, rozdzielone na głowie, spływały po bokach ściągłej twarzy i gromadziły się na barkach. Miał lekki zarost takiejże barwy, który nieco rysy jego przedłużał. Niebieskie oczy patrzyły w blask słoneczny i brały w siebie promienie owej oslepiającej jasności. Dziwny spokój malował się na jego bladym, rozświetlonym obliczu; tylko około ust błękał się jakiś smutek. Z wyniosłego czoła biła jakby tryumfalna radość, oblicze wyrażało spokój, a usta smutek. Przeto można było patrzeć w tę twarz bez końca.

Mąż ów, utopiwszy oczy w zachodzącym słońcu, milczał. W ręku trzymał kwiat róży.

U nóg jego siedziała młoda niewiasta, zapatrzona w jego piękne oblicze. Twarz tej kobiety tchnęła niewysłowioną dobrocią, a białością swą równała się alabastrom. Ciemnawe jej włosy o połysku miedzi, opadały bujnie na plecy, na ramiona i ręce, któremi podpierała głowę.

Na progu domu, w pół otwartych drzwiach, stała inna niewiasta z centkowaną misą w ręce i ceglastym dzbankiem na głowie. Była również młoda i piękna, ale różniła się od tamtej snością lica i kruczym włosiem, który tak lśnił, jakby się zajmował od pożaru słonecznego. Obróciła czarne oczy na owego męża przy studni, patrząc z przywiązaniem i podziwem kobiety, która może go tak nie rozumiała, jak go rozumieeli mężczyźni, ale byłaby za nim szła przez najodleglejsze okolice, by usuwać przed nim kolce krzaków, czerpać dla niego wodę ze strumienia i myśleć o posiłku, gdy wieczorem spocznie po całodziennym pielgrzymce.

I teraz myślała o tem, wstępując do przedsionka domu, w którym panowała wielka radość. Bo oto ukochany ich brat Łazarz przyszedł nagle do zdrowia. I ona, Marta, i siedząca przy studni Marja, utraciły już wszelką nadzieję uratowania go, bo cierpienie było straszne, trwało kilka lat i zwiększało się z dniem każdym. Aż wreszcie pewnego popołudnia chory przymknął oczy, wszelkie tchnienie uleciało z jego piersi, a siność śmiertelna powlekła jego oblicze. Wtedy to właśnie ów młody rabbi,

siedzący tam na studni, pojawił się w Betanji. Zrozpaczone siostry szukały go po całym miasteczku, aż wreszcie odnalazły w domu bogobożnego celnika. Nie mógł przybyć zaraz; więc czekając pod drzwiami, łamały ręce, gdyż chodziło już o każdą chwilę. Nareszcie z powodu długiego czekania utraciły całkiem otuchę i mniemały, że wszelka pomoc będzie już spóźniona. Ale on wstał od stołu, ruszył za nimi i przestąpił próg ich domostwa.

Długo patrzył na leżącego bez ruchu Łazarza. Siostry stały w drzwiach i płakały. Obrócił się ku nim w zamyśleniu i rzekł, wskazując na leżącego:

— Jakże cicho śpi!...

A potem dodał, jakby mówił do siebie:

— Żali mu sen ów przerywać?...

Lecz ocknął go z zadumy głośny płacz siostr, które, usłyszawszy jego słowa, padły sobie wzajem w ramiona i szlochały:

— Straciłyśmy ukochanego!

Tyle rozpaczy było w ich narzekaniu i tyle boleści w ich twarzach, że ogarnął go żal, kazał im wyjść za próg, siadł przy łożu Łazarza i ujął go za zimną rękę, która zaciężyła bezwładnie na jego dłoni.

Nastąpiła cisza.

Siostry przyklękły w drugiej izbie, poopierały twarze o ścianę i zanosiły się od płaczu. Potem łkanie ich zmieniło się w bezsilny jęk, który słabł w miarę tego, jak chwile uciekały.

Długo trwała cisza, aż wtem rozległ się przy łożu silny głos:

— Nakazuję ci, Łazarzu, powstań!

Dało się słyszeć westchnienie, potem stąpięcie i po chwili pojawił się na progu rabbi, trzymając za rękę Łazarza.

Siostry rzuciły się z płaczem bratu na szyję, ścisnęły go i pieściły, a potem padły do nóg rabbiemu, całowały je, rosily łzami wdzięczności i nie posiadały się ze szczęścia.

Rabbi polubił tych ludzi i bawiąc w Betanji, co wieczór do nich zachodził. Nieraz prowadził z Łazarzem długie rozmowy. Marja siadywała wtedy u nóg jego, a Marta krzątała się wedle wieczerzy.

Łazarz pilnował, by towarzyszący rabbiemu, pozostałym w miasteczku, na niczem nie zbywało. Więc gdy odchodził, rabbi rozmawiał także z Marją.

Rozmowy ich, prowadzone przy studni, tyczyły gór, nad któremi świecił słoneczny pył zachodu; tyczyły niepokalanej modrości nieba, które się nad Betanją piętrzyło; tyczyły różnego kwiecia, które wonią przepelniało powietrze; ale tyczyły także ludzi i blizkich wypadków.

Gdy rabbi mówił, Marja zawieszala oczy swoje u jego smutnych ust i chwytala każde słowo. A on nietylko opowiadał, ale jakby rozpamiętywał na głos, nie tając przed nią swych myśli. Bo była mu wierną i byłaby za nim szła, jak Marta. Ale idąc, nie myślałaby o czerpaniu wody ze źrójów i gotowaniu

posiłku, jeno nakłaniałaby ucha ku temu, co powie. A gdyby nawiedziło go zwątpienie, pokrzepiłaby go słodkim słowem i wiernem wejrzaniem.

Teraz, gdy doszedł do Betanji, gdy był zaledwie o kilkanaście stajen od Hierusalim, którego wieże siniały za przełęczą, gdy z okolic prostaczych, a tak mu oddanych, ruszyć miał do stolicy kraju, wkroczyć w świat wielkich stosunków, uczuł, że mu tak wierne serce może być więcej potrzebne, niżby ktokolwiek przypuszczał; że mogą przyjść chwile, gdy najwierniejsi zadrżą i wyprą się go, rozbiegną się w przerażeniu, a samego na ciężką godzinę zostawią. I pragnął, by takie serce stało przy nim, jeżeliby podobna godzina nadeszła.

Patrzył z niepokojem na siniejące wieżycy. Czuł, że tam rozegrają się jego losy. Oto za furtką znikli jego towarzysze, których odesłał do miasteczka, aby nazajutrz byli gotowi do wyruszenia. Ten wieczór był może ostatnim najpiękniejszego okresu jego życia...

Bo oto dobiega trzeci rok, jak przestał żyć samotnie i wystąpił między ludzi; jak począł chadzać z miast do miast, z miasteczek do miasteczek, ucząc w bóżnicach. Owe trzy lata minęły, jak trzy dni, jak jeden sen! Tłumy otaczały go, a on siadał z nimi na górach i przemawiał do nich. Albo, krążąc po jeziorach, kazał kierować czołno do brzegu, na którym czekało mnóstwo ludu. Zbliżywszy się tak, aby był słyszany, mówił przez podobieństwa.

Dziatki do niego przyprowadzano, aby je błogosławił. Cierpiący pragnęli, by na nie spojrział i ręce na ich głowach położył. Inni starali się bodaj dotknąć kraju szat jego. Trzy lata dobiegały, jak chadzał po tych sinych wzgórzach, jak pływał po onych modrych jeziorach z rybakami, którzy go kochali i czcili; jak po skwarnym dniu siadywał na studni i patrzył na zachodzące słońce, podnosząc niekiedy wonny kwiat do twarzy.

Otaczały go serca kochające i umysły proste, które w niego wierzyły. Kochał je i był im wzajem drogi.

Jeżeli więc pogoda życia i piękno jego miało być ludziom ukazane, jeżeli szło o ucieszenie serc i pouczenie, że można istnieć na ziemi w szczęściu i podniesieniu ducha, to to się już stało...

Jeżeli trzeba było wskazać, jak można przygarnąć pod swą myśl nieznanne tłumy, jak je prowadzić i jak im smutek i troskę odjąć, to to zostało już wypełnione...

Ale teraz trzeba było uczynić coś więcej.

Dotąd spotykał na drodze swojej serca, które się same przed nim otwierały; tu na tych wzgórzach, na tych dolinach i jeziorach czekano na przyjscie takiego człowieka. Przeto, gdy się zjawił, poznano go i uczczono.

Ale on czuł, że tam wśród onych siniejących wieżyc wszystko się zmieni; że tam czeka go trudniejsze zadanie, że będzie musiał uderzyć w serca

twarde jak kamień i dotknąć umysłów śliskich jak ciało węża. Uczyniwszy tyle, nie mógł się cofnąć. Iść tam musiał, jak musi słońce nie tylko podatne szczyty oświecać, ale sięgać do wnętrza kryjących się za murami roślin i życie w nich pobudzać. Przeczynał, że tam innymi wejrzeniami będzie powitany i inny skutek wywrze jego mowa, która będzie musiała być palącą. Że tam napotka dusze posępne jak noc i myśli od skał oporniejsze.

I żał mu było odchodzić od tych ludzi czystych, prostych i oddanych mu. Żał mu było tych wzgórz, tego pyłu słonecznego, tych niepokalanych błękitów, tych kwiatów wonnych. Żał mu było tych dni pięknych i tych wieczorów cichych, przymglonych marzeniem, wypełnionych podniosłymi myślami i spędzonych na rozmowach przed domem tych ludzi.

Odwrocił oczy od słońca, przymknął je na chwilę, a potem schylił je w dół do Marji, która podparwszy głowę dłonią, wpatrywała się w niego z ogromną miłością i oddaniem.

Milczał długo i poglądał na nią, aż nareszcie rozchyliwszy usta, zapytał:

— Miłujesz-że mnie?...

A ona uklękła przed nim, przyłożyła twarz do jego kolan i patrząc mu w oczy, odpowiadała załamionem spojrzeniem.

On znowu milczał i poglądał, aż spytał dalej:

— Nie opuścisz mnie?...

Wtedy ona zapłakała i położywszy oczy na jego kolanach, nie mogła się utulić.

A on pytał dalej:

— Nie odstąpisz mnie, gdy wszyscy z lękiem się rozbiegną?... Gdy każdy, drżąc o siebie, będzie mówił, iż mnie nie zna?... Gdy ostanę samotny w niepokoju i udręczeniu?...

Ona rzewnie płakała, nie mogąc słowa wyrzec. Jeno poczęła obejmować jego nogi i całować jego kolana.

On zaś pytał dalej:

— Nie wyrzekniesz się mnie, gdy może przekleństwa na głowę moją padną, gdy ludzie z oburzenia szaty nademną rozdzierać będą, gdy podniosą kamienie i pospółstwu na mnie wskażą?... Gdy może wyślą po mnie straż, ujmą, zwiążą i poprowadzą na sąd?... Nie wyrzekniesz się ty mnie wtedy?...

Ona z ogromnym lękiem podniosła twarz i złożyła ręce, a błądź pokryła jej oblicze.

On pytał dalej:

— Gdy zedrą ze mnie szatę, by siec prętami?... Gdy plwać mi będą w oblicze, nazywając kłamcą i bluźniercą?... Gdy imię moje będzie szyderstwem, a wiara we mnie niebezpieczeństwem życia?... Gdy ujrzysz zhańbionego, ociekłego krwią... Nie wyrzekniesz się ty mnie wtedy?...

Jęk przytłumiony dobył się z piersi młodej niewiasty. Oczy jej były jak błędne, a usta drżały.

On jeszcze bardziej się nad nią pochylił i wreszcie wyszeptał urywanym głosem:

— Gdy może powloką za mury tego siniejącego za wzgórzem miasta i rozpiętego na słupie wydadzą kraczącemu ptactwu?... Gdy przyjdzie lęk i konanie i najcięższa chwila?... Gdy trzeba będzie nocą zdjąć, obmyć, owinąć, ułożyć, zasunąć kamień... Nie odstępisz-że ty mnie wtedy?...

Marja osunęła mu się do nóg z łkaniem. Ból ścisnął jej serce, a myśli plątały się i mieszały. Przyłożyła usta do jego stóp, a ręką cisnęła rozpaloną skroń, w której jak młotem biła trwoga, żal, rozpacz.

On milczał i nie podnosił jej, czekając odpowiedzi.

Wtedy ona po chwili sama się nieco uniosła, ale jak nieprzytomna; pocierała czoło, oglądała się dokoła błędnym wzrokiem. I patrzyła na niebo, jakby chciała spytać: żali to może się spełnić, co słyszała?... Potem popatrzyła na sine wzgórza, jakby znowu chciała pytać: ażali możebne, aby to wszystko jemu uczynić mieli?... I popatrzyła na oliwki, granaty, na bluszcze domu, na piękność i cichość wieczoru, wreszcie na białą jego szatę, na jasne czoło i prawdę bijącą |z jego oczu. Patrzyła błędnem spojrzeniem i nie mogła zrozumieć.

Więc siedziała w oniemieniu. Nastąpiło długie milczenie.

Wtedy pojawiła się na progu Marta. Śniada

jej twarz była zarumieniona, z oczu tryskała żywość. Trzymała w ręku konwę i stojąc w drzwiach, ozwała się do siostry:

— Żali nie pomożesz mi w krzątaniu się około wieczerzy? Brat powróci z miasteczka i wnet wezwie gościa naszego do stołu. A jakżeż wykazemy onemu gościowi przywiązanie nasze, jeżeli nie będziemy się troszczyć około tego, by mu dogodzić?

Marja ujęła się znowu za skronie, nie dosłyszała; myśli jej odbiegły daleko.

Rabbi uśmiechnął się smutnie, popatrzył na Martę i rzekł:

— Nie gań jej. Może ona w tej chwili bardziej od innych się troska?

Marta podeszła do studni, postawiła konwę na ocembrowaniu i spytała:

— Jakże to rozumiesz, rabbi?

Z czego korzystając Marja, powstała i znikła za drzwiami domu. Jeszcze Marta rozmowy z młodym rabbim nie skończyła, kiedy Marja pojawiła się znowu, niosąc miedziane naczynie, a podszedłszy do rabbięgo, klękała u jego nóg. Była bardzo blada. Po nieruchomej twarzy spływały łzy. Ręce jej drżały.

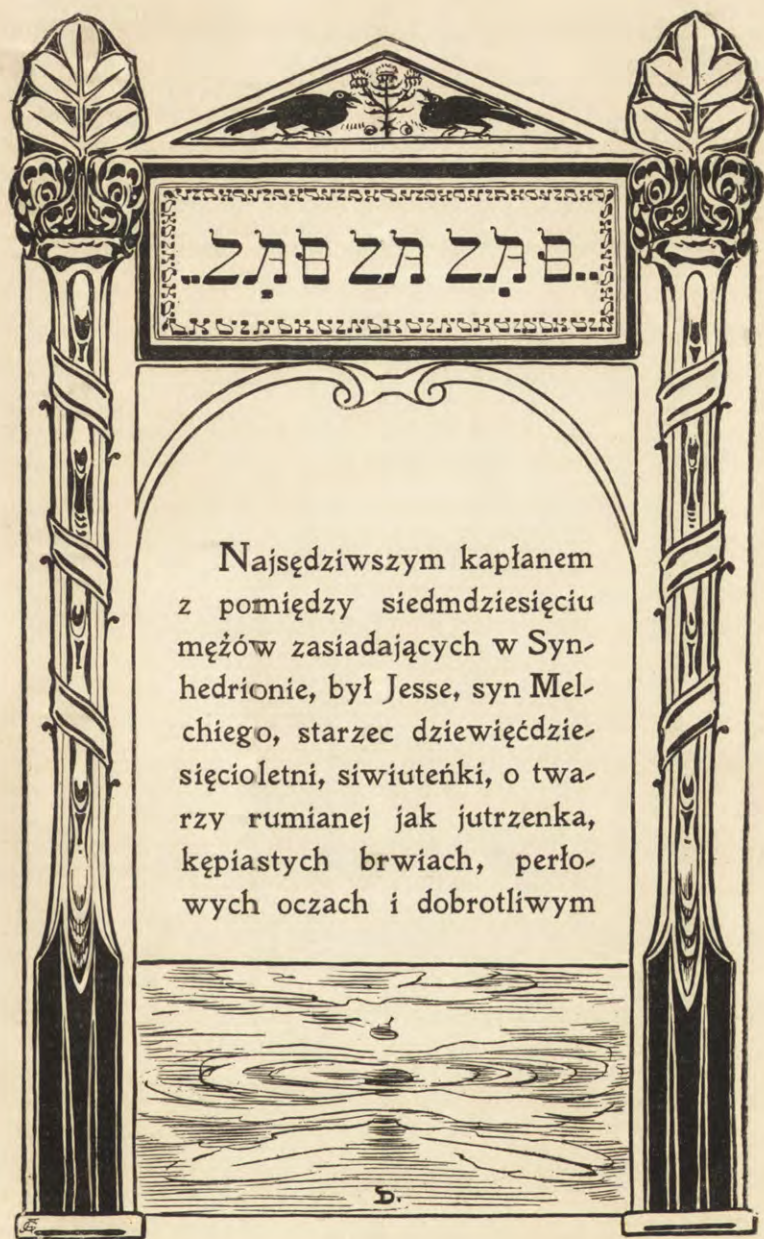
Obmyła nogi rabbiemu i otarła puklami swych włosów. Potem zrosiła je łzami swojemi i znowu otarła bujnemi włosami. Następnie dobytek kosztownych olejków i namaściła je.

Rabbi jedną dłoń położył na jej głowie a drugą zasłonił oblicze.

Marta patrzyła na niego i na siostrę, nie rozumiejąc.

W tej chwili zgasł na zachodzie ostatni promień najpiękniejszego dnia na ziemi...





Najsędziwszym kapłanem z pomiędzy siedmdziesięciu mężów zasiadających w Synhedrionie, był Jesse, syn Melchiego, starzec dziewięćdziesięcioletni, siwiuteńki, o twarzy rumianej jak jutrzienka, kępiastych brwiach, perłowych oczach i dobrotliwym

uśmiechu. Posiadał on dziwną słodycz charakteru. Gdy rankiem siadł na dachu domu swego, nadlatywało niezliczone mnóstwo gołębi, furkotało dokoła jego głowy, siadało mu na ramionach, na kolanach i rękach, dzióbiąc z drżącej jego dłoni ziarno. A on śmiał się do owych skrzydlaczy; natarczywszym groził figlarnie palcem, a potulniejsze głaskał po piórkach i całował po dzióbkach, obdarzając pieśczośliwymi wyrazami.

Gdy się już ptactwem dostatecznie nacieszył, brał kij i wychodził przez pobliską bramę miejską na pastwiska. Pierwsza owca, która go ujrzała, dawszy znak bekiem, biegła ku niemu, a wnet za nią ruszała cała trzoda, nie wyłączając baranów o krętych rogach i jagniąt bielutkich. Starzec otoczony trzodą, rozdzielał pomiędzy bliższe i dalsze szczypty soli, póki przyniesiony zapas nie wyczerpał się do ostatniego ziarnka. Nie obdarowane klepał po wełnie i schylając się z trudem, całował po głowie, pieścił, nie szczędząc słów dobrotliwych i czułych.

Nacieszywszy się trzodą, wracał do miasta, a wtedy oblegały go gromady dzieci i odprowadzały aż pod próg domu. Jesse po drodze godził spory dzieciaczków, opowiadał im o procy Dawidowej, o jabłkach, które rosły w rajcu i o wielu innych rzeczach, interesujących młodzież, wsuwając w czasie opowiadania temu i owemu do ust daktyle i figi. A gdy pożegnał się z dziatkami, obchodził ogród, niby modląc się, ale właściwie doglą-



dając róż, które bujnemi gałęziami spinały się po murze. Roztkliwiał się nad ich wonią i błogosławił je. Dotykał winnych jagód i przemawiał do nich. Patrzył po oliwkach i obcował z nimi, jakby to były jego krewne, powinowate lub bliźnie.

Żonę stracił przed piętnastoma laty, a z jej śmiercią począł jeszcze mniej dbać o majątność. Żebracy dzielnicy, w której mieszkał, otrzymywali dwa razy na dzień pożywienie, tak, że niektórzy z nich nawet utyli. Synowie Jessego byli już mężami podeszłego wieku i cieszyli się najlepszą sławą; dzieci tych synów były pożenione i doczekały się potomstwa. Jesse więc u pięknego zachodu dni swoich spoglądał w czwarte pokolenie, co było wielką rzadkością.



Starzec od wielu lat nie brał właściwie udziału w sprawach publicznych, ale na zgromadzenia Syn-



hedrionu przybywał zawsze pierwszy, choć zaraz usypiał i nic a nic nie wiedział z tego, co mówiono i co postanawiano. Od czasu do czasu tylko, gdy go o to poproszono w domu, odzywał się w Radzie jako obrońca i w ten sposób wybawił od kar i publicznych nagan: jednego bluźniercę, dwie żony wiarołomne, kilku marnotrawnych synów, jedną niezamężną, która porodziła, wielu niepobożnych i pewnego młodego rabina, mniemającego, że piątej księgi Tory nie napisał Mojżesz. Wszyscy ci, uznawszy swą winę, prosili Jessego o wstawienie się za nimi. Obrona była niezmiernie łatwa, bo zaledwie Jesse usta otworzył, cały Synhedrion wbrew zwyczajowi i powadze swojej, jednomyślnie i natychmiast spełniał życzenie rumianego starca, uwalniając winnych.

Przytem powstawał zazwyczaj gwar i wesołość. Członkowie dalej siedzący, którzy nie dosłyszeli o co chodzi i biegli do stołu po objaśnienie, wracali na swe miejsca, mówiąc:

— Jesse się wstawia!

I szło z ust do ust:

— Jesse się wstawia!

Na co wszyscy machali rękami i z uśmiechem poglądali na siebie.

Jesse był w ogóle przeciwny wszelkiemu karaniu.

Największy przestępca po skazaniu, gdy przychodziło do wymiaru kary, zyskiwał najżywsze

współczucie starca, który nad nim płakał, jak gdyby był jego ojcem.

Raz na rok pouczał w świątyni, a wtedy zjawiali się sami młodszy rabini i wielu z tych, którzy rabinami zostać mieli. Tłok czynił się wielki, otaczano starca ze wszystkich stron, a on wykładał Pismo. Był to wykład niezmiernie charakterystyczny, gdyż dobrotliwy starzec starał się nadać twarzy swojej wyraz ogromnie srogi i głosił rzeczy straszne. Od niepamiętnych lat powtarzał jeden i ten sam wykład, zaczerpnięty z wtórej księgi Mojżeszowej. Mówił przeciwko grzesznikom i przepowiadał, co ich czeka. Groził im ogniem piekielnym, zapowiadał pomstę Bożą aż do dziesiątego pokolenia i kończył zazwyczaj tem, iż dla winowajcy niema przebaczenia i być nie może, gdyż za wylupione oko musi być oddane także oko, a za wytracony ząb, także ząb. I winny da duszę za duszę, rękę za rękę, sparzelinę za sparzelinę i si-
ność za siność.

Wygłosiwszy tak nieubłagane zasady, postępował przez resztę roku wręcz odwrotnie i tym sposobem zarówno jego zasady, jak i jego postępkę, stały się przedmiotem wielkiej popularności. Na owych dorocznych wykładach młodzi rabini kryli się za plecy innych i pokładali się ze śmiechu. Srogość Jessego wywierała tak ucieszne wrażenie, że nikt nie był w stanie zachować powagi. Ale zarazem nie było takiego, któryby się odważył dać mu

to do poznania uszczypliwym słowem, czy żartem, czy najniewinniejszą uwagą, lub zmartwić starca wykazaniem tej sprzeczności pomiędzy mową a czynem. Jesse chciał poprostu zastraszyć grzeszników i odjąć im wszelką ochotę od popełniania nieprawości.

Owa teoretyczna srogość wobec niesłuchanej wyrozumiałości w praktyce, sprawiła, że nikt zasad jego nie brał na seryo, ale uwielbiał go za jego postępkę. Synhedrion wiedział o tem doskonale i dlatego właśnie z uciechą uwalniał wszystkich grzeszników, jeżeli Jesse za nimi się wstawiał.

Starzec nie miarkował, że Synhedrion szydził z niego w ten sposób. Zresztą natychmiast po zapadnięciu wyroku uniewinniającego, Jesse opuszczał zgromadzenie i spieszył, o ile na to starość pozwalała, z radosną wieścią do skruszonego winowajcy.

Ale z teoryi o nieubłaganej srogości nie byłby pozwolił usunąć ani jednego słowa.

Gdy razu pewnego zdarzyło się, że po świętach jakieś dwunastoletnie pacholę, zabłąkane i opuszczone przez rodziców w świątyni, wdało się w rozprawę z uczonymi w Piśmie, Jesse był tak zachwycony, że wziął je na kolana i głaskając po policzkach, pytał:

— A co o tem mówi Dawid?

Pacholę odpowiedziało. On je całował i pytał:

— A co o tem mówi Ezechjel?

Pacholę przytoczyło ów ustęp. On ścisnął je z uniesieniem i pytał:

— A co o tem mówi Daniel?

Wreszcie zapytał:

— A co ty o tem mówisz?

Pacholęz wygłosiło swoje zdanie. Ale Jesse położył dłoń na jego ustach, a drugą dłonią głaskając go po jasnych włosach, mówił dobrotliwie:

— Ty o tem nic nie masz mówić! O tem powiedział Dawid, powiedział Ezechjel, powiedział Daniel. Ty mów, co Dawid, co Ezechjel i Daniel. To jest zupełnie dosyć!

I przez wiele lat nie mógł zapomnieć o bytności owego pacholęcia w świątyni.

Po długim przeciągu czasu zdarzyło się, że pewien młody rabin, przybyły z głębi kraju, oburzył się na widok licznych przekupniów, którzy w przedsionkach świątyni porozstawiawszy swoje stoliki, handlowali pieniędzmi, towarem i ptactwem. Przez cały dzień wrzał taki gwar, że niepodobna było słyszeć mowców w świątyni. Przytem powstawały liczne kłótnie i odciąganie kupujących, i targ i złorzeczenie. Tedy ów młody rabin, oburzywszy się na podobne lekceważenie świątyni, odwiązał sznur od bioder swoich i począł onych przekupniów przepędzać; powywracał ich stoliki, a tak był w onej chwili groźny, że wszyscy przed nim uciekli; przedsionki niebawem się oczyściły i nastąpiła cisza, właściwa dla domu Bożego.

Zajście to narobiło wrzawy w całym mieście. Większość stanęła odrazu po stronie tego, który

oswobodził świątynię od hałasu i targowiska. Rzecz doszła także do uszu Jessego. Każdy mniemał, że ten pochwali postępek przybysza. Ale stało się coś nieprzewidzianego. Bogobojny starzec był tak oburzony na owego młodego rabina, że trząsał rękami i nie pozwolił słowa powiedzieć w jego obronie. Tłómaczono mu, że to nauczyciel młody, pobożny, żyjący gdzieś w odosobnieniu, marzyciel; gdy ujrział, że lud zamiast się modlić, czyni jarmarczny zgiefk, uniósł się świętym gniewem. Mówiono także Jessemu, że przekupnie na wszelkie uwagi nie dawali posłuchu. Starzec kręcił głową, trząsał rękami i wołał jedno w kółko:

— Ale poco bić? Poco zaraz bić? Nigdy nie trzeba bić!

Wobec tego radzono mu, aby się osobiście udał do świątyni i zganił przybyłego z głębi kraju rabina. Jesse nie chciał tego uczynić, powiadając:

— To jest popędliwy człowiek i stanie kiedyś przed sądem. A wtedy to ja już do niego przemówię!

I odwrócił się do gołębi, trzód, róż, oliwek i dziatwy po ulicach biegnącej. Niebawem też zapomniano o tej sprawie.

Po upływie dwóch lat, przybył znowu jakiś młody rabin z głębi kraju i ucząc w świątyni, popadł w spory z miejscowymi kapłanami i wykładowcami Pisma. Wkrótce rabin ten zwrócił na siebie powszechną uwagę. Opowiadano o nim wiele nad-

zwyczajnych rzeczy. Nie wszystko jednak docho-
dziło do uszu Jessego, który coraz dłużej na posie-
dzeniach sypiał i coraz bardziej lgnął do gołębi, bo
z powodu osłabienia nóg, nie mógł wychodzić za
miasto celem odwiedzania trzód. Ale gdy sprawa
poruszyła wszystkie sfery i gdy jęły krążyć nie-
słychane wieści o bluźnierstwach młodego rabina,
zaczął i Jesse powoli przysłuchiwać się i to tem
więcej, że nawet synowie jego byli oburzeni na
śmiałego rabina, który najpoważniejszych mężów
miał nazywać obłudnikami, przyrównywać ich do
grobów pobielanych i wróżyć im ogień piekielny.

Jesse uśmiechał się dobrotliwie i odpowiadał
synom na ich oburzenie:

— Ten młody rabin mówi prawdę. On pro-
wadzi język swój drogą prostą. Bo powiedzcie, sy-
nowie drodzy, czy obłudnikiem nie jest Salatjel, czy
nie jest Menasse, czy nie jest Eliakim? Czy nie po-
dobni do grobów pobielanych Aleksander i Mattata,
i Natan, a także Esle? Czy nie zasłużyła na ogień
piekielny połowa naszych bogaczy? Dzieci tego Es-
lego ubiły mi kamieniami dwa gołębie, a Natan
pożycza na lichwę i na zastaw, choć sędzi w Syn-
hedrionie i chodzi przed narodem w słońcu po-
wszechnego szacunku. Oni wszyscy i zawsze są-
dzą! Sądziłi przez całe życie, to także kiedyś będą
sądzeni. Mnie się mowa tego rabina bardzo podoba!

Gdyby Jesse nie był tak uporczywie sypiał na
posiedzeniach, byłby się dowiedział daleko ważniej-

szych rzeczy, tyjących młodego rabina. Gotowała się bowiem nad jego głową burza, a pioruny zbierały się w rękach tych, którzy stanowili Synhedrion.

Zamierzano go pojmać i stawić przed sądem. Przystąpiono do głosowania. Trzeba było Jessego zbudzić i tłumaczyć mu, o co chodzi.

Gdy Jesse posłyszał, jakie postanowienie ma zapasć, oświadczył się z całą stanowczością przeciw temu.

Powstała niezmiernie gwałtowna utarczka na słowa. Jesse spotkał się po raz pierwszy z opozycją i w dodatku tak namiętną. Ale starzec przyzwyczajony do tego, iż mu zawsze ustępowano, zaciął się. Spór rósł i przedłużał się, a roznamiętnienie posuwało granice rozmaitych względów. Niektórzy przyskakiwali do Jessego i wyrzucali mu, że zawsze co innego mówi, a co innego robi. Jesse odcinał się na wszystkie strony, rozwinał wielką przytomność umysłu i taką wymowę, że nareszcie wymógł, iż ostateczne postanowienie odłożono do następnego posiedzenia.

Tymczasem udał się do świątyni, w której właśnie młody ów rabin przemawiał. Siadł naprzeciw niego i bacznie słuchał. Za jego plecami stanęło wielu z Rady, aby się oburzać i czynić zgiełk.

Młody rabin patrzył wielkimi niebieskimi oczami po nich i słowa swoje prosto w ich twarze kierował. I znowu zarzucał im obłudę i prze-

wrotność. Nie szczędził im przygan i wszystkie miejsca Pisma przeciw nim obracał.

— Chlubicie się — powiadał — pobożnością waszą, jak gdyby Pan na niebiosach siedzący był ślepy i w sercach waszych nie czytał. Pobożność wasza jest kiwaniem głów, ale z serc waszych wypływają węże i bliźnim waszym zadają jadowite ukąszenia. Bliźni milczą, bo są słabi; Pan na niebiosach także milczy, bo jest cierpliwy. Ale nastanie dzień sądu i Pan otworzy serca wasze, a ukaże w ich wnętrzu węże ku zadziwieniu całego świata, który wierzył w waszą sprawiedliwość. I policzone wam będzie każde obłudne skinienie głową i każde jadowite ukąszenie bliźniego; albowiem jest sprawiedliwość różna od waszej!... Chlubicie się, że otwieracie ramiona na przyjście proroków, że żyjąc za dni ojców waszych, nie bylibyście wzięli udziału w przelaniu krwi sprawiedliwych. Rodzie jaszczurczy! Popatrz na postęпки swoje i wejrzyj w głąb serca swego, przepelnionego nieprawościami! Żdźbła szukasz w oku bliźniego i siedmdziesięciu ustami sądzisz go; ale gdy prorok ujrzy belkę w twym oku i zgani cię, podburzasz pospólstwo i podajesz mu kamień do ręki, aby tego proroka z drogi twojej sprzątnął. Groby pobielane sprawiedliwością a wewnątrz cuchnące od cudzej krzywdy! Plemię wężowe! Jakoż się ostoisz przed gniewem Pana w on dzień sądu, gdy ciebie z kolei sądzić będą bez świadków fałszywych i kłamliwego przysięgania, jeno na

podstawie księgi, którą jest twoje serce? Biada wam, obłudnicy! Biada wam, którzy sądzicie i w świątyni pierwsze miejsca zajmujecie!

Kapłani i uczeni zgrzytali zębami i czyniąc zgielk, starali się zagłuszyć słowa jego. Ale Jesse obracał się ku nim, rozkładał ręce i powiadał:

— Abo on nie mówi prawdy? Abo tak nie jest?

Młody rabin wywarł na nim wrażenie nader korzystne. Straszyl grzeszników i gromił ich. Jesse czynił to przecież przez całe życie. Młody rabin przemawiał wprawdzie przeciw grzesznikom wysoko postawionym. Ale dla takiego starca jak Jesse nikt nie był wysoko postawiony. Jesse nie zauważył nawet, że rabin grzmiał przeciw głowom narodu i przeciw Synhedrionowi. Przed jego starczem okiem wyrównały się różnice, jakie tworzy majątek, urodzenie i stanowisko. Widział tylko ludzi, którzy się dzielili na grzesznych i sprawiedliwych. Nie mógł tedy właściwie zrozumieć owej zajadłości kapłanów i uczonych w Piśmie. Tymczasem zwrócił się znowu twarzą do młodego rabina, który z ogniem w niebieskich oczach, mówił głosem podniesionym:

— Zginacie kolana przed Panem, ale myśli wasze służą szatanowi i jego rotom. Obejmujecie pieczę nad ludem, ale wilk mniej strat owczarni przysparza, niż piecza wasza. Na ustach macie wyrazy pełne mądrości i namaszczenia, ale ręka wasza w cieniu przewrotności sunie na pole grzechu, by uszczknąć jego owoc i spożyć w samotności. Uchy-

lacie czoła przed Panem i jego przykazaniami, ale wobec tych, którzy wam podlegli, wydymacie pogardliwie usta i stopami tratujecie Zakon. Zaprawdę mówię wam: miłszy mi ptak na gałęzi lub owieczka w trzodzie, niż wy i pycha wasza! Miłszy mi kwiat na krzaku i liść na drzewie, niż wy i wasza przewrotność! Ptak śpiewa pieśń Panu, róża sieje Mu woń, a owieczka idzie cicho pod nóż ofiarny. Ale wy siejecie w duszach zarazę, a nóż wbijacie w serce tych, których Pan wybrał!

Jesse był bardzo poruszony, a nawet zmieszany. Zdarzyło się w dodatku, że młody rabin mówiąc o ptakach, owieczkach i kwieciu, zwrócił na niego swe niebieskie oczy. Jesse poruszył się, podniósł drżącą rękę do czoła i niemal dziewiczy rumieniec oblał jego jagody.

Wśród ogromnego zgiewku i pogrózek młody rabin mówił dalej, a głos jego nabierał siły, jak gdyby z duszy jego wiała burza i chciała zmieść opornych słuchaczy.

— Synów uczycie — powiadał — aby słuchali ojców. Ale jakże im to wykładacie? Żali przewrotność wasza nie psuje serc od zarania i nie wnosi zniszczenia w dom młodociany? Bo oto ojciec dał nakaz synowi, aby uczynił wedle woli jego. Syn oparł się słowy, ale po namyśle spełnił wolę ojca, choć słów swoich nie odwołał. Drugi syn gorąco przyrzekał rodzicowi, iż wolę jego wypełni. Ale odszedłszy na stronę, machnął ręką i oddał się ucie-

chom. Jakżeście to rozsądzili, sędziowie nieustanni? Który z tych synów obraził ucho wasze, a który duszę waszą? Który z nich jest lepszym synem, czy ten, który w oczy przyrzeka, a potem macha ręką i nie wypełnia przykazań, czy też ten, w którego ustach jest opór, ale dobrymi uczynkami zna czy drogę swoją? Zaprawdę mówię wam: miłszy będzie Panu ten, który straszy grzesznika i przestrzega go, a gdy on grzesznik upadnie, wstawia się za nim, niż ten, który nie miał dla niego litości, choć sam bardziej na karę zasłużył od zasądzonego! O Peruszim, Peruszim! Pan na niebiosach widzi i miarkuje sobie wszystko, jak dogląda każdego jagnięcia na pastwisku, każdego kwiatuszka, by nie uwiadł, każdej roślinki, by nie uschła i każdej duszy ludzkiej, by nie umarła!

Jessemu rzuciły się łzy z oczu. Zdawało mu się, że młody rabin przemawia wprost do niego. Starzec przyłożył obie dłonie do twarzy, a przez palce ciekły mu łzy rzęsiste. Ludzie z boku stojący poczęli się trącać łokciami i szeptać. Rozczulenie Jessego wywarło taki skutek, że bardzo wielu poczęło spoglądać z czcią na młodego rabina.

Ale stojący za starcem kapłani, uczeni i członkowie Synhedrionu, podnieśli taką wrzawę, że niepodobna było słyszeć dalszych słów mówcy. Wtedy Jesse wstał, obrócił się ku nim zapłakaną twarzą, podniósł drżące ręce nad głowę i po trzykroć nakazał milczenie. To poskutkowało na razie. Nastąpiła

cisza, mówca zniżył głos i począł wyklądać Pismo. A mówił w te słowa:

— Słyszeliście, iż rzeczo: będziesz miłował bliźniego swego, ale wroga miej w nienawiści. I odróżniany był krewny od powinowatego, powinowaty od bliźniego, bliźni od przybysza i przybysz od nieprzyjaciela...

Jesse począł nagle mrugać oczami. Łzy mu obeschły. Przechylił się nieco naprzód i nastawił ucha. Młody rabin zaś mówił:

— Słyszeliście, iż rzeczo: oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, sparzelina za sparzelinę, siność za siność i dusza za duszę. A karany miał być nie tylko człowiek, który w złości uderzył, ale i wół, który w zaślepieniu swem ubódl. Wszelako gdy na wicher porwie się wicher drugi, żali się burza nie zwiększy? Albo jeżeli zaciekł człowiek na równie zaciekłego ruszy, żali od tego będzie spokojność społeczności i dochowanie przykazań? Rzeczo: ząb za ząb! Ale ja wam powiadam: odpuszczajcie winy nieprzyjaciółom waszym, kochajcie tych, którzy was prześladują, czyńcie dobrze tym, którzy was mają w nienawiści i za ukąszenie zębem gniewu, oddawajcie uścisk przyjacielski...

Jesse skoczył z krzesła. Przetarł oczy, popatrzył na młodego rabina, który nagle wydał mu się zupełnie innym człowiekiem, nie tym, który gromił i straszył grzeszników, nie tym, który walczył z ludzką słabością, ale poprostu nauczycielem, który

zmieniał tekst, który poprawiał Torę, który ulepszał Mojżesza i rozpoczął wojnę z jedyną skarbnicą duchową i miarodajną powagą — z Pismem!

Jeszcze nie był pewien, czy to nie przesłyszenie się starczego ucha, lub zwykła omyłka mówiącego. Ale gwar i pogroźki, które były wpierw na jego żądanie przycichły, ozwały się na nowo. Szemranie rosło niby zbliżający się grom i wybuch był bliski. Ale to wszystko jakby tylko pobudzało przybysza, bo począł mówić silniejszym głosem, w którym był nie tylko zapal, ale i gromienie. A właśnie tak wykładał:

— Mówiono wam: ząb za ząb. Mówiono wam: oddaj oko za oko. A ja wam powiadam: nie pożądam gwoli zemście oka bliźniego twego, ale jeśli gorszy cię twoje własne, to je wyłup. I jeśli ręka twoja wie dzie ciębie do złego, to ją raczej odetnij, niż żebyś miał cały zginąć z powodu nieprawości. Ząb za ząb!... Ażali Bóg i Pan wasz stworzył was na to, abyście siebie wzajemnie ranili i zabijali?... A jeżeli popełnione zostało jedno zabójstwo, żali już nie dość nieszczęścia?...

— Kłamiesz, kłamiesz, po trzykroć kłamiesz! — krzyknął Jesse, wznosząc pięści przed twarzą młodego rabina.

Powstało wielkie zamieszanie, w czasie którego Jesse zemdlął i musiano go odnieść na noszach do domu. Gdy oczy otworzył i przyszedł nieco do siebie, kazał się wynieść na dach i łykał chciwie świeży powiew, idący od gór. Uczuwał duszność, która

jednak wkrótce minęła. Niebawem nadleciało mnóstwo gołębi, obsiadło go ze wszystkich stron, parząc po dłoniach jego. Jesse próbował się uśmiechnąć, ale tylko skrzywił się gorzko. Posłał po ziarno. Gdy mu je przyniesiono, sypał je ptactwu w zamyśleniu. Siły wracały. Ale wracał także gniew. Tymczasem gołębie siadały mu na ramionach, a on je głaskał dygocącymi rękami i całował po główkach. Weszli do niego na dach niektórzy uczeni i kapłani, aby się dowiedzieć o stanie jego zdrowia. Zaraz też poczęli radzić nad pojmaniem onego młodego rabina i zwrócili się z zapytaniem do Jessego, jakiego zdania byłby teraz.

Jesse całując po główkach i skrzydełkach białe gołębie, szeptał zduszonym głosem:

— Ząb za ząb, ząb za ząb!

Tak tedy oni uczeni i kapłani naradzali się jeszcze, czyby za takie zniewagi i bluźnierstwa nie należała się kara śmierci. I obrócili się znowu do Jessego, jakiego byłby mniemania.

Jesse coraz pilniej głaskał gołębie, które jednak pod jego palcami poczęły trzepotać skrzydłami i wyrywać się. Ale garnęły się inne. Palce starca poczęły się ruszać kurczowo. Uczynił się zamęt pomiędzy ptactwem. Jesse zaś skrzywił okropnie twarz i odpowiadając na pytanie, szeptał jakimś cichym, ale świszczącym głosem:

— Ząb za ząb...

Nagle krzyknął, przechylił się w tył i otworzył

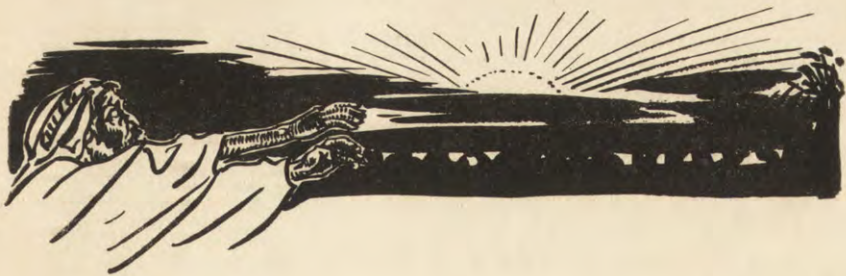
szeroko oczy. Twarz mu poczerwieniała. Począł gwałtownie chwycić ustami powietrze. Otoczono go w najwyższym zaniepokojeniu. On siniał na twarzy, dając jakieś znaki trzęsącą się ręką. Jeden z kapłanów nachylił ucho do jego ust, a Jesse wyszeptał tchem ulatującym:

— Pojmać... Pismo!... Ząb za ząb!...

To były ostatnie słowa tego dziwnie dobrotliwego człowieka.







W OSTATNIEJ CHWILI.



koło bramy Gnojnej stał mały, nędzny domek. Mieszkał tam stary Eliakim, od dwudziestu lat ślepy. Dwaj jego synowie trudnili się sprzedażą gołębi w przedsionkach świątyni; ale nie powodziło im się świetnie. Córkę wydał za ogrodnika jednego z zamożniejszych mieszkańców Betleem; ale i tam nie było błogosławieństwa Bożego. Po kilku latach zięć wręczył córce list rozwodny, co przypawiło o chorobę i śmierć matkę Ruchlę, żonę Eliakimową. Córka zrazu zamieszkała przy ojcu, a potem — przepadła gdzieś w świecie. Synowie również nie bardzo troskali się o ojca. Odstępowało ich niepomiarne skąpstwo starca. Z początku usiłowali różnymi sposobami wyłudzić bodaj coś od

niego, ale gdy się to nie udało, zaniechali go. Eliakim żył sam. Jedyńm jego przyjacielem, towarzyszem i przewodnikiem był duży kij. Towarzysz ten wiodł go co rano przez uliczki do źródła, gdzie Eliakim obmywał końce palców, możliwie małą część twarzy, a następnie z dłoni pił ożywczy trunek. Potem kupował na mieście parę daktylów i fig, które spożywał w domu. Nieodzownym pokarmem jego był także czosnek, który przygłuszał głód, a po którym pamiętało się długo, że się jadło. Eliakim odbył, niby ostatni żebrak, wiele pielgrzymek do głośniejszych źródeł uzdrawiających, o których mówiono, że przywracają światło dzienne. Lecz każda pielgrzymka kończyła się nowym zawodem. Eliakim udawał się również do słynniejszych cudotwórców. Ci jednak za uzdrowienie żądali zapłaty z góry i to zapłaty tak wysokiej, że Eliakim aż się za głowę złapał. Próbował targować się z nimi, ale to się na nic nie zdało. Z każdej takiej wycieczki wracał Eliakim oburzony do najwyższego stopnia, trzęsąc się z gniewu na samo wspomnienie rozmów, toczonych z tymi cudownymi uzdrawiaczami. Zdawało mu się, że najchciwszy mieniacz jerozolimski jest bardziej ludzki i uczciwy, że mniej bezczelnym jest celnik z przed bramy Gnojnej. Zapłata z góry! Niech najpierw uzdrowią, niech najpierw dadzą oku ten słodki promień! Wezmą pieniądze, nie pomogą, gdzie ich potem szukać i to jeszcze staremu ślepcowi, o którym synowie zapomnieli, o którym córka

zapomniała, od którego stara Ruchla odeszła do grobu i od którego chyba sam Adaszem odwrócił twarz...

Pomiędzy jedną pielgrzymką do cudotwórcy a drugą, upływało zazwyczaj kilka lat namysłów, zwątpień, skarg, budzącej się nadziei, zbierania wieści o nowym lekarzu, obliczań i wreszcie gotowania się do drogi. Niekiedy opanowywała Eliakima niepoohamowana żądza odzyskania wzroku. Buntowała się w nim dusza, że inni widzą, że poruszają się swobodnie po świecie, dążąc ku majątnościom i do statkom. Ślepotą była nietylko kalectwem, ale i przeszkodą w zbieraniu miłych staterów, których z rokiem każdym w worku Eliakima ubywało. Wygrzewając się na dachu swego nędznego domostwa, obliczał, ile lat żyć może za swoje statery, wydając tyle, ile wydaje, oraz jak długo wogóle żyć może. Rachunek wykazywał dowodnie, że przy zachowaniu dotychczasowej oszczędności mógłby żyć lat pięćset. Ale figi są coraz droższe, nawet daktyle, czosnek także — i będą jeszcze droższe! Jakiemus sprawiedliwyszemu cudotwórcy trzeba będzie także kiedyś zapłacić za uleczenie dużo, dużo! Eliakim wstrząsnął się — a może kiedyś ukaże się dno worka? Za cudowne uzdrowienie trzeba będzie również jakąś ofiarę złożyć w świątyni. Kapłani mogliby się o uzdrowieniu nie dowiedzieć; ale przekupnie, dbający o zbyt swego towaru, dowiedzą się na pewno i doniosą władzy. Właśni synowie zdra-

dzą go! To są chciwi i nieużywi ludzie! Powinien był ich właściwie przekląć, ale się bał. Przekleństwo to straszna rzecz. Nie, tego nie uczyni... Czuł na dnie duszy, że nie miał prawa tego uczynić. Myśl tę przygłuszał w sobie. On nie chce ich przekląć, bo jest dobry, bo jest nieszczęśliwy, sterany, zdeptany przez los. Niech im jednak Bóg jego krzywdy nie pamięta! Inni synowie nie odstępowałiby ślepego ojca, sami wodziliby go do cudownych źródeł, umówiliby się z jakim uzdrawiaczem, zapłacili... A oni!?

W tym czasie począł się na nowo wywiadywać o czarowników i posłyszał, że krąży właśnie między Betanją a Jeruzalaim jakiś nowy cudotwórca, który leczy przez wkładanie rąk. Eliakim nie ufał nazbyt tej metodzie; ale jednak zastanowiło go to. Wypytywał, ile ów cudotwórca za każde uzdrowienie bierze? i zdziwił się niepomalu, gdy się dowiedział, że mąż ów nie żąda żadnego wynagrodzenia. Eliakim uśmiechnął się. Nie wierzył. Albo wieść kłamie, że uzdrawiacz leczy skutecznie, albo też kłamie, że czyni to za darmo.

Wrócił do domu i długo nad tem myślał. Do Betanji niedaleko. Drogę pamięta jeszcze, choć nie odbywał jej tyle lat! Zresztą możnaby tego uzdrawiacza przydybać kiedy w samem mieście. A gdyby spróbować? Nie żąda wynagrodzenia, nie żąda nic, czemu nie spróbować?

Ale nie, to niemożliwe! On musi czegoś żądać.

I mąż ów istotnie żądał czegoś. Eliakim dowiedział się przy źródle od jakiegoś żebraka, że żąda — aby weń uwierzono. Starzec nie mógł tego zrozumieć. Uwierzyć weń? Niech tylko uzdrowi, Eliakim będzie wtedy w niego wierzył, ach, jak będzie wierzył! Będzie wszystkim rozpowiadał o nim, będzie go sławił...

Nazajutrz dowiedział się z niepomierne zdumieniem, że mąż ten nie jest jakimś pokątnym uzdrowiaczem, albo kryjącym się przed okiem władzy cudotwórcą, ale rabbim. Rabbim? To zaiste coś niezwykłego. Rabbim? Nauczycielem? Wykładaczem Pisma? I zarazem cudownym lekarzem?

Zastanowił się raz jeszcze nad metodą „wkładania rąk“. Podobno używać tego mieli egipscy lekarze. Lecz jakież było zdumienie Eliakima, gdy się dowiedział, że ów niezwykły rabbi niekiedy nie dotknie nawet cierpiącego, jeno błękitne oczy wzniesie ku niebu i porusza wargami.

Co to jest? Co to być może?

Myśl o tym dziwnym człowieku nie opuszczała go teraz. W nocy nie mógł zasnąć. To też był jednym z pierwszych, którzy wtedy posłyszeli w okolicy bramy Gnojeńczej niezwykły gwar i hałas.

Począł nasłuchiwać. Rozeznał odrazu, że straż kapłańska kogoś prowadzi. Skrzywił się niechętnie i znowu próbował zasnąć. Ale wrzawa wzmagająca się i doszła w końcu do niebywałych rozmiarów. Starzec siadł na łożu, a wprawne jego ucho roz-

różniało wszystko, co się w uliczkach działo. Zbliżają się do jego domku. Ale kto się zbliża? Jeszcze nie straż. To tłum, tłum bardzo liczny, zbiegowisko. Kogo oni tam prowadzą, że tłum tak hałaśliwie się zachowuje?

Śród wąskiej uliczki usłyszał następujące okrzyki, którym wtórowały wybuchy śmiechu:

— Patrzcie, wielki mówca idzie!

— Pogromca uczonych i kapłanów!

— Ten, który spojrzeniami rozpędza ludzi!

— Rebe, to ty jesteś? A poświećcie pochodniami, bo go poznać nie można!

— Co tobie, rebe? Skąd te sińce? Tyś chory? Czemu nie uzdrowisz siebie samego?

Eliakim drgnął. Dzika wrzawa między ścianami domów rosła ustawicznie.

— Uważajcie, idzie najmądrszy człowiek w całym kraju!

— Trzymajcie go mocno, bo gdy spojrzy na sznury, to pękną!

— Rebe, uzdrów mnie, mam kolkę w boku! Przodem zaś rozlegało się:

— Uważajcie! Wiodą kogoś na rozprawę z Synhedrionem!

— Proroka wiodą!

— Proroka z Galilei!

— Pierwszego proroka z Galilei!

— Nie udają się w Galilei prorocy!

Eliakim począł gorączkowo szukać kija, a zna-

lazłszy go, dźwignął się z łoża i ruszył do przed-
sionka. Nogi pod nim drżały. Sunął jak duch, do-
tykając ściany lewą ręką, a prawą wyciągając kij
przed siebie. Stanął wreszcie u drzwi, odsunął za-
porę i przestąpił próg. Wrzawa ogłuszyła go. Za-
dławił się chmurą kurzu, począł kaszleć i spluwać,
a tymczasem tłum się oddalił.

Eliakim próbował krzyknąć za odchodzącymi,
ale nikt wołania jego nie słyszał. Po chwili wszystko
dokoła ucichło, a wrzawa rozlegała się w głębi
miasta.

Eliakim siadł w progu i nasłuchiwał. Ręce
i nogi drżały mu jak w zimnicy. Po głowie latały
różne myśli. Teraz dopiero jął sobie przypominać,
o czem poprzednich dni słyszał, ale na co najmniej-
szej uwagi nie zwrócił, jak wogóle na wszystko,
co nie wiązało się bezpośrednio z jego kalectwem.
W świątyni jakiś młody rabbi toczył spory z ka-
płanami. Rabbi? Ależ on cudowny lekarz miał być
także rabbim? A może to ten?

Nagle Eliakim zerwał się na równe nogi. To
na pewno on! Leczy biednych, uzdrowia nieszczę-
śliwych i nic w zamian nie żąda, prócz wiary.
Czemu oni takiego człowieka więżą? Czemu pro-
wadzą na rozprawę z Synhedrionem? I to teraz
właśnie, kiedy Eliakim zamierzał wybrać się do
niego. To jest ostatnie głupstwo!

Eliakim utopił drżącą rękę w siwej, rozwianej
brodzie i począł szybko kombinować. Po chwili

wstał, drzwi od wewnątrz zasunął na rygiel i przez ogród wy dostał się na uliczkę. Nagle jednak zawrócił do domu, dowłókł się do łoża, sięgnął z ukrycia worek skórzany i schował go w bezpieczniejszym miejscu. Dopiero teraz podążył w głąb miasta.

Gdzieś w dali huczała odległa wrzawa, a wprawne ucho Eliakima rozpoznało, że to na górnym mieście i prawdopodobnie przed domem arcykapłana. Niewyspany i znużony starzec ruszył w tamtą stronę. Niebawem pot wystąpił mu na czoło. Dyszał ciężko, tchu poczynało mu w piersi brakować, ale nie ustawał.

W uliczkach było pusto. Tylko tu i owdzie ludzie wychodzili na dachy i coś między sobą mówili. Kilka razy Eliakim zamierzał ich zagabnąć, ale nie uczynił tego. Jedni nie będą chcieli z nim gadać, inni nie będą umieli go objaśnić. Szkoda czasu.

Zbliżał się coraz bardziej do onego gwaru. Jakaś moc wstąpiła w niego i począł iść szybciej. Pot lał się ciurkiem z jego czoła, spływał na policzki i kapał z brody. Eliakim drżał na całym ciele.

Wtem na skrócie uliczki buchnął w niego gwar, wrzawa. Aha, to tu. Ale wtem zbladł, przystanął i z ogromnym lękiem cofnął się ku ścianie. Posłyszał świst kamieni. Nakrył głowę szatą. Kamieniują go, pomyślał. Pospółstwo z dalszych szeregów rzuca kamieniami tak nieostrożnie, może Eliakima trafić... Ale wnet uspokoił się, gdyż przekonał się ostatecznie,

że nie rzucono kamieniami, tylko błotem i że obecnie słyhać tylko niepomierną wrzawę.

Widocznie uwięziony znów musiał znajdować się w tłumie, bo zbiegowisko ryczało:

— Uważajcie, już nawrócił Annasza!

— Rebe, mów, czy Annasz pokłonił się tobie?

— Czy teraz idziesz nawracać Kajafasa?

— Kajafas ustąpi ci miejsca, a czapkę rogatą zdjąwszy, włoży na twoją głowę!

— Syn cieśli będzie najwyższym kapłanem!

— Ustępujcie mu z drogi! Kroczy mędrszy od Salomona, na którym nie poznaliśmy się!

Cizba ruszyła, Eliakim gonił ją, ale nie mógł nadążyć. Na nowem skrzyżowaniu się ulic tłumy stanęły, a natomiast rozległy się nowe wrzaski:

— Fałszywego proroka prowadzą!

— Sądźcie fałszywego proroka!

— Który się wynosi nad proroki i Pismo!

— Który lud podburza!

Eliakima ogarnęła wściekłość. Wiedział doskonale, kto i kiedy ludność Jeruzalaïm podburzyć może. Wszak on sam był niegdyś używany do takich robót i dobrze mu za nie płacono. Kiedy Synhedrion popadł w zatarg z tetrarchą, jak się Eliakim uwijał! Hej, hej! Motłoch jest jak lampka olejna, która pochyla płomień w stronę dmuchnięcia możliwych i uczonych. Ale jeśli dmuchnie kto inny, płomyk ani drgnie. Wszędzie, wszędzie, tylko nie w Jeruzalaïm! Może jeszcze podczas świąt, gdy

napływają tłumy z odległych okolic, ale nie w warunkach zwyczajnych, gdzie od Synhedrionu przez wszystkich mieszkańców przeciągnięty sznurek zależności, i gdy ktokolwiek z Rady siedmdziesięciu pociągnie, wszyscy mieszkańcy chylą się jak jeden mąż... Ci, co tam krzyczą, są głupi! Jego pytać, Eliakima! Ileż on zebrał staterów za ono przewlekanie sznurka przez obywateli...

W tej chwili ogarnęła starego skąpca trwoga, czy aby istotnie dobrze ukrył w domu worek. Była chwila, że chciał znowu zawrócić, ale uspokoił się. Wrzawa to przycichała, to rosła. Eliakim wmieszał się w tłum, począł się rozpytywać i niebawem dowiedział się, że istotnie na rozkaz kapłanów pojmano owego rebege, że w domu Kajafasa odbywa się nadzwyczajne posiedzenie członków Synhedrionu i że prawdopodobnie wywiodą podsądnego na górę Trupich Czaszek.

Tymczasem na niebie poczynało świtać. Blask wschodzącego dnia zgromadził w ulicach nowe tłumy, w które wmieszały się niebawem różne wybitne osobistości. Otoczyły ich natychmiast gromady ciekawych.

Głoszono o niesłychanem zuchwalstwie rebege, o jego bluźnierstwach i wywyższaniu się. Pospólstwo rzadko kiedy miało sposobność zetknięcia się z takimi znakomitościami. Wytworzyło to specjalny nastrój, a mówcy zyskiwali w tej chwili największą popularność. Tłum przejmował się ich

wywodami i gotów był uczynić wszystko, czego by od niego zażądano.

— Cały Synhedrion ciągnie dziś za sznur, pomyślał Eliakim. Co ten rabbi sobie narobił!

Starzec był rozgorączkowany. Niestety, nikt nie chciał mu udzielić wyczerpujących objaśnień, bo wszyscy garnęli się dokoła mówców. A gdy starzec począł być natarczywym, krzyknął ktoś:

— Widzicie ślepcą! Rebe go uzdrowi!

Powstał śmiech. Inni poczęli wołać:

— Poprowadźcie go do przedsionka, niech rebe spróbuje na nim swej siły!

— Własnymi oczami ujrzymy cud!

— A nuże, ślepcze! Staniesz się sławnym jak ten, którego plecy w tej chwili krwią ociekają!

Eliakim uląkł się ogromnie. Tłum począł go popychać i dawać mu szturchańce. Wtem ciżba jakby na dany znak umilkła i rozległ się poważny głos:

— Dajcie spokój biednemu kalece. Dość mamy do roboty z niepoczcivcami, którzy nam spokój nocny zakłócili.

Eliakim odetchnął, zwrócił się w stronę, skąd płynął ów głos poważny, wznosił ręce i począł drżącym a podniesionym głosem wymawiać błogosławieństwo.

Wtem u progu pałacu zawrzało. Tłum jął wrzeszczeć przeraźliwie. Eliakim wysunął się czempredziej ze zbiegowiska w pustą boczną uliczkę.

Przystanął i nasłuchiwał. W uliczce panowała

cisza. Posłyszał za sobą cichy męzki płacz. Uderzyło go to.

Płacz pochodził z piersi jakiegoś starca, który leżał czy klęczał u muru i łkał. A w łkaniu jego było tyle żalu, bólu, rozpaczony, że Eliakim jeszcze się bardziej zaciekał.

Zbliżył się tedy do łkającego i przemówił do niego. Ale ten długo nie mógł słowa wydobyć z siebie. Wtedy Eliakim szepnął:

— Ty może jesteś jego uczniem?

Zapytany łkał wciąż. Eliakim jął wzdychać.

— Czy ten rebe był doprawdy tak miłosierny, jak powiadają?

I pytał znowu po chwili:

— Czy on przez wkładanie rąk uzdrawiał naprawdę?

— Czy uzdrawiał! — jęknął łkający.

Eliakim pochylił się nad nim i szeptał coraz natarczywiej:

— Więc uzdrawiał?... Chrome i kalekie uzdrawiał?... Ślepe uzdrawiał także?... Na pewno?... I takich, którzy od wielu, wielu lat utracili światło dnia?... Czy i takie?

— On uzdrawiał dusze, nietylko ciała — krzyknął z rozpaczą ów człowiek.

— Ja się ciebie nie pytam, czy dusze uzdrawiał, tylko czy niewidome uzdrawiał. Ty mi odpowiadaj na to, o co się ciebie pytam... Bo widzisz, ja niewidomy... ślepy... od wielu lat ślepy... Ja

uwierzę w niego... niech mi tylko zdejmie bielma z oczu... I żadnej nagrody nie żąda?... Na pewno żadnej?

Wtem wrzawa poczęła się zbliżać do miejsca, w którym się znajdowali. Ów łkający mąż jął się szybko oddalać i jakby ze strachem.

Eliakim stanął przy murze. Zbiegowisko ruszyło w stronę pałacu namiestnika.

Słońce tymczasem wypłynęło nad dachy domów i poczęło przygrzewać. Z wszystkich stron napływały tłumy, dążąc w stronę, w którą prawdopodobnie poprowadzono rebego. Eliakim skręcał z uliczki w uliczkę, podchodził do zbiegowiska z różnych stron i cofał się w obawie, aby go ruchliwy i nieuważny motłoch nie porwał, nie przewrócił i nie stratował.

Przed pałacem namiestnikowskim rozlegała się taka wrzawa, że Eliakim nie był w stanie nic zrozumieć. Doskwierał mu głód, paliło go pragnienie. Lecz uczył, że losy jego splotły się teraz z losami pojmanego. Oni go nie mogą stracić, muszą go wypuścić! A jeżeli to niemożliwe, to musi być możliwym co innego. Eliakim winien w jakiś sposób dotrzeć do więźnia. Ale w jaki sposób? To inna rzecz. Przecież rebego odrazu nie wyprowadzą za miasto i nie zamęczą. Odstawią go najpierw do więzienia, potem rozpocznie się sąd namiestnikowski. Można by przekupić strażę. To nie powinno kosztować wiele... Lecz prawdopodobnie strzec go będą legioniści, a to

niedobrzy, nieużyty ludzie. Przekupić ich trudno. Ale ostatecznie przekupić trzeba.

Łamał sobie głowę ślepiec, a tymczasem zbiegowisko rosło, wrzało, jak gdyby burza zawisła nad miastem i wszystkie swoje grzmoty w jeden nieustający huk złączyła.



Delegacja Synhedrionu zbliżała się do ratusza. Na dużym placu przed gmachem municypalnym zaroilo się od pospólstwa. Żołnierze stojący na straży dali hasło, a wnet z przedsionka wybiegł oddział z włóczniami i mieczami. Delegacja chciała wstąpić na schody, ale żołnierze zatarasowali przejście włóczniami.

Oburzeni starcy jęli gwałtownie domagać się wpuszczenia, a tłum wył i przyjmował groźną postawę. Żołnierze jednak z flegmą starych legionistów stali w rzędzie, nie zważając na miotanie się starców i na wrzaski pospólstwa.

Niebawem zjawił się dziesiętnik, oznajmiając, iż namiestnik kazał delegacyi czekać.

Traktował ich pogardliwie; czuli to, ale zbyt byli roznamiętnieni, aby teraz myśleć o swej godności. Stali tedy przed schodami, dając oznaki najwyższego zniecierpliwienia.

Nareszcie pojawił się setnik, kazał żołnierzom nieco się rozstąpić i przepuścić delegację wraz z poj-

manym. Zaledwie jednak przeszli, szereg znowu się zamknął, odpędzając pacholków, którzy rebeego wiedli. Delegatom kazano wejść do izby w głębi, a rebeego usadowiono na kamiennej ławie przy ścianie.

Posłuchanie u namiestnika nie trwało długo. Niebawem bowiem on sam ukazał się w otwartych drzwiach, sunąc na czele delegacyi.

Była to typowa rzymska postać o twarzy wygolonej, krótkiej, o nosie pięknie w łuk zarysowanym. Przybrany w togę perłową i wieniec z liści pomarańczowych, odbijał wyniosłą postawą od schyłonych i pokurczonych starców. Na twarzy jego igrał uśmiech dumy, ironii i lekkiego traktowania. Stawiono przed nim rebeego. Obrzucił go bystrem spojrzeniem, a spostrzegłszy ślady uderzeń i znękanie na obliczu, skrzywił się i szepnął:

— Barbari...

Następnie popatrzył gniewnie po tłumach i rzekł do setnika:

— Cóż ta hołota tu robi?

Lecz w tej chwili pospólstwo podniosło niesłychany wrzask:

— Rebeego ukarać, rebeego ukarać, ukarać!

Namiestnik był niekontent. Zwrócił się do więźnia i rzekł łagodnym głosem:

— Coś uczynił, iż lud twój tak występuje przeciw tobie?

Rebe milczał.

Zastanowiło to wytrawnego patrycyusza. Więc

baczniej mu się przyjrzał i rzekł jeszcze łagodniej:

— Nie chcesz się bronić?

Ale i tym razem rebe nie odparł ani słowa. Namiestnik uśmiechnął się. W oku błysnęła mu złośliwość.

— Podobno podajesz się za króla żydowskiego? — zapytał ironicznie.

Wtedy rebe przechylił nieco głowę w tył i odrzekł:

— Tyś powiedział!

Wysunęli się natychmiast delegaci, trzęsąc wskazującymi palcami i wołając:

— On tak ciągle odpowiada! To wykręty, to dwuznaczność! Żali nie wierzysz, panie, członkom Synhedrionu? On podburzał lud, podawał się za króla, obraził cesarza, którego namiestnikiem jesteś!

Wielkorządca zmarszczył brwi, spojrział na nich groźnie i postąpił krok naprzód. Cofnęli się tedy ku ścianie, on zaś obrócił się znowu do rebego i przemówił niezmiernie łagodnie:

— Wyjaśnij. Niech wiem, czy mam wierzyć tym brodaczo, czy nie?

Wtedy rebe jął mówić głosem suchym, urywanym:

— Gdybym podburzał lud, to tłumy tamte, które w tej chwili na mnie powstają, wznosiłyby okrzyki na cześć moją... Gdybym był królem, to straż moja rozciąłaby te więzy i na ciebie z orężem

ruszyła... Królestwo moje nie jest z tej ziemi...
Wyszedłem z prawdy i do prawdy dążę..

Gdy to mówił, twarz namiestnika uśmiechała się ironicznie, potem oczy zaszyły mgłą, wreszcie niesmak zarysował się na obliczu. Pomilczał chwilę, ruszył ramionami i obrócił się do delegatów:

— Ja w nim żadnej winy nie znajduję.

Powstała wrzawa. Delegaci poczuli mówić jeden przez drugiego. Pospólstwo wydawało nieludzkie ryki, wznosząc ramiona i potrząsając rękami.

— Ukarać rebego, ukarać rebego! — domagano się ze wszystkich stron.

Wtedy namiestnik podniósł głowę, a gdy się nieco uciszono, zawołał:

— Ja go tedy ukarzę!

Skinął na żołnierzy. Ci powiedli rebego do izbicy po lewej, skąd niebawem zaczęły dobiegać uderzenia chłosty. Namiestnik kazał delegatom odejść a sam ruszył w głąb gmachu. Ale delegaci pobiegli za nim, żądając wyraźniejszej decyzji. To rozgniewało namiestnika. Skinął na straż i kazał ich strącić ze schodów. Następnie ruszył wolnym krokiem i zniknął za drzwiami.

Tłum patrząc na strącanie starców ze schodów, przyjął tak groźną postawę, że oddział musiał pochylić włócznie. Starcy znalazłszy się wśród tłumu, wytrząsali rękami, grożąc skargą do Rzymu. Pospólstwo miało urągliwe słowa na oddział legionistów.

Tymczasem pojawił się namiestnik znowu, wiodąc za rękę rebego. Tego zaś trudno było poznać. Na głowie miał wieniec uwity z cierni, z pod których sączyła się krew. Przyodziano go w szatę szkarłatną a w związane ręce wetknięto pręt pal-mowy.

Zdumiony tłum umilkł na chwilę, a namiestnik wskazując na rebego, rzekł z dziwnym uśmiechem:

— Oto istota ludzka!

W głosie i w uśmiechu tkwiła cała pogarda dla tego ludu brodaczy, którego zaciekłości nie mógł zrozumieć.

Zaledwie jednak wymówił te słowa, kiedy zerwała się dzika wrzawa, podobna do ryku szalejącej burzy. Delegaci w dole wymachiwali rękami, wołając:

— Kara główna, kara główna!

Namiestnik nie zważając na te wrzaski, kazał żołnierzom rozwiązać rebego. Ale wtedy wrzask doszedł do granic ostatecznych. Delegaci krzyczeli:

— Wypuszczasz tego, który się mienił królem żydowskim!

— Tego, który dopuścił się obrazy majestatu!

— Tego, który uczynił zamach na władzę cesarską!

— Jeżeli cesarz się dowie, będzie ci wdzięczny!

— Strzeż się, bo cesarz ma takich, którzy mu doniosą, jak go bronisz!

Tłum począł nacierać na gmach. Straż nie mogła

tylcami włóczyli powstrzymać naporu ludu. Namiestnik kazał tedy rebego związać na nowo. Skinął ręką, aby się uciszono i zawołał donośnie:

— Na każde święta udzielam amnestyi dla jednego skazańca. W więzieniu czeka zasądzony na krzyż Barabasza. Którego wam wypuścić? Mężobójcę Barabasza, czy tego człowieka?

I wskazał ręką na zalanego krwią rebego.

Ale burza wrzawy ludzkiej zahuczała:

— Wypuść mężobójcę Barabasza, a tego — ukrzyżuj!

— On gorszy od mężobójcy!

— Podburza lud przeciw głowom narodu!

— Śmierć mu, śmierć! Ukrzyżuj go!

Dla rebego nie było ratunku.

Dano znak. Przed gmach ratuszowy przymaszerowała rota żołnierzy. Krzyk tryumfalny odbił się o ściany domów. Pospólstwo wyło z radości, wybuchało szaleńcem, wytrząsając rękami.

Tymczasem słońce minęło szczyt południowy i poczęło odbywać drugą część swej dziennej drogi. Żołnierze sprowadzili rebego na plac, zwlekli z niego suknię szkarłatną i przyodziali w jego własne szaty. Następnie rozwiązali mu ręce, a na barki włożyli słup z nabitą poprzecznicą.

Rebe pochylił się pod brzemieniem, minął dwie ulice i padł na kolana.

Wtedy wyskoczyła z tłumu jakaś niewiasta i otarła mu chustą twarz. On spojrział na nią wiel-

kiemi, żalosnymi oczami. Żołnierze podnieśli go i prowadzili dalej. Postępował w ten sposób w pośrodku roty, wodzony, bity i popychany. Niebawem upadł pod brzemieniem krzyża po raz drugi. Wtedy żołnierze wzięli z tłumu rosłego mężczyznę i kazali mu nieść słup, rebemu zaś na nowo ręce związali.

W tej chwili dogonił ich inny oddział, który wiódł dwóch złoczyńców na stracenie. Obaj krzepcy i niepoturbowani, dźwigali lekko słupy, na których mieli niebawem zawisnąć. Tłum nie zwracał na nich uwagi, kupiąc się w pobliżu rebego i miotając na niego błotem, obelgami i klątwami.

— Idzie król żydowski i niosą za nim tron jego!

— Pójdźcie popatrzeć, jak na tym tronie zasiądzie!

— Rebe, zmądrzałeś już trochę?

— A jakże ci jest teraz, co?

— Rebe, garbus idzie, ulecz go!

— O, ten, ten! podprowadzić go do rebego!

— Ulecz go, rebel!

W pobliżu bramy stała gromadka niewiast, które rzuciły się z płaczem ku rebemu. Straż powstrzymała je włóczniami. Rebe powiódł dokoła znękanymi oczami, opuścił głowę na piersi i postępował dalej.

Gdy wydostali się za bramę, zaświeciło im oślepiające słońce prosto w oczy. W dali po lewej ręce złościła się w blaskach słonecznych ławica piaskowa. Pochód skierował się w tamtą stronę.

Zbiegowisko ludu było ogromne. Dzieci, starcy, mężowie, kobiety — prawie całe miasto wyległo za mury, aby patrzeć na widowisko, które podsycalo ich dzikie instynkty.

Pochód zatrzymał się. Żołnierze utworzyli dookoła skazanych czworobok. Złożono krzyże na piasku. Tłum otoczył oddział, patrząc przez plecy żołnierzy na każdy szczegół tracenia.

Podano skazańcom odurzający napój. Rebe dotknął czary ustami, ale natychmiast ze wstrętem twarz odwrócił. Rozwiązano mu ręce i zwleczono z niego szaty.

Następnie rozciągnięto go na belce. Żołnierze, przeznaczeni do wykonania wyroku, przyłożyli ręce jego do poprzecznicy, obracając dłońmi na wierzch. Wysypano z chusty wielkie gwoździe a równocześnie trzech przysiadło z młotkami pogładając, czy nogi i ręce dotykają środka drzewa.

I rozpoczęła się nieludzka egzekucya. Za pierwszym uderzeniem trysnęły strugi krwi. Młotki biły po gwoździach a żelazne ostrza grzęzły w ciele, przedostając się do belki. Na chwilę zapanowała cisza, wśród której słychać było wyrzucanie ziemi z trzech dołów.

Twarz rebego wyrażała ogromne cierpienie, ale i niepospolitą siłę woli. Z zaciętych ust nie wydobył się ani jeden jęk. Leżąc na belce w męczarni, topił gdzieś w błękitach oczy na pół z bólu przytomne.

Żołnierze chwycili krzyż i podciągnęli go do dołu. Potem podsadziwszy barki, jęli go stawiać. Ciało rebege owisło, ramiona się wyprężyły a nogi skrzywiły się nieco w kolanach. Osunięto słup do dołu. Uderzenie o dno było tak silne, że całe ciało wstrząsnęło się a kurcz skrzywił usta ukrzyżowanego.

W tej chwili powstała w tłumie niesłychana wrzawa. Rozległy się okrzyki, wycia, śmiechy. Żołnierze nie mogli powstrzymać natłoku gawiedzi.

Kopacze zasypypali tymczasem dół i tratowali ziemię nogami, aby się krzyż nie pochylił. Równocześnie po obu stronach zawiśli skępowani powrozami złoczyńcy, których ramiona, przełożone przez poprzecznicę, naprężały się i wyginały.

Wtedy czworobok żołnierzy odemknął się. Egzekucya była skończona. Tłum przypadł do środkowego krzyża. I o dziwo! Na czele motłochu miejskiego, na czele ciemnego spólstwa, na czele zbiegowiska złożonego z najbardziej podejrzanych włóczęgów wiadać było członków Synhedrionu, najślawniejszych uczonych, siwowłosych kapłanów, najwybitniejszych magnatów, którzy ze zwierzęcą radością i okropnem szyderstwem cisnęli się pod krzyż rebege i wykrzywając się po szatańsku, podnosili ku niemu twarze, potrzęsali pogardliwie brodami, wołając zaciekle:

- Dostaliśmy cię i oto wisisz!
- Rusz-że się teraz!

- Uragaj nam!
- Rozważaj teraz naukę swoją!
- Rozważaj każde słowo, które na nas mionąłeś.

I plwając mu w twarz, wołali:

- Tfy, dumny prochu wywiany z pospólstwa!
- Przeciw komu podnosiłeś głos w świątyni?
- Jawnogrzesznicy broniłeś?
- Cuda czyniłeś, oszucicie ludu?
- Kruki i sępy będą dziobały ciało twoje!
- Będziesz wył jak pies!
- Cierpisz? Wywracasz w niebo oczy?
- Będziesz się męczył do wieczora!
- Przez całą noc!
- Przez następny dzień!
- Będziesz konał siedm razy!
- Tfy, zuchwała żmijo, któraś wpełzła w nasz dom i jadem zatruwałaś lud!

Krótki okrzyk wydarł się z piersi męczzonego.

Powitano go wybuchem wrzawy.

- Mieszjach, Mieszjach!
- Wygłoś naukę z krzyża!
- Słuchamy cię! Patrz, ilu nas jest!
- Ty, królu żydowski!
- Ty, Synu Boży!
- Zstąp teraz z krzyża! Stoimy, czekamy!
- Twoi słuchacze z świątyni zebrali się a żadnego nie brak!
- Widzisz, jak to słodko być prorokiem!

— Kłaniamy się tobie, rzeczniku maluczkich,
przyjmij nasz hołd!

Nagle męczony uniósł głowę i wielkimi oczami
rozejrzał się po przestworach niebieskich.

— Patrzcie, szuka miejsca w niebie!

— Adeszem ustąpi mu tronu!

— Widzisz, prawda twoja nie przychodzi, by
wyciągnąć gwoździe i odczepić ci ręce!

— Giń, lekarzu cudowny!

— Męcz się, uzdrawiaczu!

— Patrz, co się stało z wiarą w ciebie!

— Wiś teraz, któryś się nad nas wywyższał!

Czas mijał. Oni zaś napawali się zemstą. Gdy
nieco głowę ku ziemi pochylił, zabiegali, aby ich
widział, aby oprócz męczarni ciała był jeszcze drę-
czony szyderstwem, drwinami i urąganiem. Pospół-
stwo wtórowało ich okrzykom. On zaś unosił głowę
w górę, wcisnął ją między belkę a lewe ramię, nie
chcąc patrzeć ku ziemi.

Tłum rozsypał się po całym wzgórzu. Nagle
powstał w południowej stronie hałas. Przez zbiego-
wisko przeciskał się jakiś starzec. Ustępowano mu
z drogi. Sunął ze wzniesionymi rękami, z przechy-
loną w tył głową i rozwianą brodą.

Magnaci i duchowni, uderzeni niezwykłym wi-
dokiem, cofnęli się od krzyża. Starzec zaś pomacał
drzewo, nogi męczzonego i wznosząc ręce, wołał jak
dziecko:

— On może jeszcze żyje... może żyje!

— Żyje! — zawrzały dokoła śmiechy i wycia.
Wtedy starzec począł drżeć i wołać błagalnie:
— Rebe... Ja ślepy... Ty mnie uzdrowisz...
Ty jeszcze zdążysz mnie uzdrowić... Ja chcę przej-
rzeć!... Ty możesz to uczynić!...

Nagle nastąpiła cisza. Starzec mówił coraz błą-
galniej:

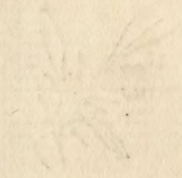
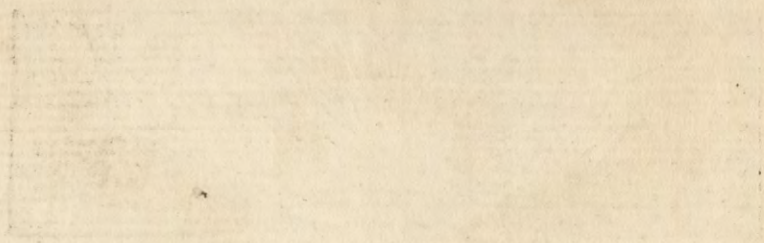
— Rebe... Raz na mnie spojrzysz!... Powiadają,
że to wystarczy... Ja tyle lat nie widziałem świa-
tła... Rebe, miłosierny rebe!...

Wtem twarz umęczonego powlokła się sinością,
oczy stały się szkliste a zrana krwią głowa opadła
bezwładnie na piersi.

Legenda mówi, że było to jedyne błaganie,
którego miłosierny rebe nie wysłuchał.







[Faint, illegible vertical text or markings, possibly bleed-through from the reverse side.]



SKOWRONEK.



pól ryżowych wyfrunęła szara ptaszyna i ćwierkając niekiedy, bujała w powietrzu blisko ziemi, wznosząc się i opadając naprzemian. Skrzydełka jej drżały, wzbudzając fale w przejrzystym przestworze. Słońce jaśniało na niebie, minąwszy wyżynę południa. Błękit był czysty, bez chmurki, bez jednej plamki mgły. W dole rozchodziły się wonie. Ptaszana zatoczyła kilka kręgow, milkła, ćwierkała i znowu milkła. Duszno jej było jeszcze przy ziemi.

Kilkakrotnie rozpostarła skrzydełka, szybując kołem. Nagle wywinęła dziób w górę i strzeliła pod niebo.

Śpiew radosny dobył się z jej piersi pierzastej. Rozległo się urywane dzwonienie. Ale jeszcze głos jej nie zabrzmiał całą pełnią. Znowu zawisła w powietrzu na rozpostartych skrzydełkach i przymilkła.

Cisza była dokoła; głosy ziemi ginęły w dole. Nagle ptaszyna poczęła trzepotać skrzydełkami i unosić się po linii prostej do góry. Wtedy z piersi jej dobył się śpiew, któremu równego niema natura.

Śpiew ten rósł w miarę tego, jak się ptaszyna wzbijała nad ziemię. A już z dołu najłżejszy szmer nie dochodził, w górze zaś były same błękity.

Ptaszyna znowu rozpostarła skrzydełka, zawisła w powietrzu i przymilkła. Słońce gorzało na niebie jak ogromna plama światłości, rozlewającej się na modrość sklepienia i roztapiającej go swym żarem.

Ptaszyna poczęła znowu bić skrzydełkami w powietrze i wzbijać się prostopadle w górę. Z piersi jej dobywało się zawodzenie, śpiew, zachwyt, uniesienie. Dla oczu ziemian znikła już zupełnie i ludzie słyszeli tylko ów dziwny, piękny, tajemniczy i tak za serce chwytający hymn tuż pod sklepieniem niebios.

Teraz ptaszyna była u szczytu swego wzlotu. Uniosła dziób w górę, rozpostarła skrzydełka i patrząc w niebo, dzwoniła swym głosikiem pieśń przestworom i Temu, który je nakrył błękitami, a po tych błękitach przesuwają słońce, księżyc i gwiazdy. Dzwoniło ptaszę pieśń tryumfalną, śpiewało

natchnione, zachwycone, drżące z uniesienia. Raz jeszcze spróbowało wzbic się wyżej, aby zanucić głośniej i resztę duszy w śpiew ten włożyć.

Ale na jej źrenice padła mgła omdlenia. Zaczynało brakować jej oddechu. Jeszcze ptaszę dzwoniło jak milknący srebrny dzwoneczek.

Cisza ogromna panowała w górze i w dole. Nagle ptaszyna umilkła i poczęła się słaniać ku ziemi. Ogarnęła ją trwoga, bo na brzegu płomiennej tarczy słońca ukazała się czarna plama.

Ptaszyna zachwiała się, zatrzepotała skrzydełkami, już nie mogła się utrzymać na wysokościach.

Tymczasem przez powietrze poczęły padać smugi pomarańczowe, potem niebieskawe, wreszcie fioletowe. Ptaszyna obróciła raz jeszcze spojrzenie na słońce. Owa czarna plama znacznie urosła i pokrywała już dużą część tarczy świetlnej, która poczęła rudzieć. Jękliwe ćwierkanie dobyło się z piersi ptaszyny, zaczęła opadać ku ziemi jak rzucony w głąb powietrzną kamień. Owiał ją wir, orzeźwił nieco; roztoczyła skrzydełka i zatrzymała się na czas jakiś, zataczając kręgi.

Znowu spojrzała ku słońcu. Ogarnął ją lęk i poczęła drżeć. Albowiem czarna plama rozszerzyła się i po chwili, niby czarny krążek, pokryła całe słońce; tylko grzywa promieni krwawo dygotała około tego czarnego krążka.

Ptaszyna straciła siłę w skrzydełkach, opadała ku ziemi w milczeniu, półprzytomna, drżąca, spot-

niała. I spadała długo, długo, aż uderzywszy o gęstsze fale powietrza, które wznosiły się nad ziemią, oparła się o nie skrzydełkami i sposobila się do zlotu w dół.

Obróciła tedy oczy ku ziemi i patrzyła między wzgórze, doliny, drzewa i strumienie.

Wtedy przedstawił się jej dziwny widok.

Pod nią widniała w ciemnościach łysa góra, na której roilo się mrowie ludzkie. Niesłychana wrzawa biła w górę. Ptaszyna lękała się sfrunąć tam, aby kto na nią kamieniem nie rzucił i nie pojmał. Ale nagle rojowisko to poczęło się ruszać i zbiegać z góry. Wnet też już tylko kilka ludzkich punkcików widniało w dole.

Ptaszyna sfrunęła niżej i znowu spojrziała.

Wtedy oczom jej przedstawił się widok następujący:

Na szczycie łysej góry były rozpięte na bielejących słupach trzy ludzkie postacie. U stóp środkowego klęczało kilka niewiast, dwóch mężów i stał wojownik z włócznią. Zapatrzeni byli całkiem w postać wiszącą w pośrodku.

Ptaszyna sfrunęła jeszcze niżej i popatrzyła znowu.

Człowiek rozpięty na środkowym słupie wznosił twarz w górę. Twarz ta była blada, pokryta polyskliwym potem i kroplami krwi, które ściekały przez oczy; rozchyliła posiniałe usta; na czole widniał cierniowy wieniec, którego kolce wpijały się

głęboko, raniąc i krwawiąc głowę umęczoną. Twarz ta skierowała w niebo tak rozdzierające spojrzenie, że ptaszyna zadrżała i poczęła opadać niżej.

Chwiała się już bliziotko nad głową męczonogo. Uczuwała strach, ból, żal; serce jej biło gwałtownie. Ujrzała włócznie żołnierza i chciała już w dal odfrunąć. Ale w tej chwili spojrzenie jej padło znowu na tę twarz tak okropnie udręczoną. Więc poczęła żałośnie kwilić, zatrzepotała skrzydełkami, zawisła nad głową cierniem kaleczoną i schyliwszy dziób do czoła zalanego krwią, poczęła wrywać kolce, obskubywać ciernie i upuszczać je na ziemię, z ostatnią zaś gałązką w szponach wzbiła się nieco w górę, kwiląc żałośnie.

W tej chwili owa czarna plama poczęła zsuwać się z tarczy słonecznej i jasność powracała na przestwory. Ptaszyna wyfrunęła w górę, wzbijając się wyżej i wyżej. Nie obracała już oczu ku ziemi, ale bijąc skrzydełkami o fale powietrza, głosiła niebiosom jakąś skargę, jakieś oburzenie, jakiś nieutulony żal, niosąc im wiadomość tego, co się na ziemi działo.

Śpiew ptaszyny rósł i rozlegał się coraz wyżej. Już zaczynała niknąć dla oczu ziemian. Śpiew jej był tak przejmujący, że mimo odległości ludzie ze zdziwieniem oczy w górę unosili, a kiedy ptaszyna całkiem znikła, jeszcze patrzyli, słuchali i podziwiali.

Ptaszyna wzbijała się wyżej i wyżej. W szpo-

nach trzymała ostatnią gałązkę wieńca cierniowego, śpiewając żałośnie.

I rozeszła się legenda między ludźmi, że ptaszyna ta wzbiwszy się z oną gałązką cierniową w niebo, już nie wróciła na ziemię.







U GROBU.



o świtania było niedaleko. Mrok szybko ustępował. Liście, osrebrzone grubą powłoką rosy, powisły na drzewach, a chłód stał się przejmującym.

Żołnierze strzegący grobu opierali lance o skały i przysiadłszy na ziemi, drzemali. Jednemu tylko sen powiek nie kleił. Patrzył bezmyślnie przed siebie, otrząsał się niekiedy pod wpływem zimna i głośno poziewał. Inni zapadali powoli w sen coraz głębszy, w którym albo nie śnili wcale, albo też snuły im się jakieś marzenia o wygodniejszych leżach i o dobrym posiłku.

Żołnierz czuwający spojrzał w stronę wschodu i zaczął się niecierpliwić. Począł tedy rozważać, że

wodzowie znajdują czasem nie dającą się niczem wytłumaczyć przyjemność w bezcelowem utrudzaniu podwładnych. Oto kazano drugą noc z rzędu pilnować ciała, zawalonego kamieniem w otworze skalnym, ciała, które przecież uciec nie może i cicho spoczywa w głębi skały.

Niebo na wschodzie poczęło się nieco mienić, jakby od łuny, która biła z pod widnokręgu. Szarość oblała uspięne twarze żołnierzy. Niektórzy westchnęli, podnieśli głowy, odemknęli oczy i spojrzawszy w stronę wschodu, znowu w sen zapadli. Żołnierz czuwający zaczął przebiegać myślą niektóre wieści, krążące uporczywie między tłumem, a zapowiadające, co się trzeciego dnia o świcie stanie, trzeciego dnia od chwili złożenia tych tam zwłok do grobowca wykutego w skale. Żołnierz spojrział na niebo, które z mleczno-białego stało się zielonkawo-różowem, a różowość ta zamieniała się powoli w karmin. Następnie spojrział na głąz zamykający wejście do grobu. Wewnątrz panowała cisza.

Głupi, ciemny tłum baje sam nie wie co! Głąz ten zasuwalo sześciu ludzi. Jakżeby go miał jeden umęczony człowiek, leżący drugą noc w grobie i zakrzepły w prześcieradłach, odstawić i wyjść!...

Ale niebo na wschodzie zajaśniało nagle wachlarzem bijących z dołu promieni, a równocześnie wydało się żołnierzowi, iż jakiś szmer dał się słyszeć w głębi skały. Ale wnet się uspokoił, gdyż głąz się nie ruszał, tylko coraz wyraźniej wystę-

powąła z mroku jego bryłowatość. Żołnierz odwrócił głowę, lecz, oparty o skałę, nasłuchiwał, czy nie dojdzie go po raz wtóry szmer z głębi grobu. Chłód wiał od skały i przejmował go. Przypadkiem podniósł oczy na niebo i drgnął, gdyż wschód jaśniał, jakby się miał za chwilę zająć złotym płomieniem. Lęk ogarnął żołnierza; odskoczył od skały i potoczył wzrokiem po śpiących towarzyszach. Lecz ujrzał tylko zwieszony aż na kolana głowy, podparte rękami, uśpione, spokojne. Spojrzał na grób. Kamień widniał już jak w biały dzień. Żołnierz odwrócił głowę w stronę wschodu i aż zakrył oczy przed oślepiającą jasnością. Zaczął dzwonić zębami i ogarnęły go dreszcze.

Tłum mówił, że On, On oplwany, obiczowany, cierniami pokaleczony, rozpięty na drzewie, do grobu złożony i zawalony kamieniem, żyje i żyć będzie, i że niema dość głębokiego grobu, z któregoby się nie dźwignął i dość wielkiego kamienia, aby Mu przejście zagroził. Tłum jest wprawdzie ciemny, a wodzowie mają umysły światłe. Ale czemu im kazali grobu pilnować? Żali na dnię ich światłych umysłów mroczyło się przypuszczenie, iż mogłoby się stać to, co tłum mówi? Komu wierzyć, a komu nie wierzyć, jeżeli ludzie ciemni opowiadają rzeczy nieprawdopodobne, a ludzie światli tak się zachowują, jak gdyby się zabezpieczali przeciwko zdarzeniom nieprawdopodobnym?

W tej chwili poczuł żołnierz na ręce, zakry-

wającej twarz, ciepło bijące od wschodu. Zadrżały pod nim nogi. Skoczył do towarzyszków i począł nimi potrząsać. Ale sen żołnierski nie pierzcha łatwo. Paniczny przestрах ogarnął żołnierza. Szum jakiś napęlił mu uszy, szum i dzwonienie, potem jakby grzmot głuchy, przeciągły. Nakrył głowę płaszczem, stracił pamięć. Zdawało mu się, że ziemia zadrżała, że kilka postaci przemknęło koło niego...

Nagle uczuł jakąś dłoń, która lekko dotknęła jego ramienia. Dokoła panowała cisza. Odsłonił głowę. Światło słoneczne zalewało świat i białymi promieniami wpadało w ciemny otwór grobu. Kamień był odwalony. Żołnierze leżeli dokoła w uspieniu. Jakaś jasna postać kobieca dotykała dłonią jego ramienia i nachylając ku niemu zatroskaną twarz, spytała cicho, ze łzami w głosie:

— Nie widziałeś, żołnierzu, dokąd On się oddalił?...









PRZEKLĘTY.



ęka cielesna trwała krótką chwilę. Poddał się jej dobrowolnie, bo myślał, że ona położy koniec katuszom ducha, które były o wiele straszniejsze, niż głosiły wszystkie legendy o zdrajcach. Ogarniał go wprawdzie lęk przed śmiercią i konaniem, ale było mu tak nieznośnie, tak ciężko, że zwalczył nawet ów lęk tajemniczy i z sznurem u szyi rzucił się z gałęzi drzewa figowego.

Krew zalała mu oczy. Począł się dusić i chwycić rękami po powietrzu, by znowu czepić się gałęzi. Chciał dłonią ująć sznur nad głową i podciągnąć się ku górze. Miotał się rozpaczliwie. Ale już było zapóźno. Sznur zaciskał mu szyję i tamował

oddech. Wtedy powiedział sobie, że to koniec wszystkiego.

Ale myśli szalały jeszcze w jego głowie. Szeroko rozwartemi oczami patrzył i widział przed sobą świat pogrążony w jakiejś krwawej siności. Potem świat cały poczerniał, a w myślach jego powstał zamęt. I nic już nie wiedział. Zatracił pamięć tego co jest i co było. Jak to długo trwało, nie wiedział.

Nagle zdało mu się, że leży w ogrodzie pod drzewem i śpi. Przez sen czuje, że mu głowa cięży i dzwoni w niej coś jak dwa młoty kowalskie, uderzające o kowadło. Serce bije nierówno, a zimny pot oblewa czoło. Przypomina sobie, że przed zaśnięciem popełnił jakiś czyn, który będzie straszny w następstwach, odbierze mu spokój na zawsze i ściągnie na jego głowę przekleństwo. Ogarnia go okropny lęk i czuje, że za chwilę przypomni sobie wszystko. Jakaś myśl niby sęp kołuje nad jego głową i wnet rozdzióbie jego pamięć, dobywając z jej krwawiącego wnętrza coś przerażającego, coś ohydneho, przed czem już teraz drży i zimnym potem się oblewa.

Odemknął oczy, podniósł je ku liściom drzewa figowego i ujrzał siebie powieszzonego na gałęzi. Rude włosy, zlepione potem, opadły na szerokie barki; ręce i nogi kurczowo w dół wyciągnięte. Twarzy nie widzi, gdyż trup wisi do niego plecami zwrócony. Ogarnia go wstręt i pragnie nie

patrzeć, chce odwrócić oczy. Patrzy po innych drzewach, które licznymi rzędami obrastały pagórek, malejąc w oddali. Ale wnet u gałęzi każdego drzewa aż hen do muru zawisa cień podobny do rudego wisielca. Zwraca oczy ku niebu, ale drzewa wystają razem z jego spojrzeniem aż pod firmament, a u gałęzi wiszą sztywne cienie z kurczowo w dół wyciągniętymi rękami i nogami. Pochylił więc głowę na piersi i dłonie położył na oczach, aby w jakiś sposób przestać widzieć.

Po niejakej chwili usłyszał kroki człowieka, który wyszedł z przedsionka domu i dążył wolno przez gaj. Odmawiał szeptem modlitwę; wyrazy mięszały się z lekkim szmerem liści. Szedł bardzo wolno, przystawał, ale kierował się do drzewa figowego. Kroki tego człowieka i szept jego modlitwy słyszał coraz bliżej i wyraźniej; ogarnął go nowy lęk, chciał zerwać się z ziemi i uciec. Ale wtedy przekonał się, że nie leży na ziemi, ale jakby w powietrzu. Odjął dłonie od oczu, spojrzął po sobie. Ręce jego, podobne do pągawatych rąk rudego wisielca, były jednak bezbarwne, cieniste; tak samo nogi i szata, która go okrywała. Stąpania zbliżały się bardziej i bardziej. Nagle posłyszał krzyk i szybkie kroki w stronę domu, z którego wyległa gromadka ludzi. Rozmawiali bezładnie, z wymachiwaniem rąk, z wyciąganiem wskazujących palców w stronę gaju, gdzie stało skryte za innymi pniami i liśćmi owe drzewo figowe. Cała gromadka ruszyła

pod górę, otoczyła wisielca; słycać było cmokanie językami, lament, krzyki; widać wznoszenie ramion pod niebo. W tej chwili poczęło zachodzić słońce, a w gaju uczyniło się mroczno. Właśnie ktoś wypowiedział jego imię, a gromadka powtórzyła je z przerażeniem. Ciemność padła na gaj. Ludzie z krzykiem uciekli w głąb domu. Wtedy powstał zimny powiew i począł go unosić nad ziemią.

Powiew ten niósł go przez gaj, dokoła popielatego muru i znowu przez rzędy drzew, u których wisiały sztywne cienie. Uczyniło się straszno w onym gaju. Zdawało się, że z każdego drzewa wychodzi jęk, a liście w drzeniu swem szumiały tak, jakby je ogarniał lęk i obrzydzenie. Powiew niósł go przez dom, następnie do przedsionka; w otwartych izbach błyskały światelka lampek olejnych; ludzie chodzili wzdłuż i wszerz, rozdzierając szaty i rwąc włosy z głowy. Patrzył na nich przez chwilę, gdy wtem poniósł go powiew dalej, przez sień, na drugą stronę domu, na wąską a długą uliczkę.

Cisza panowała tam zupełna, tylko z głębi domu dochodziło zawodzenie, narzekanie i płacz. Popłynął z wiatrem pustą uliczką. Na zakręcie ujrzał tuman kurzu, a poza nim gromadkę mężczyzn, niewiast i dzieci, rozprawiających szeptem. Powiew poniósł go w inną stronę. Wszędzie widział sunące gromadki, powracające od zachodniej bramy miasta. Ci i owi idąc, oglądali się z trwogą poza siebie i milkli. Dzieci poczęły kwilić na rękach matek.

Powiew niósł go dokoła czworokątnego placu, na którym gromadził się lud. Na wszystkich ustach było jego imię. Każdy wymawiał je ze zgrozą, a zarazem powtarzał imię Sprawiedliwego, który skonał w dziwny sposób i wśród przerażających okoliczności. Inni powiadali, że nie skonał, tylko omdlał. Jeszcze inni twierdzili, że o zachodzie słońca zstąpił z krzyża i ruszył ze swymi uczniami przez kraj. Powstały liczne sprzeczki. Ale nadbiegli ludzie, którzy oznajmili, że na pewno umarł, gdyż zdjęto go już z krzyża i złożono do grobu. Wtedy wielu się znacznie uspokoiło; inni udali się do domów, a ci, którzy pozostali na placu w cieniach nocnych, poczęli wyklinać zdrajcę, dobierając strasznych złorzeczeń.

Wtedy powiew poniósł go dalej przez ulice, place i zaułki. Blisko bramy na drodze ujrzał znowu gromadkę ludzi. Chciał ją minąć, ale powiew niósł go w tamtą stronę. Zadrżał. W pośrodku gromadki szła Matka Sprawiedliwego, z twarzą bladą jak płótno, z sinemi kołami pod oczyma i z źrenicami zwróconemi błędnie przed siebie. Z piersi jej dobywało się urywane szlochanie. Podtrzymywało ją dwóch płaczących uczniów, którzy się nie ulękli i z miasta nie uszli. A na obliczu Matki był taki ból, że dobrze ziemi, iż w cieniach nocy tonęła, nie widząc go. Któryś z uczniów wymówił imię zdrajcy. Z posiniałych ust Matki wybiegł ledwie słyszalny szept, którym zdrajcy przebaczała. A wła-

śnie powiew wiatru stawiał go w pobliżu. On pragnął krzyknąć, rzucić się z rozpaczą do jej stóp, objąć rękami jej nogi, a potem szlochając, pochylić głowę ku ziemi i tarzać ją w piasku. Ale był bezsilny. Powiew poniosł go dalej, a gromadka znikła w mroku nocnym.

Błąkał się z wiatrem dokoła murów miasta, wpadał przez bramy, mijając niepostrzeżenie strażników, i znowu krążył po ulicach i ogrodach. Znalazł się w ten sposób w gaju oliwnym, wśród którego leżał twarzą na ziemi mąż pewien i gorzko płakał. On w chwili stanowczej uląkł się i zaparł Sprawiedliwego. Teraz ciężko płakał nad sobą. Nikogo nie winił, tylko siebie, bo upadł, bo się wyparł prawdy. Jakże kierować będzie tą kruchą nawą rybacką, kiedy za pierwszym podmuchem burzy uciekł do wygodnych, spokojnych brzegów?... Jakże dzierżyć będzie kij pasterski, kiedy wierna trzoda rozproszyła się, kiedy jeden pocałunek zdrajcy w niewecz obrócił wszystko i kiedy wybrani poczynają nieufnie na siebie poglądać?... I szlochał nad sobą, nad zaprzaniem, nad Sprawiedliwym, nad wybranymi, nad zdradą.

Wiatr poruszył gajem oliwnym, a cień z powiewem płynął dalej, przez bramy, ulice, zaułki, dokoła murów i zatrzymał się w ogrodzie, w którym u grobu dziesiętnik pieczętował skałę, a rotmistrz ze swej rotty ustawiał żołnierzy, mających przez całą noc czuwać przy kamieniu. Gdy dzie-

siętnik skończył pieczętowanie, rotmistrz zabrał swą rotę i oddalił się. Żołnierze poopierali włącznie o ścianę grobu, zdjęli hełmy i poczęli rozmawiać. Dziesiątnik przechadzał się w zamyśleniu. Powiał zimny wiatr. Pomiędzy żołnierzami powstała mowa o zdrajcy.

I nagle zdało mu się, że niebo, ziemia, drzewa, domy, kamienie, skały i całe przyrodzenie ma usta, a na tych ustach jedno okropne imię, które jest jego imieniem. I przestraszył się tego straszego rozgłosu, przestraszył się samego siebie, przestraszył się swej duszy i zapragnął odstać od niej, zapragnął uciec przed samym sobą.

Powiew stał się silniejszym i unióśł go z owego ogrodu, obstawionego żołnierzami. Wypłynął na pola i drogi. Ale dostrzegł w pomroce nocnej, że prąd powietrza nie porusza drzew przy drodze, nie wzbija tumanów piasku, choć staje się coraz silniejszym i poczyna rwać go jak burza. Z rozwianym włosem, z rękami nad głową i ze skrzywionem z przeżenienia obliczem wiał tak w obłoku burzy nad ziemią, a ciemność dookoła stawała się coraz gęstsza i wycie wichru coraz okropniejszym. Potem rozległy się w tym wicherze świstania, nawoływania i śmiechy. Włosy poczęły mu się jeżyć na głowie. Wywrócił oczy, biegł, płynął, bojąc się obejrzeć poza siebie, gdyż zdawało mu się, że ktoś go ściga, tylko wskutek ciemności trafić za nim nie może. Pogoń była rozproszona. Świsty i nawoływania roz-

legały się w różnych stronach świata. Niekiedy głosy mijały go, przecinając drogę przed nim lub za nim. Przechylił głowę w tył, nastawiając ucha, wyprężając się równocześnie, aby go burza łatwiej nieść mogła. Przez czas jakiś słychać było tylko szum wichru. Ale niebawem zauważył, że głosy poczynają gromadzić się za nim, rozlegają się wprawdzie bardzo daleko, ale już są na tropie. Teraz zrozumiał, że jakiś pościg szaleje za nim, a on uchodzi. Krzyki, poświsty, nawoływania zbliżały się ustawicznie i teraz mógł już rozróżniać głosy pochodzące od różnych postaci. Jeszcze przez chwilę łudził się, że ta głucha wrzawa poza nim nie tyczy go, że to nie pościg i że on nie ucieka. Ale nagle posłyszał swoje imię. Wtedy ogarnęła go rozpacz bliska obłądu. Rzucił się ze wzniesionemi rękami naprzód, kładł się na wicherach, szalał z burzą nad ziemią, nie patrząc poza siebie, nie widząc nic przed sobą, nie myśląc, miotany strachem, okropną bojaźnią, męką i obrzydzeniem. Wtedy przycichło za nim na chwilę. Ale nagle o jakie pół stajania powstał gwar zmieszanych głosów, wrzask, świst, chichot. Wtedy wezbrał w nim gniew, gdyż zrozumiał, że przed pościgiem już nie ujdzie. Cokolwiek stać się miało, niech się stanie, byle prędzej. Przystanął, wrzawa za nim zamieniła się w wybuch piekielnej radości. Obrócił się, spojrział — nagle wszystko ucichło, znikło. Puste nocne dale, tylko wicher dmie z wielką gwałtownością.

Pot perlisty wystąpił mu na czoło; osłabł i chciał spocząć. Ale nie mógł schylić się ku ziemi; powiew burzy niósł go dalej nad polami. Zrazu uspokoił się nieco. Ale jakaś myśl spłoszyła chwilowy spokój i przejęła go jeszcze większą bojaźnią, niż przedtem. Głosy, które nagle giną w powietrzu, są zapowiedzią rzeczy ostatecznych.

Zaczął więc znowu biec z wichrem, rwany coraz gwałtowniejszą burzą. Jakoż po chwili ozwały się znowu za nim szepty, zrazu bardzo daleko, ale potem coraz bliżej. Z szeptami łączyły się poświsty, nawoływania. Im prędzej płynął przez powietrze, tem bliżej i głośniej rozlegała się za nim wrzawa. Teraz słyszał już groźby, urągania. Pościg szalał za nim, pędził go w jakimś jednym kierunku i począł z dwóch stron zataczać zagony. Niebawem dosięgnie go.

Przypomniał sobie, że kiedy za pierwszym razem przystanął i obejrzał się poza siebie, wszystko ucichło i znikło. Chciał się ratować w ten sam sposób i niebawem uczynił to. Ale natychmiast przeklął swój postępek.

W chwili bowiem, gdy obrócił się poza siebie w ciemność, rozległ się piekielny śmiech, po którym nastąpiła przerażająca cisza. Przestrzeń w górze począła się rozjaśniać. Rozstąpiły się chmury i ujrzał postać przybitą gwoździami do nieba. Na sinem czole korona cierniowa, a z pod każdego kolca ścieka krew. Szeroko rozwarte oczy patrzą na niego z wyrazem

straszego wyrzutu. Spiekłe, spękane usta rozchylają się i szepczą jego imię...

Nie mógł znieść tego widoku, odwrócił twarz z okropnem przerażeniem i począł uciekać. Zawyły za nim tysiączne chichoty, poświsty, groźby, przeklinania. Głosy te gnały go przez nocne przestwory, a on dysząc, jęcząc i wyjąc z bólu i bojaźni, biegał przez dale i czuł, że ucieczka jego jest nadaremna.

Na wschodzie zaczęło świtać. Teraz mógłby, obróciwszy wzrok poza siebie, ujrzeć postacie i twarze dążącego za nim pościgu. Ale bał się. Wszedł dzień słoneczny, lecz zarazem uczynił się dziw w przyrodzeniu. Dzień bowiem świecił tylko w dole na ziemi; on zaś płynął górą wśród nocnych ciemności i widział tylko dzień ten pod sobą. Ludzie wychodzili z domów za swemi zajęciami. Pasterze wypędzali stada na pastwiska. Podróżni krążyli z miast do miast pieszo i na grzbietach zwierząt. Dzień, dzień słoneczny, dawny, złoty, jasny, panował znowu na ziemi; on tylko krążył w jakiejś nieprzebranej nocy, a za nim szalał ów pościg przerażający, coraz bliżej i nawołujący go, aby stanął.

Spojrzał ku ziemi. Spojrzał ku ludziom i przyrodzeniu. Przypomnił sobie, że kiedyś pędził tam w dole podobny żywot i że cichość mieszkała w jego sumieniu. Ujrzał gromadkę ludzi opylonych kurzem i przypomnił sobie, że chadzał wraz z taką gromadką za Sprawiedliwym i że błogo mu było. Aż popełnił pierwsze oszustwo. Jak się to stało? Nie

pamiętał. Stało się nagle, bezwiednie, bez przepowiedni i upomnień. Nikt o tem nie wiedział, tylko on jeden. Zrazu nosił się z tą tajemnicą jak z małym brzemieniem; potem brzemień stało się dokuczliwszem. Każde spojrzenie Sprawiedliwego dotykało go jak ogień, bo jakiś wewnętrzny szept podsuwał mu myśl, że Sprawiedliwy czyta prawdę w jego twarzy. Ale Sprawiedliwy milczał, tylko od czasu do czasu patrzył. Wtedy usunął się na stronę od boku Sprawiedliwego, odłączył się od pielgrzymiej gromadki, podążał naprzód, wyprzedzał, zamawiał noclegi i pożywienie, a potem kładł się na spoczynek, kiedy inni zebrawszy się po posiłku dokoła Sprawiedliwego, słuchali z przejęciem jego słów lub składali przed nim ręce, gdy uzdrawiał cierpiące tego świata. Odsunawszy się w ten sposób od gromadki, jął popełniać coraz liczniejsze oszustwa i doszło do tego, że worek z pieniędzmi trzeba było dobrze pod szatą ukrywać, aby nie wzbudzał podejrzania w ludziach, którzy zrzekli się wszelkiego posiadania. Wtedy znienawidził tę gromadkę i Sprawiedliwego za to, że ich oszukiwał. Byłby może porzucił ich, ale nie znalazł sposobu. Zresztą ta sama żądza, która go odpychała, równie silnie przyciągała go do tych, których tak korzystnie i tak bezkarnie mógł oszukiwać.

Potem, gdy mu podsunęto myśl wydania Sprawiedliwego, nie wiedział co czynić. Uląkł się. Walczył ze sobą przez kilka dni. Ale chęć zysku prze-

mogła, a poparła ją nienawiść względem tych, których oszukiwał. Najpierw wziął nagrodę, a potem zastanawiał się jeszcze. Wtedy poczęto nalegać na niego, aby dopełnił zobowiązania. Jakże tu zedrzyć z twarzy skórę uległego ucznia? Skąd wziąć oczu do spojrzenia i palca do wskazania? Ale wykrętni ludzie pomogli mu. Ty złożysz tylko pocałunek na jego twarzy!... Spotkali się w gaju. Żołnierze ukryli się w zaroślach. Zbliżył się do Sprawiedliwego; dziwny uśmiech wykrzywił mu twarz. Powitał mistrza, dotknął ustami jego policzka. Żołnierze wybiegli z zarośli. On uciekł.

I ucieka ciągle. Uciekł przed swoją twarzą, przed swemi oczami, uciekł z pod drzewa figowego, na którym zawisł ów rudy wisielec. Uciekł przed brzmieniem swego imienia, które było na ustach wszystkich. Uciekł przed widokiem zbolelej Matki i szlochającego w gaju oliwnym ucznia-zaprzkańca. Uciekł przed widmem owej twarzy ociekłej krwią i śmiertelnym znojem. Ucieka wciąż. Pod nim mroczy się dzień, zachodzi słońce, nastaje noc; za nim rozlegają się w powietrzu wołania, świsty, chichoty. Szaleje gonitwa, nęka go głosami i widziadłami.

Trzeciego dnia o świcie poniósł go wicher do miasta, w którym wrzało od niesłychanych wieści. Tłumy biegały po ulicach, domagając się pewniejszych wiadomości. Te bowiem, które z ust do ust krążyły, przechodziły wszelkie pojęcie. On, zdjęty z krzyża i pochowany w opieczętowanym grobie,

strzeżony przez żołnierzy, zniknął stamtąd, a zniknąć miał wśród okoliczności, które jednym łzy z oczu wyciskały, a drugich napępiały łękiem. W całym mieście panował niesłychany zamęt, który zwiększał się z tego powodu, że ze wszystkich stron napływały tłumy na święta, tłumy, które o Sprawiedliwym słyszały, tu i ówdzie widziały go przemawiającego do ludu i rozповідаły wszędzie o jego dziwnych czynach. Liczne gromady ciągnęły do onego ogrodu, aby obejrzeć odwalony kamień; ale postawiono wartę i nie puszczano nikogo. Wieści poczęły tedy przybierać coraz większe rozmiary i głosić zdarzenia, którym nie powinno się być dawać wiary. Ale pomiędzy prawdopodobnem i nieprawdopodobnem przestała istnieć odwieczna granica. Zaszły rzeczy tak nadzwyczajne, że poprostu trzeba było albo niczemu nie wierzyć, albo uwierzyć na ślepo wszystkiemu. Jeżeli się uwierzyło w rzeczy najprostsze, które wszyscy widzieli i które były oczywiste, to zaraz przyłączały się do nich zdarzenia tak nieprawdopodobne, że, nie wierząc w nie, trzeba było uważać za nieprawdopodobne coś z tego, co się istotnie zdarzyło, co wszyscy widzieli i co było oczywiste.

W każdym razie jedno było pewnikiem: zdjęty z krzyża nie leżał już w grobie strzeżonym przez żołnierzy.

Natomiast w onym gaju na drzewie figowem wisiał wciąż jeszcze trup człowieka rudego i nikt

nie miał odwagi zbliżyć się, aby go odciąć i pochować.

Duch tego człowieka krążąc z powiewem wiatru, znalazł się znowu w onym gaju. Ujrzał wtedy z przerażeniem, że dłużej cierpi krzywdziciel, niż skrzywdzony.

Powiew niósł go przez gwarne ulice, za miasto, na pola. Krążył, wracał, cierpiąc męki, ścigany przez ból, strach i szyderstwo.

Pewnej nocy wpłynął do przedsionka jakiegoś domu, koło którego snuły się gromadki, oglądające się podejrzliwie za każdym przechodniem. Po jakimś czasie wszyscy weszli w głąb domu, zamykając drzwi za sobą. On wpłynął do rozległej izby, w której poczęto się gromadzić. Cisza panowała wśród zebranych; niektórzy tylko szeptem opowiadali sobie najświeższe zdarzenia. Poznawał twarze i bał się, aby go nie dostrzeżono. Ale chociaż ocierano się o niego, nikt głowy ku niemu nie obrócił. Nie widziano go. Jedni poczęli wzdychać, inni popłakiwać. Czekali na coś niezwykłego. A w onem długim oczekiwaniu opuszczała ich otucha. Chwile nocy ubiegały. Nagle wszyscy oniemieli.

W pośrodku nich stanął Sprawiedliwy, odchylił szaty i ukazał rany swoje. Całe zebranie rzuciło mu się do nóg i powstał wielki płacz. Wyciągano do niego ręce, dotykano brzegu szat jego. Płacz zamienił się w ogromne uniesienie, że żyje, że jest, że spełnił co był zapowiedział. Poprzysięgano mu

miłość, cześć i wierność; przyrzekano czcić jego przykazania i — zachować w wiecznym przekleństwie pamięć zdrajcy...

Nagle znikło zgromadzenie, znikła izba, powiał zimny wiatr, rozległy się nad polami świsty, nawoływania, groźby i chichoty szydercze. A on, niesiony burzą, uciekał nad ziemią, przeklinając siebie i to wszystko, co nadaremnie uczynił. Tak, nadaremnie! Teraz dopiero to zrozumiał. Skalał nadaremnie ręce sprzedając Sprawiedliwego, skalał nadaremnie usta w zdrajczym pocałunku, skalał nadaremnie duszę. Coś w nim mówiło, że wszelka zbrodnia jest tylko jakimś nadaremnym skalaniem się, jest mękąadaną sobie samemu. Przeklęty!... zawrzały za nim tysięczne głosy... Przeklęty! szepotało coś w nim samym.

Ale zarazem uczuł, że stało się coś tak potwornego, czego nie mógł być rozumem swym przewidzieć. Zdało mu się, że istotnie nie wiedział, co uczynił; że gdyby był tę prawdę pierwej poznał, nie byłby się na nią targnął. Sprawiedliwy tylko patrzył i czekał. A on działał i dążył jak człowiek o jednym oku, który połowy świata wedle siebie nie widzi. A kiedy skręcił w stronę swojej ślepoty, wpadł w otchłań.

Zaledwie to wyrozumiał, kiedy pocuł, że wiatry się uciszyły i że stopy jego kroczą znowu po ziemi. Nie słyszał także za sobą owych głosów w powietrzu. Czuł się innym człowiekiem, nieznanym sobie samemu.

Szedł przez jakiś obcy kraj. Słońce gorzało w południowej stronie nieba, a na polach mgiła się cisza upalna.

Był bardzo zmęczony i senny. Siadł na kamieniu i odpoczywał.

Wtedy ujrzał przed sobą na drodze zbliżającego się człowieka. Stopy, szaty i oblicze onego męża były zapyłone szarym kurzem. Szedł zdaleka i dążyć musiał daleko, bo ani na chwilę nie przystawał.

Lecz spostrzegłszy siedzącego na kamieniu, skierował ku niemu swe kroki i zwrócił na niego swe jasne oczy.

Przeklęty przypatrywał mu się i pragnął sobie przypomnieć, czy go kiedy już nie widział. Ale czynił to nadaremno. Przytem zauważył, jakoby począł myśleć nie swojemi myślami i sięgał nie do swojej pamięci.

Wtedy ów nieznamy mąż powitał go, a Przeklęty patrząc na niego błędnemi oczami, zapytał:

— Żali mnie znasz, obcy człowieku?

— Nie znam cię — odparł tenże — ale i ty siebie nie znasz.

Przeklęty rozejrzał się dokoła wzrokiem człowieka budzącego się z długiego snu, a ów nieznamy mąż mówił dalej:

— Żali pamiętasz, jak cię zowią?

Przeklęty zawahał się, bo istotnie nie mógł sobie żadnym sposobem przypomnieć swego imienia. Nieznajomy mąż przemówił znowu:

— Strudzony jesteś pielgrzymką i cierpieniem. Zapomnij o trudach i cierpieniu, a pójdz moim śladem.

A gdy Przekłęty patrzył na niego, jakby słów tych nie rozumiał, przemówił jeszcze ów nieznamy mąż w te słowa:

— Żali nawet pamiętasz, iż znużyłeś się i cierpiałeś? Żali pamiętasz, czyś żył kiedykolwiek i działał?

Po chwili zaś dodał:

— Co pamiętasz jedynie? Czego jedynie porządasz?

— Być jakimś innym! — zawołał Przekłęty i pochylił mu się do nóg.

To jedno wiedział, to czuł i pamiętał.

Wtedy ów nieznamy mąż położył rękę na jego głowie, łza stoczyła mu się z policzków i padła na kasztanowate włosy klęczącego. Cichość była na polach, jeno nad głową przyklękłego rozległy się słowa tajemnicze, ale dziwnie łagodne:

— Żyj i odradzaj się ciągle, boś jest człowiek, który dąży. Po każdym czynie nastąpi zrozumienie tego czynu. Więc patrzaj, abyś za każdorazowem odrodzeniem się mniej prawdę sprzedawał...

Słowa przebrzmiały w ciszy upalnej. Przekłęty podniósł oczy. Ale onego nieznanomego męża już nie było na drodze.



SPIS RZECZY.

	STRONA :
WYŚLANIEC	1
KUSICIELE	15
MAJLACH	53
GAMALJEL	71
✓ NAPOMNIENIE	99
DWAJ UCZNIOWIE	133
✓ O CICHYM WIECZORZE	149
ZĄB ZA ZĄB	163
✓ W OSTATNIEJ CHWILI.	181
✓ SKOWRONEK	209
✓ U GROBU	217
✓ PRZEKŁĘTY	223

